

# Demon Zimna

Masterton Graham

Książka IV z Rook



calibre 0.9.43

**Graham Masterton**

*Demon*

## ROZDZIAŁ 1

Jim Rook wjechał na parking West Grove Community College z takim impetem, że łysiejące opony jego starego brązowego kabrioletu wydały z siebie furioso jękliwych pisków. Gwałtownie, aż cadillac ostro się zabujał, zahamował na prywatnym miejscu dyrektora. Spróbował wysiąść bez otwierania drzwi, zahaczył przy tym butem o klamkę i wypuścił z rąk plik prac, które sprawdzał w domu. Rozsypały się po asfalcie, kilka pofrunęło w krzaki.

Był piętnaście minut spóźniony na pierwszą lekcję, zaczął więc jak wściekły skakać po parkingu i deptać kartki, by nie zwiały ich wiatr. Choć był początek czerwca, a powietrze przepełniał oślepiający

blask słońca, wiała dokuczliwa południowa bryza, toteż powstrzymanie wypracowania Lindy Starewsky o Hamlecie przed pofrunięciem w kierunku drzew wymagało natchnionego skoku przez krzewy jacarandy. Gdyby praca zginęła, nie byłaby to wielka strata dla krytyki literatury.

— Halo, panie Rook! Nie wiedziałem, że wy, biali, umiecie tak dobrze tańczyć! — zawołał woźny Clarence, który właśnie przechodził z szufelką i skrobaczką do usuwania z chodników świeżych gum do zucia.

Jim zbyt się spieszył, by wymyślić ciętą odpowiedź. Pchnięciem barku otworzył boczne drzwi do szkoły i byle jak upchnął papierzyska pod pachą. Biegł do głównego korytarza, a rozwiązane sznurówki smagały podłogę. Po chwili zwolnił i już tylko pospiesznie kuśtykał. Zbyt był zdyszany i spragniony, by móc zmusić się do większego wysiłku. Obudził się niemal godzinę za późno z kacem wielkości Mount Rushmore i wypadł z mieszkania nawet bez łyka zwietrzałej gatorade.

Na autostradzie został na ponad pół godziny zakleszczony w morzu migoczącego metalu i musiał wdychać spaliny z ośmiu pasów oraz znosić walące prosto w łeb poranne słońce.

Pochylił się przy fontannie z wodą do picia. Ponieważ miał na nosie okulary przeciwsłoneczne,

walnął głową w ścianę. Otworzył usta, naprowadził je na strumień i dotknął go, ale zamiast się napić,

zaczął ssać coś śliskiego, twardego i mocno zimnego.

— Co do... bleee! — krzyknął i szarpnął głowę do tyłu, spluwając z obrzydzeniem.

Zdjął ray-bany. Woda wylatywała z metalowej końcówki i wznosiła się łukowatym,

kryształowo czystym strumieniem w powietrzu. Wylatywała, choć puścił przycisk! Przyjrzał się bliżej i

stwierdził, że strumień się nie porusza. Niepewnie wyciągnął dłoń i dotknął go. Miał pod palcem lód.

Rozejrzał się, nic nie rozumiejąc. Korytarz był pusty. Pomieszczenia szkoły klimatyzowano i

było w nich stosunkowo chłodno, ale jak to możliwe, by woda w fontannie zamarzała? Odłamał kawałek lodu i zaczął go obracać w palcach.

Ciągle jeszcze badał lód kiedy wahadłowe drzwi na końcu korytarza otwarły się z hukiem i

pojawił się nowy kierownik działu angielskiego. Doktor Bruce Friendly był opryskliwym mężczyzną o

długich kończynach i ciele, które sprawiało wrażenie, że wszystko jest na nim umieszczone zbyt luźno.

zwieńczonym burzą poskręcanych siwych włosów. Poruszał się jak gigantyczna marionetka, wyrzucał nogi jedna przed drugą, jakby próbował strząsnąć stopy z łydek.

Miał przypominające głębokie jeziora, wąsko osadzone oczy, a jego przemyślenia, które sam

uważał za wytwory głębokiego umysłu, dowodziły jedynie jego płytkości. Uważał na przykład, że

uczenie bandy dyslektyków, Latynosów i postaci rodem z filmów Spike'a Lee to graniczące z krymi-  
nałem marnotrawstwo podatków obywateli Los Angeles. Gdyby klasa specjalna Jima nie wywarła

tak wielkiego wrażenia na ministrze edukacji Japonii, który wizytował szkołę podczas niedawnej

wizyty w Kalifornii, doktor Friendly wpisałby jej wykończenie na listę swych priorytetów — zaraz po

zakupie dla siebie bujano-kręconego fotela z wysokim oparciem i ustawieniu go w miejscu z

widokiem

na dziewczęcy kort tenisowy.

— Jest Japończykiem! Co on wie o angielskim?! Facet gada zawijasami!

Jim stał wpatrzony we wnętrze dłoni, po chwili pan kierownik Friendly podszedł, stanął obok i też wbił wzrok we wnętrze dłoni Jima.

— I co pan na to powie? — spytał Jim.

— Nie nadążam, James. Co powiem na to, że ma pan mokre wnętrze dłoni? Podejrzewam, że poci się pan, ponieważ się pan spóźnił, a z pańskiej klasy dolatuje hałas, jakby odbywała się tam druga bitwa pod Antietam.

— Teraz dłoń jest mokra, ale przed chwilą był tam lód.

Doktor Friendly popatrzył na niego, w najmniejszym stopniu nie starając się udawać zainteresowania ani sympatii.

— Już mówiłem, co sędzę o tym. co pan robi. Gdyby rada do spraw edukacji nie uważała, że jest pan cenną błyskotką dla mediów, już jutro rozwiązałbym kontrakt z panem i posłał ancymonów z pańskiej klasy do robienia tego, do czego się urodzili, czyli do naprawiania samochodów, obsługiwania ludzi w barach z hamburgerami i sprzątania śmieci. James, kiedyś powinien się pan zastanowić i przestać wierzyć w to, że wyświadcza pan społeczeństwu przysługę! Uczyć

Szekspira zbieraninę dzieciaków, które nie umieją przeliterować własnego nazwiska!

— Co w tym złego? Szekspir też nie umiał literować swego nazwiska.

— W dniu, w którym któryś z pańskich uczniów napisze coś choć w połowie tak dobrego jak „Troilus i Kressyda”, pozwolę mu literować swoje cholerne nazwisko, jak mu się tylko podoba.

Jim ciągle trzymał otwartą dłoń wnętrzem do góry.

— Nie chciałbym prowadzić dyskusji o drugiej klasie specjalnej. To był lód. Woda w fontannie zamarzła.

— Cóż, może mamy drobne kłopoty z zamrażarką. Dlaczego nie zwróci się pan z tym do konserwatora?

— Nawet jeśli coś się stało z zamrażarką, jak woda mogła zamarznąć w powietrzu? Wisiała w powietrzu, łukiem, zamarznięta!

— Był pan wczoraj wieczorem na przyjęciu? — spytał doktor Friendly, dokładnie się przyglądając Jimowi. — Tak pan wygląda. Na jakiej podstawie tak podejrzewam? Chodzi o wory pod oczami? Może o szczecinę? O oddech jak z ryja wieprza?

— Owszem, byłem wczoraj na przyjęciu. Tak naprawdę to organizowałem przyjęcie. Parapetówę. Właśnie wprowadziłem się do nowego mieszkania. Przecznicę od promenady, z cudownym widokiem na ocean... pod warunkiem, że stanie się na parapecie okna w łazience z przymocowanym do laski lusterkiem i wygnie głowę do tyłu... o tak.

Doktor Friendly patrzył, jak Jim odchyła głowę do tyłu „o tak”, nic nie wskazywało jednak na to, by robiło to na nim najmniejsze wrażenie.

— Ile wypił pan w trakcie tej... parapetowy?

— Niewiele. A bo co? Może pobawiłem się z jednym albo dwoma drinkami z tequilą.

— I?

— I wypilem dwa lub trzy piwa, no, może cztery. Ktoś przyniósł skrzynkę wina musującego.

Świątowaliśmy, czego więc pan oczekuje? Nowe mieszkanie, nowy ja. Zastanawiam się nawet, czy kupić psa. Sznaucera. Nazwałbym go po panu: Doktor Friendly.

Doktor Friendly ujął dłoń Jima i uniósł ją wyżej.

— Naprawdę widział pan lód, James? A może jest pan ciągle jeszcze „pod wpływem”? Z największą rozkoszą złożyłbym doniesienie, że pojawia się pan w szkole niezdolny do wypełniania obowiązków służbowych.

— Przepraszam, ale jestem tak samo zdolny do wypełniania obowiązków służbowych jak

pan. — Popatrzył na wystający brzuch doktora Friendly'ego. — I prawdopodobnie lepiej przygotowany fizycznie.

— W takim razie niech pan wsadzi koszulę w spodnie i rusza do tej zbieraniny manekinów, którą nazywa swoją klasą.

Jim przez chwilę patrzył w bok, przyciskał dłoń do twarzy. Potem się odwrócił.

— Proszę mnie dobrze posłuchać. Dał pan w stu procentach do zrozumienia, że mnie nie lubi i nie widzi sensu istnienia mojej klasy. Jest pan kierownikiem wydziału języka angielskiego i ma prawo wyrażać osobiste opinie, nawet jeśli są pełne bigoterii, nietolerancyjne. ograniczone intelektualnie i niepedagogiczne. Moja klasa składa się z młodych ludzi, którzy już dość się nawalczyli w życiu, nawet bez gnojenia i poniżania przez osoby wyznaczone do tego, by im pomagały. Muszą radzić sobie z wadami wymowy, mają problemy poznawcze i niemal wszyscy pochodzą z byle jakich, ograniczonych rodzin, w których poza nimi nikt nie umie czytać i pisać, a gdy wezmą do ręki książkę, nawet rodzice dają im do zrozumienia, że uważają ich za wybryk natury. Jeśli więc chce pan obrażać mnie osobiście, proszę bardzo. Może mnie pan nazywać, jak pan chce. Ale nigdy, przenigdy ma pan nie nazywać moich uczniów manekinami.

Doktor Friendly wziął głęboki, powolny wdech i wydał wargi.

— Sądzę, że lepiej będzie, jeśli pójdzie pan do tej swojej ach-jak-potrzebnej klasy, zanim powie coś, czego będzie potem żałował. Poza tym ma pan nowego ucznia. Nazywa się Hubbard i pochodzi z Alaski. Z tego, co udało mi się zaobserwować, to pół-Eskimos i półidiota. Życzę dobrej zabawy.

Jim nie ufał sobie na tyle, by powiedzieć coś jeszcze. Wiedział, że jego klasa specjalna nie wszędzie cieszy się popularnością. Niektórzy członkowie wydziału uważali, że daje uczniom nadzieję

na poprawę statusu społecznego, której nie będą w stanie nigdy uzyskać, co w efekcie spowoduje u nich jeszcze większe rozczarowanie światem. Istniały okresy, kiedy szedł na udry z innymi nauczycielami i wręcz sprawiało mu to przyjemność — dawało zastrzyk adrenaliny — doktor

Friendiy

był jednak tak nieustępliwie wrogi, że Jim z przyjemnością złapałby go za cienki krawat i dusił, aż wielka końska twarz nabrałaby koloru ciemnej purpury.

Skręcił za następny róg i choć drzwi do jego klasy były zamknięte, od razu usłyszał, że doktor

Friendiy miał rację, jeśli chodzi o hałas. Część uczniów wyła i śmiała się, część próbowała intonować

przez nos własne wersje utworów z cotygodniowej listy przebojów, trzy Murzynki śpiewały

harmonijnym krzykiem *I Will Always Love You*. Jim wkroczył do klasy, podszedł do swego biurka i

rzucił na nie stertę prac, które sprawdzał w domu. Kiedy to zrobił, klasa natychmiast ucichła.

Stał i przez chwilę patrzył na swych uczniów, nie odzywał się, jakby przybył dzięki maszynie

czasu i zastanawiał się, w jakim jest stuleciu i kim są ci wszyscy dziwacznie poubierani młodzi ludzie

z niezwykle włosami i kolczykami w nosach.

Patrzyli na niego nie mniej zdziwieni — rozczochrany trzydziestosześcioletek w ciemnych

..lotniczych" okularach. ubrany w pogniecioną brązową koszulę w turkusowy wzorek, przedstawiający

postać na desce surfingowej, stanowił niezły widok. Zegarek na stalowej bransoletce był stanowczo

wielki na chudy nadgarstek Jima, robocze spodnie w kolorze khaki wyglądały tak, jakby używał ich zamiast poduszki. Mimo próby przyglądzenia przy użyciu wody, włosy sterczały mu z tyłu głowy jak czub papugi. Nie ogolił się.

Powoli zdjął okulary.

— Rany... — jęknął Washington Freeman III, wielki czarny chłopak, który zawsze siedział w pierwszej ławce. — Wygląda pan, jakby spotkał się w drodze z Godzillą.

— Nie jest to pochlebny sposób wyrażania się o doktorze Friendlym — odparł Jim bez śladu uśmiechu.



— Hej, nie to miałem na myśli — wyszczerzył zęby Washington. — Mam na myśli, że wygląda pan jak gówno.

— Co to znaczy, że wyglądam jak gówno? — zażądał odpowiedzi Jim. Podszedł do Washingtona i odchylił głowę do tyłu, by móc patrzeć chłopakowi w oczy. — Chcesz powiedzieć, że jestem brązowy jak czekolada i paruję, tak?

— Hm... nie. Proszę pana, miałem na myśli, że...

— Używanie słowa „gówno” to świadczący o lenistwie i mętny sposób wyrażania swych myśli, pomijając, że jest ono obraźliwe. Co napiszesz w następnym eseju? „Ojciec Hamleta przybył na ucztę i wyglądał jak gówno”? Jak sądzisz, jaki dostaniesz za to stopień?

— Nie miałem na myśli takiego gówna jak... gówniane gówno. Chciałem powiedzieć, no wie pan... gówno i już.

— Mam nadzieję, że nie zamierzasz po skończeniu szkoły napisać słownika. Posłuchaj, Washington, każdy, kto jako tako kuma angielski, nie musi używać takich słów jak „gówno”. Mógłbyś powiedzieć, że jestem blady, wymizerowany, wykończony, mój organizm doznał spustoszeń albo wyglądam niewybrednie. Mógłbyś stwierdzić, że jestem trupio blady, pomarszczony jak suszona śliwka albo wyglądam jak zmięta kartka. Mógłbyś porównać moją twarz do nie poślanego łóżka, dwóch kilo psującej się cieleciny albo tortu weselnego, który zostawiono na deszczu. Wszystko to znane metafory literackie.

Szedł powoli między rzędami ławek i patrzył po kolei na każdego ze swych osiemnastu uczniów.

Biali, czarni, Latynosi, Chińczycy — wszyscy byli społecznie upośledzeni nie tylko z powodu biedy i przynależności do nieodpowiedniej mniejszości, ale także z powodu podstawowych niedoborów umiejętności czytania, „ślepoty” na określone słowa, niedostatku koncentracji w stopniu, który mógłby zażenować komara, oraz jąkania się.

— Jeszcze lepiej — dodał Jim — mógłbyś wymyślić własny opis mojego wyglądu. Mógłbyś

ukuć nowe powiedzenie, wywołujące w umysłach ludzi wyraźny obraz, opisujący mój wygląd lepiej od fotografii. Ponieważ nie tylko wyglądam jak gówno, ale także czuję się jak gówno, będzie to wasze pierwsze dzisiejsze zadanie. Opiszcie mój skacowany wygląd w nie więcej niż dwunastu odpowiednio dobranych słowach. Rozległ się ogólny jęk niezadowolenia, ktoś rzucił w Washingtona

kulką papieru, która trafiła go w czubek głowy.

— Następnym razem trzymaj się przy mamusce, obsrańcu.

Jim wrócił do biurka, po drodze wetknął w spodnie wystający skraj koszuli. Suzie Wintz pomachała mu.

— Halo, panie Rook! Wygląda, że ostro pan wczoraj balował.

Suzie zawsze wyglądała jak z żurnala. Miała mnóstwo kręconych blond włosów, wielkie oczy w kolorze mięty i nieustannie wydymała wargi. Określała się mianem „modelki-praktykantki”, ale mimo wielkiej pewności siebie i zmysłowości, ledwie umiała napisać trzy powiązane zdania, a jednym z najbardziej pamiętnych jej określeń było „Szekspir miał jaja i walił teksty jak »Titanic«”.

— Są w życiu trzy okazje, kiedy mężczyzna jest zobowiązany się dobrze zabawić — powiedział Jim, wyrównując stertę przyniesionych prac. — Pierwsza, kiedy przechodzi mutację. Druga, kiedy ma się żenić. Trzecia następuje, kiedy dochodzi do wniosku, że życie w jednej trzeciej zaczyna mu się układać, a w dwóch trzecich powoli rozsypywać.

— I pan właśnie to stwierdził.

— Tak jest. Sprytny jestem, co? Teraz tak jak prosiłem, zabierajcie się do roboty i ułóżcie dobry opis mojego wyglądu.

Popatrzył na chłopaka, który siedział dwie ławki za Lindą Starewsky. Na pierwszy rzut oka wyglądał — w porównaniu z większością uczniów — niezwykle dojrzałe i przystojnie. W wieku, jakim byli jego uczniowie, większość miała jeszcze małe główki, wielkie nosy, odstające uszy, a na

twarży całe konstelacje czerwonych plam. Jim określał ich mianem Kwaarków, kojarzyli mu się bowiem z jedną z postaci ze „Star Treka”. Ten chłopiec miał jednak kształtną twarz, proporcjami nie odbiegającą od twarzy dorosłego, wysokie kości policzkowe, prosty nos i wyrazistą szczękę. Czarne włosy przycięto mu na jeża, oczy promieniowały zaskakującym błękitem. Włożył bielusię T-shirt z płonącym napisem ANCHORAGE. ALASKA z przodu, sprane dżinsy i bardzo drogie buty marki Timberland. Unosiła się wokół niego widywana u niektórych chłopców o specyficznym, oliwkowym odcieniu skóry atmosfera nadąsania, która przypominała Jimowi młodego Elvisa Presleya.

— A więc ty jesteś Jack Hubbard — powiedział Jim, podchodząc i wyciągając rękę. — Witam we wspaniałym świecie klasy specjalnej.

Jack zlustrował go od góry do dołu, po czym z wahaniem ujął i uścisnął podaną dłoń.

— Świetnie — stwierdził.

Tarquin Tree podniósł rękę i spytał:

— Może być, jeśli napiszę, co pan zadał, rapując?

Jim odwrócił się do Tarquina, chudego chłopca w T-shircie w żółto-czarne pasy, w którym wyglądał jak pszczoła.

— Możesz napisać, jak chcesz, Tarquin, warunek jest tylko taki, by było to oryginalne, opisowe, a „rap” nie rymowało się z „cap”.

— Czy coś kiedyś takiego zrobiłem, panie Rook? Mowy nie ma, żeby kiedyś coś takiego napisał. Jeśli kiedykolwiek przyłapie mnie pan na tym, że zrymuję „rap” i „cap”, za tyłek może mnie pan złapać. Może mi pan przywalić, może mnie pan lać równo, boja nigdy nie mówię takich brzydkich słów jak...

— Tarquin! — rzucił Jim, wskazując na chłopaka palcem. Tarquin natychmiast zamilkł, choć jego dłoń w dalszym ciągu postukiwała w stół w rapowym rytmie. Obecnej klasie Jim powiedział, że

jego palec to fazer, a kiedy będzie go wystawiał, zamierza zabić. Nie wyciągał go często, kiedy to jednak robił, dzieciaki wiedziały, że nie żartuje. Palec oznaczał: „Przeholowałeś”.

— Na razie wszystko w porządku? — spytał Jacka Jim. — Mieszkasz w La Grange?

— Jest OK. Tata wynajął dom. Nie wiem na jak długo.

— Pracuje tu, tak?

— Kończy program do telewizji, o Alasce.

— Co będzie, jak go skończy?

— Nie wiem. Może zostaniemy, może nie.

— Wszędzie jeździsz za tatą?

— Nie mam wyboru. Mama umarła sześć lat temu. A podróżowanie to jego zawód.

— Pewnie pogoda wydaje ci się u nas nieco inna.

— W Anchorage jest w porządku, znaczy się o tej porze roku. Ale na górze, w Yukon-Charley jest dość zimno.

— Mam nadzieję, że będzie okazja, byś nam opowiedział o Alasce. Jakie miałeś możliwości nauki podczas pobytu w Parku Narodowym Yukon-Charley?

Jack wzruszył ramionami.

— Mieliśmy książki do czytania. Encyklopedie i takie różne.

— Jaką książkę czytałeś ostatnio?

— „Konserwacja skutera śnieżnego McGeary'ego”.

— Że co? — wyrzucił z siebie Washington, ale Jim spiorunował go wzrokiem, który miał oznaczać: „Pamiętasz swój pierwszy dzień, kiedy sam opowiadałeś, co czytałeś?”.

— Co z powieściami, poezją, dramataми?

Jack pokręcił głową.

— Jedną powieść, „Proces”, o facecie, który idzie przez Saharę i podróżuje poza ciało.

— Ciekawe. Masz ją?

— Prawdopodobnie jest gdzieś spakowana, ale tak, chyba mam.

— Sahara to dość pustawe miejsce. Moim zdaniem po dobnie jak Yukon-Charley. Czy coś, o czym pisano w tej książce, wydało ci się znajome? No wiesz, na przykład poczucie izolacji albo coś innego.

Jack spuścił wzrok i przez chwilę się zastanawiał. W końcu uniósł głowę.

— Gdziekolwiek się jest. nie jest się samemu.

Jim zatoczył dłonią niewielki krąg. dając gestem do zrozumienia, że chciałby dostać bliższe wyjaśnienie.

— Można być wśród śniegu, setki kilometrów od najbliższego punktu handlowego.

Gdziekolwiek się spojrzy jest białe. Biel, biel, biel, aż przed oczami zaczynają tańczyć obrazy i zaczyna się robić niedobrze. Nigdy jednak nie jesteś sam. Nigdy.

W głosie Jacka było coś, co kazało Jimowi uznać, że konieczność nauczenia się radzenia sobie z samotnością na Alasce musiała być w jego dotychczasowym życiu jednym z najkrytyczniejszych przeżyć. „Biel, biel, biel, aż zaczyna się robić niedobrze”. Od dawna nie słyszał, by któryś z jego uczniów tak emocjonalnie o czymś mówił. Nie od dnia, w którym Waylon Price poszedł pewnej nocy szukać siostry i znalazł ją w rozpadającym się domu w Melrose, martwą z powodu przedawkowania.

— No cóż, jesteś w tej klasie nowy, ale poczucie się jak u siebie nie powinno ci zająć wiele czasu. Pierwsze Prawo Rooka brzmi, że wszyscy w tej klasie mają się przyjaźnić i sobie pomagać, Drugie Prawo Rooka stanowi bowiem, że nikt nie jest głupszy od kogokolwiek innego, choć muszę przyznać, że niektórzy mocno się starają je obalić. Wolno ci śmiać się z cudzych błędów, ponieważ tak

samo jest w prawdziwym świecie, poza tą klasą. Każdy będzie się także śmiał z twoich błędów i musisz się nauczyć radzić sobie z tym powszechnym w życiu zjawiskiem. Jack podniósł długopis.

— Chce pan, bym pana... opisał? Tak jak wszyscy?

— Oczywiście. Widzisz mnie po raz pierwszy, może wy myślisz coś świeżego.

— Jasne, na przykład, że wygląda pan jak świeże gówno — wtrącił Ray Krueger, szybko kuląc głowę w nadziei, że Jim go nie zauważył.

— Ray — odparł natychmiast Jim — mam dla ciebie małe zadanie. Chcę, byś poszedł do męskiej toalety i oderwał z rolki sto listków papieru toaletowego. Napisz na każdym: „To jest jedyne miejsce na gówno”.

— Żartuje pan sobie, panie Rook. To mi zajmie wieki.

— Jeśli będziesz dyskutował, każę ci pisać „ekskrementy”.

Ray niechętnie wstał i ruszył do drzwi. Rozległy się gwizdy, klaskanie i okrzyki rodem z Bronxu.

Ray był chudy i miał farbowane na jasny blond włosy, które spadały mu na oczy. Ale zachowywał się niesamowicie w kontakcie ze zwierzętami — wrażliwie, delikatnie, z niezwykłą intuicją — i rozpacz-

liwie chciał zostać weterynarzem. Problem polegał na tym, że jego angielski pozostał na poziomie ośmiolatka oraz że miał niepokojącą skłonność do wybuchania w najgorszych momentach lawiną obelg i obscenizmów. Szkolny psychiatra uznał, że cierpi na graniczny przypadek zespołu Tourette'a.

Ray wyszedł z klasy. Jim podszedł do swego biurka i opadł na krzesło. Ze sterty, która wylądowała na parkingu na asfalcie, zaczął wyjmować kolejne prace.

Tarquin Tree napisał: „Hamlet łązi i na 1/2 świruje bo jest jedynym kto zna prawdę o tym kto załatwił mu starego. Jedyne sposob w jaki może się zemścić to załatwić Króla Klaudiusza. Załatwia go, ale sam też zostaje załatwiony bo florety były zatrute. Morał jest taki że jeśli twoja matka jest niezłą laską to uważaj na wuja”.

Nieźle — pomyślał Jim. — Przynajmniej przeczytał sztukę i ją zrozumiał. Choć nie umie się zbyt wyrażać na piśmie, spróbował.

Przeciągnął dłonią po twarzy, jakby mógł ją wygładzić i przefasonować. nie poprawiło mu

to jednak w najmniejszym stopniu nastroju. Prawdopodobnie miał w szufladzie biurka jedną lub dwie tabletki anacinu. wyciągnął ją więc i zajrzał do środka.

— Ajaj! — wrzasnął natychmiast.

Z samego brzegu szuflady, na dzienniku, leżał olbrzymi, zielony szczur. Boże, musiał jakimś sposobem dostać się do środka, prawdopodobnie pod koniec zeszłego semestru, powoli się udusił i zaczął gnić.

— Co się stało, panie Rook? — spytał Washington, nieco się unosząc na krześle. — Wygląda pan jak... jakby zobaczył ducha.

— Nic się nie stało, nic się nie stało. Nie ma powodu do paniki. — Jim wziął wieczny ołówek i ostrożnie dźgnął szczura. — Kyle, mógłbyś wezwać Clarence'a? Powiedz mu, żeby przyniósł rękawice ochronne i torbę na śmieci.

Zadziwiające, jak gęste futro urosło szczurowi i jak zgniłozielonego nabrało koloru. Jim znów dźgnął truchło, które ku jego niesmakowi rozpadło się, ukazując białe, półpłynne wnętrzości oraz błonę z przezroczystego, zielonego śluzu. Zapach był obrzydliwy — jak przejrzały ser. Nagle Jim pojął, że to faktycznie przejrzały ser. Nie szczur, a kanapka z cambazolą i sałatą. Ostatniego dnia minionego semestru wrzucił ją tam w pośpiechu, kiedy do jego klasy przysła się przedstawić nowa nauczycielka biologii, Karen Goudemark.

Tak samo jak królowa Danii, Karen Goudemark była superseksowna. Ciemnowłosa, ładna, pewna siebie, a na jej biust trudno było nie patrzeć... choć nie wypadało, w końcu oboje byli w pracy.

Do tego wspaniałe usta. I super łydki. Nie można witać się z taką kobietą, trzymając zjedzoną do połowy kanapkę z serem.

Przy akompaniamencie chóru wyrażających obrzydzenie odgłosów, balansując dziennikiem. Jim wyjął kanapkę z szuflady i wrzucił ją do kosza na śmieci.

— Coś bez dwóch zdań śmierdzi w państwie duńskim — powiedziała Billyjo Muntz.

machając dłonią przed nosem.

— Dodatkowy punkt za spontaniczny i pasujący cytat z dzieł mistrza — skwitował Jim.

— Mam! Mam! — krzyknęła Joyce Capistrano. — Akt pierwszy, scena druga: ..Świeża jest pamięć o nim..".

- Dobrze, też masz dodatkowy punkt. Wracajmy jednak do pracy, dobrze? Muszę poukładać wasze prace domowe.

Właśnie siadał, gdy wrócił Ray. Nie miał ze sobą papieru toaletowego i marszczył czoło, jakby nie bardzo pojmował, co się z nim dzieje.

- Ray? Ray... wszystko w porządku?

Ray patrzył na Jima błędnym wzrokiem.

— Poszedłem do męskiej toalety...

— To dobrze. I co?

- I... chyba lepiej, jeśli sam pan popatrzy.

## ROZDZIAŁ 2

Jim wyszedł z klasy w tej samej chwili, kiedy korytarzem nadchodził Clarence. Miał na rękach jaskrawoczerwone robocze rękawice i niósł gruby plastikowy worek.

— Co się dzieje, panie Rook? Jest pan w szkole dopiero dziesięć minut, a już mamy kryzysową sytuację nadzwyczajną.

— To tautologia — odparł Jim.

— Co? To coś zaraźliwego?

— Tautologia oznacza używanie dwóch określeń, kiedy wystarczy jedno. Na przykład: „kryzysowa sytuacja nadzwyczajna".

— Bo tak jest. Dokładnie właśnie teraz tak jest. Co tu się właściwie dzieje?

— Jeszcze nie wiem. Sądziłem, że mam w biurku szczura, ale okazało się, że nie, za to Ray



poszedł do męskiej toalety i najwyraźniej tam jest coś nie tak.

— Miał pan szczura? Dlaczego pan tak szybko idzie?

— Zawsze tak chodzę. To nie był szczur, a kanapka z serem.

— Łatwo się pomylić.

— Clarence, kiedy zaczyna się gnicie, niełatwo rozróżnić między istotą ludzką a świnia.

— Zdawało mi się, że to miał być szczur.

- To nie był szczur, a kanapka z serem.

Poszli do męskiej toalety i zatrzymali się. Ray, który szedł tuż za nimi, wskazał na niewielką okrągłą szybkę na środku drzwi. Szkło zawsze wyglądało jak zmrożone, teraz jednak pokrywała je warstwa migoczących kryształów lodu. Jim wyciągnął rękę i dotknął szybki. Jego palec zrobił w lodzie niewielkie topniejące zagłębienie.

Przyłożył dłoń płasko do drzwi. Były tak zimne, że nad drewnem unosiła się warstewka mgły.

Kiedy cofnął dłoń, na drzwiach pozostał odcisk dłoni i palców.

— Wchodziłeś do środka? — spytał Raya.

Chłopak dziko pokiwał głową.

— Nie uwierzy pan, panie Rook! W środku jest jak w jakiejś cholernej lodowej jaskini!

— To dziś drugi raz... — mruknął Jim.

— Co? — spytał Clarence.

— Nienaturalne zimno. Woda w fontannie przed czwartą salą do geografii zamarzła.

— To niemożliwe.

— Ale prawdziwe. Sam widziałem. A co z tym? Dotknij drzwi. To też jest niemożliwe. Dziś mamy drugi najcieplejszy dzień lata.

— Co to pana zdaniem jest, panie Rook? — spytał Ray. — Druga epoka lodowcowa?

— Nie mam pojęcia.

Bez względu na to, co się działo, kaczek tak go męczył, że nie życzył sobie żadnych niespodzianek.

Przeżycie przeciętnego dnia w tej szkole nawet bez „kryzysowej sytuacji nadzwyczajnej” było walką.

Pchnął drzwi do toalety — otworzyły się z piskiem i chrzęstem. W środku unosiła się gęsta, zmrożona mgła, przez którą nic nie było widać, mimo to, machając rękami, by rozgonić opar, zrobił kilka ostrożnych kroków. Clarence wszedł za nim, ale Ray został w progu. Najwyraźniej nie zamierzał iść dalej.

— Coś tu jest nie tak, panie Rook — powiedział. — Coś paskudnie cuchnie, do tego nie tak jak zwykle.

Ponieważ otwarte drzwi powodowały napływ ciepłego powietrza, mgła zaczęła ustępować.

Oczom Jima ukazał się niezwykle widok. Całe pomieszczenie pokrywała gruba warstwa lodu.

Umywalki były gruntownie oblodzone, przez co zrobiły się dwa razy większe niż normalnie, a ku podłodze, niczym rekinie zęby, zwisały z nich sople. Lustro pokrył lód. sedesy wyglądały jak ogromne

białe grzyby. Wszystko migotało. Jim, z parującym oddechem, rozejrzał się, po czym pociągnął nosem.

— Ray ma rację. Śmierdzi tu. Jak zdechłą rybą.

— Prawdopodobnie zamrzły rury — uznał Clarence. — Miejmy nadzieję, że nie popękały.

Jim zrobił jeszcze kilka niepewnych kroków po nierównej, pokrytej lodem podłodze.

— Jak to się twoim zdaniem mogło stać, Clarence? W promieniu stu pięćdziesięciu metrów od tego pomieszczenia nie ma żadnej zamrażarki. A nawet gdyby, żadna zamrażarka nie byłaby w stanie sprawić czegoś takiego.

Clarence nadał policzek i wyglądał jak Louis Armstrong.

— Nie, proszę pana, żadna. Nie mam pojęcia, jaka siła na niebie i ziemi mogła to sprawić.

Jim oderwał kawał lodu od jednej z umywalek, przyłożył go pod nos i pociągnął.

— Ryba, bez najmniejszej wątpliwości. Może mamy do czynienia z niezadowolonym byłym

uczniem, który prowadzi przedsiębiorstwo pakowania ryb?

— Może, ale jak miałby wrzucić do toalety ciężarówkę lodu tak, że nikt go nie zauważył'?

Jak miałby go tu wepchnąć? Okna są za małe.

— Poza tym co to miałyby być za zemsta? Zamrożenie kibla!

Clarence stuknął Jima w ramię.

— Panie Rook. Niech pan popatrzy na to.

Jim odwrócił się do luster nad umywalkami. Zaczynały odmarzać i pokrywała je już tylko mokra, srebrzysta warstewka. Na każdym lustrze ktoś narysował cztery pionowe kreski, a każdą zwieńczył u góry kółkiem, przez co wyglądały jak kreskowe ludziki. Jim podszedł do luster, by im się przyjrzeć, niestety ludziki zaczynały spływać.

— Nie podoba mi się to — stwierdził. — Może powinniśmy wezwać gliny?

— Dyrektor pana nie pochwali, panie Rook.

— Mam gdzieś, czy mnie pochwali, czy nie. Clarence, jesteśmy świadkami bardzo dziwnego zjawiska. Nie może być pochodzenia naturalnego. Słyszałem o mikroklimatach, ale nie ma możliwości, by w połowie czerwca męska toaleta zamieniła się w biegun północny.

— A kto to pana zdaniem zrobił?

— Nie wiem, ale dzieciaki są w naszych czasach zdolne do najdziwniejszych aktów zemsty.

Sieją zniszczenie z bronią w ręku, strzelają do wszystkiego, co się rusza. Wysadzają szkoły. Kto wie, co się może wydarzyć, jeśli to zignorujemy?

— Prawdopodobnie ma pan rację, panie Rook. Ale tylko na pańską odpowiedzialność. Żeby pan potem nie mówił, że nie ostrzegałem.

— Wszystko w środku w porządku, panie Rook? — zawołał z korytarza Ray.

— Na razie tak. Zaraz wychodzimy.

Jim obszedł toaletę. Z prawej strony na wieszaku wisiała bluza — tak zamrożona, że można by

używać jej jako deski surfingowej. Po kolei otwierał drzwi do kabin. W rogu ostatniej leżał na podłodze wielki blok lodu, a ponieważ zaczynał się topić, zrobił się bardziej przezroczysty. Jim właśnie zamierzał odwrócić się i wyjść, kiedy jego uwagę zwrócił ciemniejszy kontur w bryle. Może był to jedynie cień, może w środku zamarzła szczotka do sedesu... przyjrzał się jednak dokładniej i przetarł dłońmi powierzchnię lodu. Nie było wątpliwości — w środku coś zostało uwięzione. Dało się rozróżnić nieduży łebek, spiczaste uszy, korpus, cztery łapy. Było to zwierzę — sądząc po wyglądzie, czarny kot — zamknięty w lodzie w pół ruchu, jakby właśnie zamierzał skoczyć na deskę klozetową.

— Clarence, chodź tu! Wygląda na to, że mamy mrożonego kocura.

Clarence wszedł, kucnął i potarł lód.

— Jezu, znam tego kota. Krąży wokół szkoły od paru dni. Próbowałem go przegonić, ale się nie dał.

— W każdym razie tkwi teraz w lodzie.

— To nie żart. Niech się pan zastanowi, jak szybko musiało tu zamarzać, jeśli go tak złapało. Ma nawet otwarte ślepia.

— Mógł nic nie poczuć.

W tym momencie za ich plecami pojawił się Ray.

— Panie Rook... idzie doktor Friendly...

— Dzięki za ostrzeżenie. Widziałeś już kiedyś coś takiego?

Ray pochylił się i wpatrzył w blok szybko topiącego się lodu.

— Hej, w środku jest kot!

— Zgadza się. Został złapany w lód. Temperatura musiała gwałtownie opaść w ułamku sekundy.

— Powinniśmy go wyciągnąć.

— Po co? Długo nie potrwa, zanim lód sam stopnieje.

— Czytałem o czymś takim w czasopiśmie o zwierzętach. Gdzieś na północy, chyba na Grenlandii, wpadł do rzeki przez lód husky. Zamarzł w pięć minut i wszyscy myśleli, że nie żyje, powoli go jednak ocieplali i przywrócili do życia. Zapadł w letarg.

Jim był pod wrażeniem.

— Chciałbym, byś z takim samym zapałem jak „Dogs Daily” czytał Szekspira.

— Wyjmijmy go jak najszybciej z lodu! — ponaglił Ray. — Nawet kilka sekund może zdecydować.

Clarence wyjął ze swego pasa z. narzędziami ciężki klucz francuski.

— Powinien wystarczyć — stwierdził.

Jim wziął klucz, zamachnął się z całej siły i uderzył. Wokół pofrunęły drobne odpryski lodu, ale klucz nie zrobił blokowi większej szkody.

— Przy podłodze lód się rozpuścił — stwierdził Ray. — Powinniśmy być w stanie podnieść bryłę i spuścić ją na podłogę.

— Dobrze — zgodził się Jim. — Tylko nie uszkodźcie sobie pleców. Szkoła nie jest ubezpieczona od kontuzji spowodowanych przez mrożone koty.

We trzech udało im się wyciągnąć blok lodu z kąta kabiny na środek. Miał kształt mniej więcej piramidy i musiał ważyć ze czterdzieści kilogramów. Uklękli, złapali bryłę od spodu i podnieśli ją na deskę klozetową. Jim widział wpatrujące się w niego spod lodu kocie ślepie. Żółte źrenice nie drgały,

mordka była lekko otwarta, ukazując zęby, wyszczerzone w milczącym pisku zaskoczenia.

— Zaczynamy — zakomenderował. — Podnosimy najwyżej, jak się da, a kiedy policzę do trzech, rzucamy na podłogę.

Podnieśli bryłę nad głowy. Woda z topniejącego lodu spływała im po nadgarstkach i wpadała do rękawów.

— Wyżej! Raz... dwa... trzy. Puszczamy!

Blok uderzył o podłogę i pękł na pół. Kot wypadł ze środka — martwy i przemoczony. Ji m podniósł mu łebek. Ślepia były otwarte, niewątpliwie jednak kot nie żył.

— Przykro mi. Nie mógł przeżyć w takiej temperaturze.

— Nie, jest szansa! — zaprotestował Ray. Podniósł bezwładne ciało kota i przycisnął je sobie do piersi. — Wezmę go przed szkołę, tam jest ciepło.

Właśnie szedł ku drzwiom, kiedy do toalety wkroczył doktor Friendly. Rozejrzał się.

popatrzył na błyskawicznie roztapiający się lód i opadła mu szczeka. Po dłuższej chwili spojrzął na strugi wody, zalewające mu szare zamszowe buty.

— Co... do pio-ru-na... tu się dzieje?!

Ray skulił się i ominął go, po chwili do uszu Jima doleciało plaskanie jego nike'ów o podłogę korytarza.

— Mały problem techniczny — powiedział Clarence.

Wstał i wsadził klucz francuski w pas z narzędziami.

— Mały problem techniczny?! — powtórzył jak echo doktor Friendly.

Podszedł do jednej z umywalek, pokrytej jeszcze grubą warstwą lodu. Z sopli pod nią hałaśliwie kapiała woda.

— Mogłem się domyślić, że ma pan z tym coś wspólnego, panie Rook. Mały problem

techniczny? Wygląda mi to na sabotaż. To jest sabotaż! — Podszedł do Jima i zaczął mu się przyglądać z tak bliska, że Jim poczuł się jak postać z gabinetu figur woskowych. — Jaki mały techniczny problem powoduje coś takiego? Lód! To świadome działanie!

Ji m mógł jedynie wzruszyć ramionami.

— Może. Nie wiem. Jeśli to wynik świadomego działania, jak to zrobiono?

— Och, ktoś już wymyślił jakiś sposób. Wzięli maszynę do robienia śniegu, jakich używa się

w filmach. Prawdopodobnie ją wynajęli.

— Cóż, teoria dobra jak każda. Ale po co?

— Po co?

— Tak: po co? Wynajmować maszynę do robienia śniegu tylko po to, by zamienić szkolną toaletę w igloo?

Mięśnie wokół ust doktora Friendly"ego pracowały z taką furją, jakby próbował przeżuć szczególnie oporny kawałek chrząstki.

— Uczniowie... nie wyobraża pan sobie, co się dzieje w ich głowach. Nie kierują się logiką. Nie rządzi nimi racjonalne myślenie. Jest pan nauczycielem szkoły średniej i śmie zadawać pytanie: „Dlaczego”? Nie ma żadnego: Dlaczego"! Niech pan ich zapyta. Niech pan zapyta swoich uczniów! Nie mają uzasadnienia żadnego ze swych wyczynów! Wie pan, na czym polega praca nauczyciela szkoły średniej?! Na przerabianiu kompletnych i skończonych kretynów na istoty, które są w stanie chodzić na dwóch nogach i umieją zsumować pozycje z rachunku w sklepie spożywczym. Polega na wzięciu w karby egocentrycznych, rozbawionych, spoconych i pryszczatych prostaków i przemienieniu ich za pomocą edukacji oraz dyscypliny w jako tako możliwych do przyjęcia członków ludzkiej rasy... w ludzi, którzy umieją przeczytać gazetę i przejść przez ulicę, nie wpadając pod pierwszy przejeżdżający autobus. Walczą z nami. Zwalczają nas na każdym kroku. Bronią swej głupoty jak Alamo. A to... — machnął w stronę pokrytych lodem umywalek — jest jedną z rzeczy, jakie robią, by powstrzymać nas przed ich ucywilizowaniem. Do tego uważają, że to sprytne. Sądzą, że to komiczne! „Dzień, w którym zamroziliśmy kibel!". Co za przebój!

— To nie byli uczniowie — powiedział Jim.

— To kto?

— Nie wiem, wiem tylko, że nie uczniowie. Przyznaję, robią przedziwne numery. Taka ich rola, ale zamrożenie toalety nie ma sensu.

Doktor Friendly przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, wydmuchiwał parę nosem jak wściekły byk.

— Co więc pan twierdzi? Że to zjawisko naturalne? Cud? Czyn Boga?

— Nie wiem. Uważam, że powinniśmy zachować otwarte umysły. Moim zdaniem powinniśmy także wezwać policję.

— Mowy nie ma. Mieliśmy już dość kłopotów w kampusie, a nowy semestr zaczął się dopiero tydzień temu. Ta rozróżba w magazynie żywności wystarczy. Wszędzie *fettucine*... Poza tym zanim policja się zjawi, wszystko stopnieje i co im powiemy? Że naćpany małolat zalał na ni łazienkę?

— Tak mi radzi intuicja — stwierdził Jim. — Mam złe przeczucie.

— Oczywiście, panie Rook, słyszałem o pana zdolnościach parapsychicznych. Może lepszym określeniem byłoby: histeria. Nie wiem, co spowodowało powstanie tego lodu, ale właśnie się topi, więc mnie nie interesuje. Najlepiej będzie, jeśli nie będziemy zwracać na to uwagi.

— Pozwolę sobie zauważyć, że temperatura w tym pomieszczeniu musiała spaść do minus pięćdziesięciu stopni Celsjusza, może jeszcze bardziej, i to w ułamku sekundy. Kaze pan nie zwracać uwagi na coś takiego?

— Tak jest. Jeśli to psikus, najlepiej nie okazywać zainteresowania. Jeśli zjawisko meteorologiczne, i tak nic nie poradzimy. Tak czy siak należy powiedzieć sobie, że to był jedynie sen i nic się nie wydarzyło. W ten sposób możemy kontynuować kierowanie szkołą i nie zaprzętać sobie głowy sprawami, których bez względu na to, co zrobimy, i tak nie da się zadowalająco wyjaśnić.

— A jeśli to się zdarzy znowu?

— Nie zdarzy się znowu.

— Ale jeśli?



— Niech pan mi patrzy na usta, panie Rook: nie zdarzy się znowu, ponieważ i teraz się nie wydarzyło. Zabraniam panu wspominać o tym incydencie kiedykolwiek i komukolwiek, przede wszystkim policji i prasie.

— Tym razem zginął kot. Co będzie, jeśli zamarznie uczeń? Co pan wtedy powie?

— Już panu powiedziałem głośno i wyraźnie: to nie zdarzy się znowu.

Jim przez dłuższą chwilę wpatrywał się w doktora Friendly'ego.

- Mam nadzieję, że jest pan gotów postawić na to pieniądze.

- Nie gram hazardowo, panie Rook.

- Jestem się gotów o to założyć.

Jim znalazł Raya na stromej łące za budynkiem. Chłopak trzymał kota owiniętego w bluzę z nadrukiem szkoły. Uparcie masował mu serce opuszkami palców, ale łebek zwierzęcia leżał bezwładnie

na jego kolanie, a wargi odsunęły się, ukazując zęby w śmiertelnym grymasie.

— Ray, daj spokój. Dlaczego nie przestaniesz? Nie ma żywej istoty, która mogłaby coś takiego przetrzymać.

— A karaluchy? — zaproponował Christophe l'Ouverture, bardzo szycowny chłopak z Haiti, który nosił jedne z najdroższych ubrań w klasie. Miał dredy i tak szerokie białe spodnie, że łopotały przy chodzeniu, do tego żółtą jedwabną koszulę od Armaniego, migoczącą jak płynne złoto.

Wyszczrzył bielutkie zęby. — Karaluchy mogą przeżyć wszystkie znane człowiekowi niszczycielskie

działania: środki owadobójcze, bombę wodorową, trzęsienia ziemi, powodzie.

— Ale to nie karaluch tylko kot — stwierdził Ray. — Sporo o nich czytałem. Mogą przeżyć skrajne temperatury. Ktoś kiedyś wsadził kota do pieca chlebowego i kot przeżył. Był

nieco chrupiący, ale żył.

Jim popatrzył na zwierzę.

— Ten nie żyje... — przyjrzał się uważniej kotu. — To znaczy ta. Nie ma najmniejszej wątpliwości.

— To dziewczyna? Mógłbym jej dać pocałunek życia — uznał Ray.

— Co?! — wykrzyknął Christophe. — Zamierzasz dać pocałunek życia martwemu kotu? To chore! Blee... pfuj! To zboczone. Musiałeś postradać swój nieśmiertelny umysł.

Ray nie wahał się jednak. Zatkanął kciukiem nozdrza kotki, wziął głęboki wdech i przycisnął usta do jej pyszczka.

— Spokojnie — ostrzegł Jim. — Nie zapominaj, że ma znacznie mniejsze płuca od ciebie. Jeśli dmuchniesz za mocno, możesz je rozerwać.

Ray uniósł głowę i wziął drugi wdech.

— Jadła tuńczyka — stwierdził, po czym znów się pochylił, by wdmuchać kotce powietrze w płuca.

Pochylał się raz za razem, masował zwierzęciu serce, ale i po dalszych pięciu minutach kotka nie zdradzała jakichkolwiek oznak życia.

— Ray — powiedział w końcu Jim, kładąc mu dłoń na ramieniu. — Wiem, że chcesz zostać weterynarzem. Wiem, że chcesz ratować zwierzętom życie, ale z tym... przykro mi. Tej kotki naprawdę już nie uratujesz.

Przez łąkę podeszła do nich Laura Killmeyer, jak zwykle w towarzystwie Dottie Osias. Laura była drobna i szczupła, miała długie błyszczące czarne włosy i kredowobłądą twarz, wielkie czarne oczy i powieki, które wyglądały jak długonogie pająki. Czoło zdobiła jej przepaska ze srebrnych monet, a ubrana była w krótką sukienkę z czerwonego szyfonu z nadrukowanymi srebrnymi i złotymi księżycami, do tego sandały, wiązane na sięgające kolan rzemyki. Była jedną z najładniejszych dziewczyn w klasie — na pewno byłaby nią, gdyby nie próbowała usilnie robić się na Złą Wiedźmę Zachodu. Dottie natomiast była grubawa, blada, miała kręcone włosy i stale

rozpalone policzki. Tego dnia wystroiła się w o wiele za duży beżowy dres. Oddanie Laurze demonstrowała zrobionym ze srebrnego drutu wielkim pentagramem, który otaczał jej szyję.

— Co się dzieje, panie Rook? — spytała Laura, dotykając ramienia Jima.

Zawsze tak robiła, ale bardzo delikatnie, nigdy sugestywnie. Uważała, że pokrewne dusze porozumiewają się przez dotyk, a słowa są nieważne. Pierwszego dnia po przyjściu do klasy Jima zaproponowała, że zamiast pisać krytyczny esej o „Kroku” Edgara Allana Poe’go, może Jimowi przez pięć minut masować czoło. Oczywiście odmówił.

Dottie adorowała Laurę, ponieważ ta niezłomnie ją chroniła, nigdy nie krytkowała jej niesamowitej niezdarności, astmy ani nieumiejętności ściągnięcia na siebie uwagi jakiegokolwiek chłopaka oraz dzieliła się z nią sekretami swej amatorskiej czarodziejskiej mocy. Jim był przekonany,

że gdyby Laura poprosiła, Dottie dałaby się za nią zaręczyć. Jeśli jednak chodziło o angielski, to

Dottie znacznie lepiej rozumiała słowa i ich głębsze znaczenia i często była poruszona do łez poezją, która dla Laury stanowiła coś kompletnie niezrozumiałego.

Jim wstał.

— Znaleźliśmy w toalecie martwą kotkę, to wszystko. Ray próbował ją reanimować.

Laura uklękła obok Raya i pogłaskała kotkę.

— Ona nie jest martwa — stwierdziła.

— Przykro mi, Lauro, ale nie oddycha. Według mojej książki oznacza to śmierć.

— Ale pańska książka to nie moja książka. Moja książka mówi, że jeśli ktoś umiera, jego dusza opuszcza ciało i ucieka. Dusza tego kota nie opuściła jeszcze ciała. Dusza tego kota jedynie się chowa. Musimy tylko spojrzeć mu głęboko w oczy i...

Wzięła łebek zwierzęcia w dłoń i pochyliła się nisko — wpatrywała się w jego ślepią z odległości nie większej jak piętnaście centymetrów. Kotka patrzyła żółtymi ślepiami, ale zdaniem Jima, tak czy owak, w dalszym ciągu pozostawała martwa.

"— ...i poszukać jej duszy, która chowa się w jakimś zakamarku tego ciała. Musimy poszperać. Zajrzeć w jej mózg, płuca i wątrobę. Jej dusza jeszcze nie odeszła. Jedyne się chowa, ponieważ śmiertelnie się boi. Nie chce wyjść. O! proszę... chowa się w jej sercu. Jest sparaliżowana ze

strachu. Zdrętwiała. Dlatego serce przestało bić. Gdyby ludzie umieli to zrozumieć...

Ray popatrzył na Jima, dając miną do zrozumienia, że ten hokus-pokus bardzo mu się nie podoba, zwłaszcza że tak starał się zreanimować kotkę. Jim pokręcił lekko głową, jakby chciał powiedzieć: „Niech próbuje. W niczym nie zaszkodzi”.

Laura przyciskała czoło do szczytu łebka kotki i bardzo łagodnie, jakby podśpiewywała pod nosem, mruczała. Jim słyszał jedynie fragmenty pieśni, „...nie chowaj się... wyjdź, pomodlimy się... wyjdź i zatańcz w świetle dnia... w rabiriskiej księdze powiedziano... koty łkają lodowatym oddechem... Wielki Sammael, Anioł Śmierci... leci przez miasto...”.

— Lauro, ona wykitowała — zaprotestował Ray. — Nie męcz jej. Daj jej godnie odejść.

Laura uniosła jednak dłoń nad kotem i zakreśliła nią jakąś figurę. Nikt nie był w stanie dostrzec, jaką — z wyjątkiem Jima, który umiał widzieć rzeczy, jakich nie widzieli inni ludzie.

Umiał widzieć cienie, dusze i duchy. Zobaczył zawirowanie powietrza, które utrzymywało się przez chwilę po geście Laury, i dostrzegł, że narysowała kłębek z ogonem.

— Co to? — spytał, kiwając głową w kierunku kształtu w powietrzu, jakby ciągle się unosił.

— Duchomysz — odparła. — Jedna z rzeczy, jakim koty nie umieją się oprzeć.

— Co to jest duchomysz?

— Częstka duszy każdego z nas. Kiedy śpimy, zwłaszcza z otwartymi ustami, spomiędzy warg wyskakuje nam jasna duchomysz i zaczyna biegać po domu. Nic i nikt nie jest jej w stanie powstrzymać i nikt nie wie, czego chce. Jeśli obudzimy się, zanim wróci, tracimy kawałek duszy. Dlatego nie wolno spać w pokoju, gdzie jest kot. Będzie próbował złapać duchomysz, kiedy wychodzi z naszych ust. To wyjaśnia dlaczego w domach, gdzie są koty, jest więcej nagłych zgo-

nów niż w domach bez kotów.

— Duchomysz, tak? — stwierdził Jim. — Hm. człowiek co dzień uczy się czegoś nowego.

— Może pan widzieć duchy i tak dalej, prawda, proszę pana? W takim razie powinien pan być także w stanie widzieć duchomyszy. — Ponownie zakreśliła figurę w powietrzu, równocześnie cicho mówiła: — Chodź, kocie. Wróc. Wiem, że się tylko chowasz.

— Daj spokój, Lauro — zaprotestował Ray. — Zostaw ją w spokoju, ona jest już tylko historią. Myślisz, że nie spróbowałem wszystkiego?

Laura zamknęła jednak oczy i odchyliła głowę, tak że słońce odbijało się od otaczających jej głowę monet. Szeptala coś, czego Jim nie słyszał, domyślał się jednak, co to może być. Formuła ożywienia. Wezwanie dla zmarłego, by wrócił. Czuł, jak mrowi go potylicą.

Laura wstała. Kotka leżała na trawie z szeroko rozłożonymi łapami, włoski wyschniętego futra poruszały się na wietrze.

— Przecież ci powiedziałem! Nie żyje!

W tym momencie trawa poruszyła się, jakby przeleciał po niej zimny dreszcz. Może to słońce zostało na chwilę zakryte przez chmurę? Jim spojrzał w górę, a kiedy znów spuścił wzrok, kotka miała podniesiony łebek i patrzyła na niego.

— Żyje! — zapiszczała Dottie. — Niech pan spojrzy, panie Rook! Ona żyje!

Powoli kotka przekręciła się na bok. Przez chwilę leżała i dyszała. Potem, pokonując drzenie łap, udało jej się wstać. Laura znów uklękła, wyciągnęła dłoń i zwierzę podejrzliwie powąchało czubki

jej palców.

— Nie mogę uwierzyć... — wydyszał Ray. — Mógłbym przysiąc, że była całkowicie i kompletnie *kaput*.

— Ja też — przyznał Jim. — Wiem, że koty mają podobno dziewięć żywotów, ale to było nie do wiary.

Kotka zaczęła iść po trawniku, zataczając ostrożne koło, węszyła przy tym i przyglądała się wszystkim po kolei. W końcu podeszła do Jima i zaczęła mu się ocierać o nogi.

— Wygląda na to, że został pan zaadoptowany, panie Rook — uznał Christophe.

— O nie. Ja na pewno nie. Zamierzałem kupić psa.

— Za późno. Najwyraźniej jej się pan spodobał.

Jim podniósł kotkę i pogłaskał ją. Nie wierzył, że zrządzenia losu są regułą, ale odkąd stracił poprzedniego kota, kotkę o imieniu Tibbles, miał wrażenie, że kiedyś powróci, jakimś sposobem, może w odmiennej postaci. Nie mógł przejść do porządku dziennego nad tak spektakularnym sposobem, w jaki to zwierzę się zjawilo.

— Jak zamierza pan ją nazwać? — spytała Dottie.

— Nie wiem. Może Pani Horowitz. Miałem w szkole podstawowej nauczycielkę, która nazywała się Horowitz i zawsze wyglądała jak ktoś, kto cudem powrócił spośród martwych.

— Nigdy nie powinien pan dawać kotu ludzkiego imienia — stwierdziła Laura. — Tak jak nie należy dzielić się z kotem niczym osobistym, zwłaszcza jedzeniem. Koty mogą zostać bardzo łatwo opanowane przez demona, szczególnie jeśli traktujemy je jak równe sobie. Dlaczego, pana zdaniem, spoufalają się z nimi czarownice?

— Naprawdę w to wierzysz? — spytał Jim.

— Oczywiście. Nie powinien się pan śmiać z mitów i opowieści starych bab. W każdej z nich jest ziarnko prawdy.

— Niech ci będzie. Nie nazwę jej Pani Horowitz. Nie planujemy chyba wzywać kociego egzorcysty?

— Dlaczego nie nazwie jej pan Titanic? — spytał Christophe. — Była jak statek, nie? Miała fatalne spotkanie z kawałem lodu.

— Nie można nazwać kota Titanic.

— Można nazwać kota, jak się chce. Moja matka nazwała kota Ropa Vieja, ponieważ znalazła go w koszu ze starymi ubraniami.

— Moim zdaniem powinien ją pan nazwać Mrożony Lizak — zaproponowała Dottie.

— A może Lody Na Patyku?

— Chyba zostanę przy Tibbles — oznajmił Jim.

— Tibbles Dwa: Powrót! — dramatycznie ogłosił Ray.

Jim pozwolił zeskoczyć kotce na ziemię. Zwierzę kawałek się przeszło, po czym stanęło, jakby na niego czekało.

— Chyba został pan wezwany — powiedziała z uśmiechem Laura, zasłaniając dłonią oczy przed słońcem.

### ROZDZIAŁ 3

Przed pójściem po południu do domu Jim wszedł na górę do biblioteki szkolnej i poszukał informacji o katastrofach naturalnych, mających związek z lodem i śniegiem.

Znalazł informacje o szeregu gwałtownych ochłodzeń. W tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku, w okolicy Silver Lake w Kolorado, w dwadzieścia siedem i pół godziny spadło dwieście dwadzieścia jeden centymetrów śniegu. Znalazł informację o czterech zdarzeniach, w trakcie

których doszło do zamknięcia w lodzie zwierząt albo ludzi.

W tysiąc dziewięćset trzydziestym roku nad górami Rhön w Niemczech komin powietrzny wepchnął w chmurę burzową pięć niemieckich szybowców i piloci ratowali się, wyskakując na spadochronach. Po otwarciu czasz wiatr porwał każdego wyżej, w region pary wodnej o bardzo niskiej

temperaturze, i każdy pilot stał się jądrem gigantycznej kuli gradu. Cała piątka spadła na ziemię.

Przeżył tylko jeden.

W lutym tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego w Candle na Alasce temperatura spadła tak

gwałtownie, że siedmiu inżynierów petrochemicznych zostało pokrytych grubą warstwą lodu i cała grupa zamarła jak pomnik w miejscu, gdzie została zamrożona.

Jim nie mógł jednak znaleźć żadnej wzmianki o pojawieniu się ograniczonej do niewielkiej przestrzeni „kieszni” lodowej podczas ciepłej pogody — co miało miejsce w męskiej toalecie. W Internecie trafił na jedną czy dwie informacje o nawiedzonych domach, w których część pomieszczeń była niezwykle chłodna, ale od „nienaturalnego chłodu” do „zamarznięcia na kość” daleka droga. Przez cały czas, kiedy Jim czytał, Tibbles Dwa siedziała na krześle nieopodal i uważnie go obserwowała — jakby pilnowała, by nie uciekł i nie zostawił jej samej.

W drodze do samochodu (Tibbles Dwa szła tuż za Jimem) zobaczył na parkingu Jacka Hubbarda, który siedział na klapie paki swego jaskrawożółtego pikapa i rozmawiał z Lindą Starewsky.

Linda była wysoką, potężną dziewczyną, zdawała się składać z samych rąk i nóg i miała kręcone rude włosy, które poruszały się nieustannie wokół głowy niczym zardzewiałe sprężyny. Jej rodzina traktowała naukę szkolną bardzo poważnie. Tak naprawdę wszystko traktowała bardzo poważnie i za każdym razem, kiedy jej członkowie przychodzili do szkoły, by przedyskutować przyszłość Lindy, byli ubrani w ciemne garnitury z krawatami. Mark Petrie, nauczyciel fizyki, mówił na nich „pogrzebowe towarzystwo”. Problem Lindy polegał na tym, że miała wielkie trudności z rozróżnianiem formy zapisu słów i nawet takie proste słowo jak „pies” nie różniło się dla niej z wyglądu od „krew” czy „plan”. Brak pewności w rozpoznawaniu słów spowodował, że dostała anoreksji i Jim zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli nauczy ją prawidłowo czytać, najprawdopodobniej uratuje jej życie.

— Co sądzisz o swym pierwszym dniu? — spytał Jim, rzucając na tył swego cadillaca znak uprawniający do parkowania na terenie szkoły po południu.

— Właśnie rozmawiałem o nim z Lindą — odparł Jack, osłaniając oczy dłonią przed popołudniowym słońcem. — Spodziewałem się czegoś całkiem innego. Sądziłem, że będziemy się



zajmowali zakurzonymi starociami, takimi jak Longfellow.

— Longfellowa też przerabiamy — odparł Jim. — „Lecz ojciec słowem nie odpowiedział, / Bo zimny z niego już trup”.

— Biorąc pod uwagę, co się stało dziś w kiblu, dość to pasuje.

— A co powiesz na to: „Wędrowca wierny odnalazł pies / On w śnieżnej zaspie znalazł swój kres”?

— Jack opowiadał mi o śniegu — uśmiechnęła się Linda, ukazując błyszczący srebrny aparat na zęby. — Mówił, że to nieprawda, iż Eskimosi mają dwadzieścia trzy określenia śniegu, ale jego temperaturę da się ustalić po dźwięku, jaki wydaje, kiedy się po nim idzie.

— To prawda? Jack skinął głową.

— Jeśli stanie się na śniegu i wyda on odgłos jak głębokie chrupnięcie, to ma tuż poniżej zera stopni. Przy minus pięciu dźwięk staje się wyższy, ale śnieg też chrupie. Przy minus piętnastu dźwięk jest podobny do najwyższych tonów skrzypiec, wydobywanych bardzo nieczysto z instrumentu. Przy jeszcze niższych temperaturach odgłos kroków robi się nie znośny. Brzmią jak drapanie nożem po talerzu.

— Dobrze wiedzieć — stwierdził Jim.

Odwrócił się i popatrzył na Tibbles Dwa, która wskoczyła na tylne siedzenie samochodu i siedziała sztywno tuż obok sterty prac, które musiał sprawdzić w domu.

— W Los Angeles ta wiedza na niewiele się przyda, ale za kołem podbiegunowym... — stwierdził Jack. — Może decydować o życiu lub śmierci.

— Masz jakąś teorię na temat tego, co się dziś wydarzyło?

Jack pokręcił głową.

— To jakieś dziwactwo. Może powinien pan pogadać z moim starym. Jest fachowcem, jeśli chodzi o śnieg i lód. Powinien pan zobaczyć parę filmów, które nakręcił w Rezerwacie Arktycznym.

Tam było strasznie. Złapała go burza śnieżna i omal nie został tam na zawsze.

— Oczywiście, bardzo chętnie się z nim spotkam. Powiedz mu, żeby wpadł któregoś dnia po lekcjach do szkoły.

— Spróbuję.

Na parkingu pojawiła się Karen Goudemark, której towarzyszyło jeszcze dwóch nauczycieli — biolog Roger Persky i nauczyciel wychowania fizycznego Chuck Rolle. Roger miał okulary o soczewkach jak denka od butelek i brązowo-białą marynarkę z kory. Twarz Chucka przypominała świński ryj, a jego biały T-shirt wypychały wszelkie możliwe mięśnie. Obaj szli za Karen jak ciągnięci

magnesem. Kiedy Jim jej pomachał, podeszli do niej jeszcze bliżej.

— Jim! — zawołała Karen. — Słyszałam, że znalazłeś dziś nową kotkę!

Boże, jaka ta kobieta była wspaniała... Miała na sobie cytrynowy sweterek z krótkimi rękawami i prostą białą spódnicę, przez co wyglądała jakby właśnie przestała serwować lody w niebie.

— To prawda. Chcesz ją poznać?

Roger Persky spojrział na zegarek, jakby chciał powiedzieć: „Rany boskie, przecież nie masz czasu na oglądanie kota Jima Rooka”, a Chuck Rolle wygiął plecy, napiął ramiona i popatrzył na Jima, jakby zastanawiał się, jak mocno ma mu w razie potrzeby przyłożyć.

Karen podeszła. Ji m podał jej ramię i zaprowadził do swego samochodu.

— Proszę... co o niej sądzisz? Sama myśl, że tkwiła w bloku lodu, jest niesamowita. Wygląda na sprytną, co?

Tibbles Dwa natychmiast wstała i wydała z siebie ostry, złośliwy syk. Sierść na jej grzbiecie nastroszyła się, ogon zmienił w szczotkę do czyszczenia butelek. Karen wyciągnęła rękę, by pogłaskać

zwierzę, ale kotka cofnęła się, wbiła pazury w skórzaną tapicerkę i ułożyła łebek jak szykująca się

do ataku kobra.

— Widać, że mnie nie lubi — stwierdziła Karen.

— Uważa cię za konkurentkę, to wszystko.

— Konkurentkę? W jakim zakresie?

— No wiesz... w walce o mnie. O moje uczucia. Kotki takie już są. Nie dociera do nich, że są kotami, więc za każdym razem, kiedy w życiu ich właścicieli pojawia się atrakcyjna kobieta, nieco się jeżą. A ty przecież jesteś taka... atrakcyjna.

Karen popatrzyła na Jima lekko zmrużonymi oczami, nic jednak nie powiedziała. Po dość długiej chwili Roger Persky ujął ją za ramię.

— Jeśli chcemy uniknąć najgorszych korków, powinniśmy już chyba iść.

— Roger... ee... odwozi cię do domu? — spytał Jim.

— Roger zaprosił mnie na drinka. Właściwie to Roger i Chuck.

— Wspaniale. To naprawdę świetnie...

— Ale?

— Nie było żadnego „ale”. Nic takiego nie powiedziałem.

— Nie musiałeś, widziałam to w oczach.

— Mam „ale” w oczach?

— Karen, naprawdę... — jęknął Roger. — Powinniśmy ruszać.

— Pomyślałem sobie tylko, że wyprzedziłaś Olive Oyl — odparł Jim. — Nawet ona nie umawiała się równocześnie z Popeyem i Bluto.

Chuck dźgnął Jima palcem w pierś.

— Wiesz co, Jim? Czasami bywasz naprawdę napastliwym facetem.

— To był żart, Chuck. Tylko żart. Mam nadzieję, że naprawdę miło spędzicie czas. Idziecie gdzieś potem? Do dyskoteki? Karen, powinnaś poprosić, by zabrali cię do dyskoteki. Roger jest

mistrzem tańców Watussi Zachodniego Wybrzeża, Chuck nie umie tańczyć, ale może napinać mięśnie w rytm muzyki.

Karen uśmiechnęła się i pokręciła głową, lecz się nie roześmiała. Cała trójka odeszła, zostawiając Jima przy aucie. Zacisnął dłoń w pięść i z taką siłą uderzył w drzwi samochodu, że o mało nie połamał sobie palców. Jack i Linda patrzyli, więc choć bolało go tak bardzo, że chętnie użyłby całego słownika brzydkich wyrazów, jakim dysponował, musiał się uśmiechnąć i optymistycznie podnieść kciuk. Wsiadł do samochodu, przekręcił kluczyk. Silnik wydał z siebie basowe kasznięcie, po którym nastąpił potężny wystrzał z gaźnika. Jim czasem sam siebie nie pojmował. Niemal się widział i słyszał — maślane oczy i tekst: „A ty przecież jesteś taka... atrakcyjna”. Do tego ta chora uwaga o Popeyu i Bluto. Tak był zażenowany swym wyczynem, że kiedy stanął przy bramie parkingu, trzy razy walnął głową w kierownicę. Co Karen sobie o nim pomyśli? Proste: że jest lubieżnie uśmiechniętym idiotą z technikami podrywu klasy kanzaskiego komiwojażera z tupecikiem na głowie.

Na skrzyżowaniu z Santa Monica Boulevard zatrzymał się obok niego nowiutki błękitny cougar prowadzony przez opaloną młodą kobietę, która słuchała na cały regulator ostrego rocka. Normalnie Jim opadłby nonszalancko na oparcie, zdjął okulary i obdarował kobietę spojrzeniem światowca a la Jack Nicholson. teraz jednak siedział skulony za kierownicą, na czole puchła mu czerwona pręga i czuł się jak trzynastolatek.

Jego nowe mieszkanie znajdowało się na najwyższym Piętrze białego budynku przy Windward Avenue. Budynek został wzniesiony w tysiąc dziewięćset jedenastym roku w stylu uznawanym w Los Angeles za włoski i choć nieźle ucierpiał z powodu przebudowy na początku lat sześćdziesiątych, zachował chłodną elegancję, która była rzadkością nawet w Venice.

Mieszkanie miało duży, wysoki salon, którego okno wychodziło na wewnętrzne podwórze

budynku. Za oknem znajdował się wąski balkonik z miejscem jedynie na dwa wiklinowe krzesła i zepsuty meksykański bęben, którego Jim używał jako stolika.

W głębi salonu umieszczono część jadalną z pokrytym ciemnobrązowym laminatem stołem i okienkiem do kuchni. Mieszkanie miało dwie sypialnie — choć jedna była tak mała, że aby otworzyć i zamknąć drzwi, trzeba było wchodzić na łóżko.

Jim próbował udekorować pokoje nieco bardziej stylowo niż poprzednie miejsce zamieszkania. Kupił trzy wielkie abstrakcyjne malowidła (na wszystkich były wyłącznie czerwone kręgi) oraz zielononiebieską kompozycję, która przedstawiała najprawdopodobniej spadającą ze skrzynki pocztowej choinkę bożonarodzeniową. W wysokiej wazie z nie glazurowanej gliny udrapował pomalowane na niebiesko suszone trawy z pampasów, obok postawił figurę konia z papier-mache, którą znalazł pod sceną szkolnego teatru. Był jaskrawożółty i ścigał Jima nieruchomym wzrokiem po pokoju, Jimowi wydawało się jednak, że koń wygląda wesoło. Tibbles Dwa weszła ostrożnie do mieszkania za swym nowym właścicielem, po czym zaczęła wszystko dokładnie obwąchiwać. Jim poszedł do kuchni i rozpakował zakupy. Pamiętał, co Laura Killmeyer mówiła o karmieniu kotów ludzkim jedzeniem, więc w drodze powrotnej zatrzymał się w Ralphie i kupił siedem puszek indyka w sosie, a dla siebie dwie piersi kurczaka i ćwiartkę sera fontina. Zamierzał przygotować swą ulubioną potrawę na kaca: kurczaka z topionym serem i wulkanicznie ostrym sosem salsa.

Otworzył puszkę coorsa i pociągnął sześć dużych łyków, co okazało się o dwa za dużo, musiał bowiem stać przez długą minutę w kuchni, oczy mu łzawiły i walił się w pierś, by złapać powietrze. Kiedy się otrząsnął, poszedł z resztą piwa na balkon, żeby nacieszyć się ostatnim ciepłem dnia i więcej

o tej porze od morza bryzą. Tibbles Dwa wyszła do niego i skoczyła na drugie krzesło, jakby mieszkali

ze sobą od dawna.

— Więc skąd przybywasz? — spytał. — Na jaki spowity mrokiem brzeg cię wyrzuciło?

Tibbles Dwa wpatrywała się w niego przymrużonymi ślepiami. Jim nieraz się zastanawiał, czy można poznać kocie myśli. Może należałoby mierzyć impulsy synaptyczne i przetwarzać je komputerowo na obrazy. Prawdopodobnym efektem byłaby zmieniająca się jak w kalejdoskopie mieszanina rybich łbów, ciepłych poduszek i nagłych lunatycznych skoków za kłębkami wełny.

— Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, iż oczekuję od moich kotów całkowitego posłuszeństwa. Będziesz wychodzić, kiedy powiem, i wracać, kiedy ci każę. W nocy ma nie być skrobania w drzwi z powodu jakichkolwiek widzimi się. A kiedy przyjdę z dziewczyną, nie będziesz siedzieć na kanapie i zabijać mnie wzrokiem.

Tibbles Dwa przez chwilę się zastanowiła, po czym zeskoczyła z krzesła i poszła do salonu. Za chwilę wróciła. stanęła w otwartych drzwiach i zamiauczała.

— Czego chcesz? Nie możesz być głodna. Nie możesz na pięć minut usiąść i się odprężyć? Kotka ponownie zamiauczała. Miauczała tak długo, aż Jim musiał wstać i pójść za nią do mieszkania.

— Chcesz iść do łazienki? Mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo nie lubię kociego kibla. Nic tak skutecznie nie wygania godnej pożądania kobiety jak kuweta z kocimi odchodami pod umywalką. Jeśli chcesz e-e. musisz znaleźć sobie miejsce na wychodnym.

Tibbles Dwa nie zrobiła jednak żadnego ruchu w kierunku drzwi wejściowych. Zamiast tego skoczyła na tył kanapy i zeszła na niewielki stolik za nią, na którym stała lampa o szklanej podstawie, leżał stosik książek w miękkich okładkach, muszla, którą Bili Babouris, zaprzyjaźniony nauczyciel, przywiózł z Grecji, oraz talia kart do tarota.

Tibbles Dwa stała na stoliku, wachała raz za razem karty i miauczała.

— Przesadzasz. Chcesz, bym przepowiedział ci przyszłość? — Tibbles Dwa nie odwracała od niego wzroku. — Rozumiem. Chcesz, bym sobie przepowiedział przyszłość. Przepraszam, nie

jestem w nastroju. Moja przyszłość jest znana: nigdy nie umówię się na randkę z Karen Goudemark.

Za każdym razem, kiedy ją zobaczę, powiem coś idiotycznego i zacznę myśleć, że jestem niedorozwinięty

emocjonalnie. Poza tym doktor Friendly znajdzie sposób na zlikwidowanie drugiej klasy specjalnej, a ja do

końca życia będę sprzedawał ołówki. Odwrócił się, by wrócić na balkon, ale Tibbles Dwa

wydała z siebie długi skowyt, jakby zaraz miał ją zaatakować śmiertelny wróg. Stała z jedną łapą na talii kart, jej uszy drżały, a sierść się nastroszyła.

— Co się z tobą dzieje? Jesteś kotem, kapujesz? Nie rozumiesz, do czego służą karty do tarota.

Nie rozumiesz nawet, co to jest przyszłość, nie mówiąc już o umiejętności jej przepowiadania. Złóż

stolika i zacznij się zachowywać jak normalny kot. Nie wiem, idź polizać sobie tyłek albo coś w tym rodzaju.

Tibbles Dwa nie ruszała się jednak, jej futro sterczało jak naelektryzowane. Jim chwilę się wahał, w końcu podszedł do stolika i wyjął kotu talię spod łapy. Usiadł na kanapie, przełożył karty i zaczął je tasować z prędkością doświadczonego fachowca, który spędził niejedną noc na przegrywaniu

pensji w pokera. Tibbles Dwa zeskoczyła na kanapę tuż obok i wnikliwie obserwowała jego poczynania.

— Jeśli się okaże, że ma mi się przydarzyć coś naprawdę niemiłego, przypiszę winę tobie. Z przemianą toalety w górę lodową i czepianiem się doktora Friendly'ego miałem już dość kłopotów jak na jeden dzień.

Rozłożył karty w krzyż celtycki. Ostatnio nieczęsto używał tarota, w zasadzie głównie po to, by zabawiać zapraszane kobiety — każdą fascynowało przepowiadanie przyszłości. Uważał, że karty dają

zbyt dokładne przepowiednie, a wolał, by kolejne życiowe katastrofy go zaskakiwały. Poza tym ciągle się obawiał, że któregoś dnia wyłoży sobie kartę Śmierć. Jeśli pisane mu było zginąć we

wraku samochodu albo paść trupem z powodu zatoru w tętnicy wieńcowej, wolał o tym nie wiedzieć z góry. Przeznaczenia nie da się uniknąć, i to bez względu na to, jakie środki zapobiegawcze się podejmie. Jeśli tarot mówi, że się umrze, możesz zostać w domu i zawinąć się w kołdrę, a śmierć i tak cię dopadnie.

Tym razem karty okazały się nieciekawe. Jutro pójdzie jak zwykle do pracy. Będzie miał niewielką, ale irytującą kłótnię z kimś znajomym — bez wątpienia doktorem Friendlym. Odczuje nieoczekiwaną zmianę pogody. Od kogoś, kogo nigdy przedtem nie spotkał, dostanie zaproszenie do domu — to mogło być ciekawe. Było jeszcze coś — o rękach — czego nie umiał zinterpretować. Chodziło o kombinację „ręce” i „łamanie” albo „trzask”, niejasne pozostawało jednak, o co dokładnie chodzi i komu ma się przydarzyć. Najwyraźniej nie chodziło o niego. Może ktoś, kogo zna, złamie sobie palec.

— Co o tym sądzisz, TD? — spytał Tibbles Dwa, ale kotka zamknęła oczy i nawet nie miauknęła.

Sięgnął po przedostatnią kartę. Mówi ona człowiekowi, jak wygląda jego aktualna sytuacja i dlaczego powinien poznać, co przyniesie przyszłość. Jim odwrócił ją i aż zmarszczył czoło w kompletnym zdziwieniu. Jeszcze nigdy nie widział takiej karty. Była to całkiem nowa, nie występująca w tarocie karta. Obrazek ukazywał postać na lodowej pustej przestrzeni, a w górze czarne rozgwieżdżone niebo. Postać miała na sobie białą, marszczoną przez wiatr szatę z kapturem. Twarz postaci była całkowicie biała, bez ust i nosa. jedynie w górnej części znajdowały się ciemne okulary z niewielkimi, prostokątnymi szklami. W ręku trzymała długą, białą laskę.

W śniegu obok widać było ślady stóp, wyglądały jednak jakby zostały zrobione przez kogoś, kto przeszedł obok. Sama postać nie pozostawiła śladów.

Na dole wszystkich kart tarota znajduje się nazwa — na przykład: Głupiec, Śmierć albo Piątka



Buław, na tej karcie pozostawiono miejsce na nazwę, ale było puste. Jak twarz postaci.

Jim bardzo długo przyglądał się karcie, a Tibbles Dwa go obserwowała. Od lat zajmował się tarotem i wydawało mu się, że zna całą talię od początku do końca. Skąd wzięła się ta karta? Nie mogła cały czas tkwić nie wyjęta w opakowaniu. A jeśli tak — dlaczego wydostała się akurat dziś?

Na obrazku nie było nic, co mogło pomóc zrozumieć symbolikę karty. Postać po prostu stała bez ruchu na śniegu. Gwiazdy narysowano bardzo dokładnie, więc Jim uznał, że może dałoby się coś więcej wywnioskować, gdyby sprawdzić, jakie ukazano konstelacje.

Karta powodowała w sercu Jima złe przeczucie. Nie wynikało jedynie stąd, że jeszcze nigdy jej nie widział — bardziej ze sposobu, w jaki postać stała. Jakby czekała na kogoś i nie zamierzała odejść, póki nie dostanie, czego chce. Jakby nigdy nie zamierzała odejść.

Położył kartę i podszedł do regału. Wyjął egzemplarz „Interpretacji tarota” z pozaginanymi rogami i zaczął kartkować w rozdziale ukazującym w kolorze wszystkie karty. Talia tarota składa się z 22 tradycyjnych kart archetypowych, zwanych Wielkimi Arkanami, ponumerowanych od Odo 21, z wyjątkiem numeru 13 — karty przedstawiającej Śmierć. Wśród Arkanów znajdują się Słońce.

Wisielec. Kochankowie, Księżyc i Głupiec. W niektórych taliach Śmierć oie jest nazywana, ale postać

w kapturze nie była Śmiercią. Musiała reprezentować coś innego, coś wykraczającego poza śmierć. Coś,

co stoi na lodowej pustyni i czeka — Bóg jeden wie na co.

Do uszu Jima dobiegł odgłos gwałtownego drapania. Rozejrzał się i stwierdził, że Tibbles

Dwa stoi na kanapie z rozszerzonymi ślepiami, wygiętym w łuk grzbietem i wściekle

wyszczerkzonymi kłami. Karty tarota, które jeszcze przed chwilą leżały na stoliku, tańczyły w powietrzu

i fruwały, jakby unosił je silny wicher. Wznosiły się wirującym ruchem coraz wyżej i wyżej, okrężały

stolik, omiatały, aż powstały cztery kolumny migoczącego i błyskającego papieru. Oślepiające światło

i kolory poruszały się tak szybko, że mogło się zakręcić w głowie.

Cztery kolumny pochyliły się lekko w prawo, niemal jakby były czwórką opierających się wiatrowi ludzi. Jim powoli podszedł i obserwował to z fascynacją. Stwierdził, że wyglądają tak samo

jak cztery pionowe kreski, które widział na zaroszonych lustrach w szkolnej toalecie. Kolumny z kart wydawały dźwięk, który przypominał mu zabawę z dzieciństwa: kiedy wetknęło się w szprychy koła roweru kawałek tektury, podczas jazdy powstawał głośny terkot.

Przeciągnął dłonią nad papierowymi kolumnami, ale nie poczuł wiatru, który mógł powodować ich unoszenie się. Karty tańczyły same z siebie, nie poruszał nimi naturalny wiatr.

— Co to, do diabła, ma znaczyć. TD? — spytał kotkę.

Spotykał się już z różnymi zjawiskami nadprzyrodzonymi i wierzył w ich istnienie, to jednak było niezwykle. Blisko czterdzieści kart służących przepowiadaniu losu wirowało mu przed nosem, do tego w pomieszczeniu bez ruchu powietrza i ani nie zamierzało opaść, ani stracić rozpędu.

Jim ukląkł obok stolika. Wyciągnął rękę i dotknął jednej z karcianych kolumn. Trzy lub cztery karty na chwilę się rozproszyły, zaraz jednak wróciły na swoje miejsce. Po krótkim czasie w powietrze wleciały te, które jeszcze pozostały na stoliku — jakby ktoś rzucił je w górę gwałtownym wymachem ręki i rozprysnęły się na tysiące drobnych kawałeczków. Chmura fragmencików latała wszędzie — śmigąła po stole i podłodze jak śnieżna burza, a cztery karciane kolumny pochyliły się mocniej, by oprzeć się wyimaginowanemu wichrowi.

TD miauknęła i machnęła łapą, jakby chciała powiedzieć: „Patrz, głuptasie. Patrz, co się dzieje na twoim stoliku. To wiadomość. Znak. Obserwuj, co ci pokazuję, i ucz się”.

— Nie wiem! — krzyknął do niej Jim. — Nie mam pojęcia, do diabła, co mam w tym zobaczyć!

Karty wirowały coraz szybciej, a przypominająca śnieżną burzę kurzawa papierowych skrawków wypełniła salon. Część wyleciała przez okno, część pofrunęła na balkon i obsypała go niczym konfetti. Tak samo nagle, jak zaczęły tańczyć, karty opadły na stolik i zamarły bez ruchu, bezładnie rozrzucone, „burza śnieżna” powoli zamierała — papierowe fragmenty opadały spiralami na podłogę.

— Bardzo pouczające, nie powiem — stwierdził Jim, rozglądając się po zasłanym papierowym miałem salonie. — I bardzo nieporządne.

Tibbles Dwa zeskoczyła z kanapy, poszła do kuchni i po chwili rozległo się stamtąd głośne chleptanie mleka sojowego. Jim wstał i zebrał wszystkie nie zniszczone karty. Przejrzał je trzy razy, ale nie było karty z postacią w kapturze. Musiała być wśród tych, które same się zniszczyły i przemieniły salon w jaskinię świętego Mikołaja. Jim poszedł do kuchni, po czym wrzucił karty do kosza na śmieci.

Zamierzał wziąć prysznic, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi. Wyjrzał przez judasza i ujrzał zniekształconą wersję mieszkającego po drugiej stronie korytarza Mervyna Brook-fellera. Otworzył drzwi.

— Cześć, Mervyn! Właśnie szedłem pod prysznic i chciałem potem wpaść do ciebie, żeby ci podziękować za sprzątnięcie mieszkania. Świetnie to zrobiłeś.

Mervyn miał metr dziewięćdziesiąt jeden wzrostu i nosił buty na grubych podszwach, które powodowały, że sprawiał wrażenie jeszcze wyższego. Na dodatek czesał się tak, że z przodu głowy sterczała mu wysoka fala włosów, dzięki czemu optycznie dochodził do metra dziewięćdziesięciu sześć-

ciu. Wyglądał jak Kris Kristofferson — gdyby Kris Kristofferson urodził się z oczami. Nosił

zazwyczaj wyszywaną w maki białą satynową kamizelkę i obcisłe białe satynowe rybaczki. Paznokcie miał długie

jak u kobiety, nieskazitelnie pomalowane purpurowym lakierem. Choć jak każdy w tym budynku, był jedynie najemcą, mianował się sam czymś w rodzaju gospodarza domu, więc wymieniał bezpieczniki, wyjmował łyżeczki, które wpadły do mielarek śmieci pod zlewozmywakami, sprzątał korytarze i wysłuchiwał problemów wszystkich mieszkańców. Pod pseudonimem Chet Sideways śpiewał w kabarecie w Slant Club przy Abbot Kinney Boulevard.

Wszedł na bocianich nogach do mieszkania Jima, po czym rozejrzał się po pokrytych papierowym śniegiem meblach i podłodze. Odwrócił się do Jima. rozłożył szeroko ręce. prosząc niemym gestem o wyjaśnienie.

— Przepraszam — usprawiedliwiał się Jim. — Naprawdę świetnie posprzątałeś, ale kiedy przyszedłem do domu. miałem małą przygodę.

— Przygodę? Wygląda na to. że się ożeniłeś. Gratuluję. Kim jest szczęściara?

Tibbles Dwa wyszła z kuchni, oblizując wąsy.

— Ożeniłeś się z kotem! Cóż za nowatorski pomysł!

Wiem, że większość mężczyzn wzdycha za młodymi kociakami, ale... ty miałeś odwagę to zalegalizować!

— Zamknij się, Mervyn. Coś się stało... coś dziwnego.

— W takim razie nalej mi porządnego drinka.

Jim nalał dużą szklankę Jacka Danielsa. Mervyn upił łyk i wzdrygnął się, jakby połknął coś niemiłego.

— O to chodziło! Teraz mów, co się stało.

— Nie wiem dokładnie, ale... wyglądało na to, że ktoś chciał mi coś powiedzieć.

Opowiedział Mervynowi o zamarznętej fontannie w szkole, pełnej lodu toalecie i tańczących kartach.

— Zostałeś ostrzeżony — stwierdził afektowanie Mervyn. — Nie ma najmniejszej

wątpliwości. Dostałeś ostrzeżenie z zaświatów. Moja ciotka Minnie widywała w ogródku ropuchy i wkrótce poznała wuja Irvine'a. Mój brat Aaron też dostał znak. Jego elektryczny czajnik zrobił spięcie i nadpalił ścianę w kuchni, a znak przypominał brodatego mężczyznę. Następnego dnia został przejechany przez brodacza w buicku electrze.

— I co?

— Jak to: „I co”? Umarł. Miał dopiero dwadzieścia trzy lata.

— Żartujesz sobie ze mnie?

— To był mój brat, Jim. Pokazać ci zdjęcie?

— Nie, nie trudź się.

— W każdym razie został ostrzeżony, tak jak ty teraz. Bardzo niskie temperatury zawsze zapowiadają zbliżanie się diabła. Nie widziałeś „Egzorcysty”? Do tego wirujące same z siebie przedmioty... bardzo złe wieści. No i ten podarty papier, który wygląda jak śnieg.

Oczywiście — pomyślał Jim. — Dokładnie tak to wyglądało. Jak śnieg. Cztery postacie w śnieżnej burzy. Ktoś próbował przekazać wiadomość mającą związek z lodem i śniegiem i ostrzec, że przydarzy mu się coś okropnego.

Mervyn kręcił się po pokoju i podnosił kolejne kawałki porwanych kart. Pochylił się nad stolikiem, na którym rysunkiem do dołu leżała ostatnia — której Jim nie zdążył odwrócić. Oznaczała los, który czeka na jego drodze.

— Nie dotykaj! — krzyknął Jim, kiedy Mervyn sięgnął po kartę, ale było już za późno.

— Trochę ponure, nie? — spytał Mervyn, machając trzy maną w palcach kartą „Śmierć”.

## ROZDZIAŁ 4

Następny poranek był gorący i mglisty. Niebo nad Los Angeles nabrało dziwnego, nieziemskiego brązu, jakby Bóg użył truskawkowego filtra.

Z początku Jim martwił się, że TD zechce iść z nim do szkoły, po śniadaniu kotka zwinęła się

jednak na „swoim” krześle na balkonie i zasnęła, najwyraźniej więc miała chęć zostać tam, gdzie była.

Po wyjściu z windy Jim wpadł na Mervyna. Mervyn był ubrany w kobiecą satynową szatę, która przypominała togę, obrzuconą zielonymi i czerwonymi japońskimi kwiatami. Właśnie wracał ze sklepiku na rogu, gdzie kupił wielką butlę soku z papai.

— Dobrze robi na zmysł równowagi. Kiedy pijesz sok z papai, możesz iść na wszystkie najgorsze jazdy w Knotfs Berry Farm i nigdy nie zakręci ci się w głowie. Dawali go pilotom kamikaze.

— Rzucisz okiem na moją kotkę? — spytał Jim. — Wygląda na to, że wszystko z nią w porządku, ale nigdy nic nie wiadomo.

— Oczywiście. Zwłaszcza z tą-no-wiesz groźbą nad twoją głową.

— Karta „Śmierć” niekoniecznie oznacza, że ktoś ma umrzeć. Może, nie dosłownie, oznaczać „śmierć” czegoś innego. Związku. Części życia.

— To i tak straszne! Brrr! Jedź ostrożnie.

Jim przyjechał do szkoły spóźniony o pięć minut. Doktor Friendly wyszedł z pokoju nauczycielskiego akurat w momencie, kiedy Jim skręcał za róg.

— James!

— Wiem. Każdy dzień to decydująca bitwa. I proszę próbować mówić mi Jim.

— Chciałem jedynie, by pan wiedział, że mamy po południu ważnych gości. Dwóch zastępców ministra z waszyngtońskiego Ministerstwa Oświaty. George'a Corcorana, odpowiedzialnego za edukację pomaturalną i Madeleine Ouster od nauczania specjalnego.

— Rozumiem. Chce pan, by moja klasa wyglądała na nieco mniej nienormalną niż zwykle.

— Nieprawda. Nie oczerniam pańskich uczniów, James. Chodzi tylko o to, że nikt by nie próbował kazać świni startować w derby Kentucky, nieprawdaż?

— Nie, a pan nie zjadłby kanapki z koniną z konia wyścigowego. O co więc chodzi?

Doktor Friendly wciągnął powietrze i miał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie.

Jim wszedł do klasy i rzucił książki na biurko. Uczniowie leniwie prostowali się na tyle, by nie zginać się w pół. a jedynie garbić, Washington zdjął czapkę bejsbolówkę. Jim przez chwilę chodził po

klasie i obserwował dzieciaki. Może koniec końców doktor Friendly miał rację. Może naprawdę marnował swój czas i pieniądze podatników. Jeden rzut okiem na te pełne oczekiwania twarze wystarczył jednak, by wiedzieć, że nigdy ich nie porzuci. Nie mógłby ich zostawić bez podstaw znajomości literatury. Byłoby to jak trzymanie dziecka przez całe życie pod kluczem w jednym pokoju i

niepow jedzenie mu. że istnieją drzewa, ludzie i niebo — nieważne jakiego koloru.

— Dziś czuję się znośnie — oświadczył. — Dobrze spałem, wziąłem prysznic, ogoliłem się i zjadłem miskę chexa z greckim jogurtem. Jestem gotów przeczytać wasze zdanie na temat mego wczorajszego wyglądu. — Zaczął chodzić między ławkami i zbierać kartki. — Wydaje mi się, że

urazę do papieru. Zaczynacie pisać na białych, prostokątnych i gładkich kartkach, a kiedy kończycie, one wracają niemal do stadium pulpy drzewnej. — Podniósł pracę Joyce Capistrano, w której było pełno małych dziurek. — Popatrzcie na to. Prosiłem o wkład w historię literatury ekspresyjnej, a co dostaję? Podkładkę z plecionego ciasta.

Z tyłu klasy Nestor Fawkes próbował zakryć swą pracę łokciami. Nestor nigdy się nie uśmiechał, miał ziemistą cerę i wywodził się z bardzo źle funkcjonującej rodziny. Na twarzy miał zawsze pełno ciemnoczerwonych plam i fioletowych siniaków. Jego starszy brat siedział w więzieniu za próbę morderstwa, a ojciec regularnie bił matkę tak, że ledwie chodziła. Nestor zawsze miał na sobie tanie, zupełnie na niego nie dopasowane łachy i rozpadające się buty. Jim wątpił, czy istnieje dla

niego jakakolwiek szansa na lepsze życie. Cóż, życie nigdy nie było tak łaskawe, ale musiał próbować.

Jeśli nie mogło go uratować zrozumienie „Spójrz ku domowi, aniele”, to nic go nie było w stanie

uratować.

— Nestor, chciałeś dać mi swoją pracę?

Nestor przekrzywił głowę i popatrzył na Jima z ukosa.

— Nic jest niewarta, nie.

— Co to znaczy: „nic jest niewarta”? Chcesz powiedzieć, że jest nic niewarta?

— Tak jest. proszę pana. Nie jest warta nic.

Jim podszedł tuż do chłopaka.

— Kim jesteś? — zapytał ostro.

Nestor ze zdziwienia aż zamrugał.

— Kim jesteś? — powtórzył Jim.

— Jestem Nestor Fawkes, proszę pana.

— Zgadza się. Jesteś Nestor Fawkes. Uczeń. Ja jestem pan Rook. Nauczyciel. Ty piszesz.

Ja oceniam. Innymi słowy, rób, co możesz, i nie bądź pesymistą. Może uda ci się mnie zaskoczyć.

Nestor siedział ze spuszczoną głową i nic nie mówił. Jim złapał róg kartki i powoli wyciągnął ją spod łokci. Niezwykle równymi, dużymi literami Nestor napisał:

JAK CZŁOWIEK CO GO WIDZIAŁEM PRZY AUTOSTRADZIE A OCZY MIAŁ  
PUSTE PRZEZ KRUKI

Jim położył mu rękę na ramieniu i dodał otuchy uściskiem. Jeśli Laura Killmeyer umiała się komunikować poprzez dotyk, może on też umiał. Chciał, by Nestor wiedział, że napisał niezwykle mocny i obrazowy opis, który był tym bardziej szokujący, że mówił czytelnikowi znacznie więcej o autorze niż o przedstawianym obiekcie. Kto mając dziewiętnaście lat, widział leżącego przy autostradzie trupa z wydziobanymi oczami?

Jeżu — pomyślał Jim — naprawdę tak źle wyglądałem? Powinienem dać sobie spokój z



tequila.

Wrócił do biurka.

— Świetnie. Zaczę czytając wasze wspaniałe twory, a wy przez ten czas otwórzcie

„Amerykańskich poetów XX wieku” na stronie sto dwudziestej ósmej i przeczytajcie „Wrak samochodu” Karla Shapiro. Przeczytajcie wiersz trzy razy. Ostatnie wersy przeczytajcie po cztery lub więcej razy. Aż uznacie, że rozumiecie, do czego autor zmierza. Mówi o tym wraku samochodu:

*Kto jest niewinny?*

*Śmierci mi wojnie, która z ręki przyszła;*

*Przyczynę ma samobójstwo, mają ja martwe urodziny,*

*To logiczne; także rak, co łatwo niczym kwiat rozkwita.*

*Wymaga to jednak okultystycznego podejścia,*

*Unieważnia naszą fizykę z parsknięciem i rozpryskuje wszystko, co wiemy o fabule,*

*Po kamieniach haniebnych i oportunistycznych.*

Ray Krueger podniósł rękę.

— Co znaczy „porty... mistycznych”, panie Rook?

— To taka francuska zabawa — wyjaśnił Tarquin Tree. — Ściąga się portki i robi się mitycznie.

— Jeśli, to już „mitycznie”, nie „mitycznie” — stwierdził Jim.

— Mitycznie, mistycznie, co za różnica? — prychnął Tarquin Tree.

— Jak to, co za różnica? I ty to mówisz?! Twierdzisz, że chcesz pracować w NASA, tak?

Pójdiesz do nich i chcesz nie umieć wyjaśnić im różnicy między „mitycznie” a „mitycznie”?

Jim był przyzwyczajony do tego typu surrealistycznych przekomarzań i nie bał się ich. Jego uczniowie różnie słyszeli słowa i różnie je czytali — jeżeli w ogóle byli je w stanie przeczytać.

Świadomie ich prowokował, by skłonić ich umysły do pracy, wymusić zadawanie pytań, dać im

poczucie pewności siebie. Zachęcał do rozkładania słów na kawałki, jak rozkładali na kawałki silniki w szkolnych warsztatach i tak samo jak tam im kazano — kazał je z powrotem składać.

— Dobrze, starczy — powiedział, unosząc ręce. — Chodzi o „oportunizm”. Używajcie słowników do zrozumienia nieznanymi słów. Nie mruczcie pod nosem, kiedy czytacie. Nie jesteście półgłówkami, tylko uczniami klasy wyrównawczej angielskiego. Dottie, nie potrzebujesz linijki do liczenia wierszy. Bądź odważna. Wypłyn na morze słów. Poniosą cię bez problemu jak lady Shallot. Nie utoniesz.

— Tak jest, panie Rook — mruknęła Dottie, poczerwieniała jak burak i schowała do plecaka linijkę z motywami Disneya.

— Ray, „oportunizm” pochodzi od łacińskiego *opportunus*, czyli „wiatr wiejący w kierunku portu, przychylny, wygodny”, a pojęcie oznacza konformizm, ugodowość, rezygnację z zasad dla doraźnych korzyści.

— Panie Rook, człowiek co dzień uczy się czegoś nowego, prawda?

Washington opadł na oparcie krzesła.

— Mój tata twierdzi, że co dzień uczymy się czegoś nowego i co dzień coś zapominamy.

Wczoraj zapomniał, kto był w roku, kiedy się urodziłem, najlepszym nowicjuszem w NBA.

— Julius Irving z Filadelfii — odparł Jim. — A teraz się przymknij i skoncentruj swą wędrującą uwagę na czytaniu wiersza.

Washington patrzył na Jima z otwartymi ustami.

— Skąd pan wiedział? To niesamowite. Julius Irving. Nie mogę uwierzyć, że pan to powiedział.

— Wiersz, Washington.

Kiedy druga klasa specjalna w końcu przeszła do zwykłego stanu, czyli szeptania, chichotania, przekazywania sobie karteczek i wiercenia się, Jim rozparł się w fotelu, położył nogi na

biurko i zaczął czytać opisy swego wczorajszego kaca.

„Wyglądał jak duch, zaglądający przez brudne okno”. To napisała Dottie i dał jej szóstkę.

„Miska pomarszczonego budyniu z sago z 2 śliwkami zamiast oczu”. Tak napisała Mandy Saintskill.

Murzynka z Haiti. „Wyobraź sobie pijaczka z pomarszczoną papierową torebką, w której ma flachę whisky. Zmarszczki na torebce to twarz”. To pochodziło od Laury Killmayer i wskazywało na duże zdolności para-psychiczne. Postawił jej czwórkę.

Suzie Wintz napisała: „Wrak anioła”. Bardzo mu się to spodobało. Było bardzo dokładne.

Kuszące i bardzo, naprawdę bardzo pochlebne. Krył się w tym opis posiniaczonej ale zazwyczaj przystojnej twarzy, były spalone pióra i wielka tragedia. Postawił jej siódemkę i wiedział, że tego pożałuje. Ostatnia praca została napisana przez Jacka Hubbarda W odróżnieniu od reszty kartek nie była wymiętoszona. wyglądała na świeżutką, jakby ledwie jej dotykał. Liter \ były bardzo małe, więc żeby przeczytać tekst, Jim musiał podsunąć kartkę pod nos. Kiedy to robił, widział kątem oka, że Jack Hubbard obserwuje go z miną będącą mieszaniną oczekiwania i podejrzliwości, optymizmu i cynizmu. „Pańska twarz zniknęła i na jej miejscu nie było nic poza śnieżną burzą. Zatracił się pan za maską tego, co zrobił”. W przeszłości nieraz robił to samo: kazał uczniom opisywać siebie. Zawsze kończyło się to tym, że na wierzch wychodziło znacznie więcej o nich niż o nim. „Zatracił się pan za maską tego, co zrobił”. Nie brzmiało to tak, jakby Jack mówił o sobie, ale nie mówił także o Jimie. W końcu nowy uczeń wcale go nie znał.

Jim podniósł długopis, by napisać ocenę, nie umiał jednak zdecydować jaką. Słowa przypominały Harta Crane'a, który pisał takie wersy jak: „Adagia wysp wplatają w ciemną spowiedź dzwonów / Wyszepiane wyznania nurtów i rozprysków”. Wie się, co to ma znaczyć, a jednocześnie się nie rozumie.

Kiwnął ręką na Jacka, by podszedł do jego biurka. Chłopak wyplątał się zza ławki i podszedł w nieco nadąsany. luzacki sposób, typowy dla młodych mężczyzn, którzy wiedzą, że świetnie się

prezentują. Kiedy ją mijał. Suzie Wentz przyklepała sobie włosy i wyeksponowała paznokcie — dziś w

migoczącej żółci.

— To, co napisałeś, jest bardzo ciekawe — stwierdził Jim, kiedy Jack podszedł. — Mam jednak wrażenie, że to nie o mnie. Albo nie tylko o mnie. O mnie i o kimś jeszcze.

Jack wzruszył ramionami i nic nie powiedział.

— Podoba mi się metafora burzy śnieżnej na miejscu twarzy. To bardzo przemawia do wyobraźni. Zimno, biel, brak czegokolwiek, na czym można by się skoncentrować. Co jednak takiego zrobiłem, za czym miałbym się zatracić?

— Chyba za ostro pan balangował. Wypił za dużo.

— Nie wydaje mi się... sugestia idzie moim zdaniem dalej.

— To się chyba może przydarzyć każdemu, kto uważa: „czort z jutrem”.

— Jestem jedyną osobą, którą masz na myśli? Trudno mi uzasadnić, dlaczego tak uważam, ale sądzę, że kierujesz ten komentarz do kogoś jeszcze.

Jack przez chwilę się zastanawiał, jego oczy niczego nie zdradzały.

— Ktoś mi powiedział, że jest pan w stanie widzieć różne rzeczy — rzucił w końcu.

— Kto?

— Któraś z dziewczyn. Mówiła, że może pan widzieć duchy i takie różne. Zwidy.

— To prawda. W dzieciństwie omal nie umarłem i od tego czasu widzę różne przejawy duchowości, których inni nie dostrzegają. Niekoniecznie duchy, także aurę i niewidoczne zwykłym okiem znaki. Moim zdaniem każdy mógłby widzieć to co ja, gdyby wiedział, jak patrzeć. To jak poukładane z określonych wzorów trójwymiarowe obrazy. Trzeba tylko odpowiednio spojrzeć.

— Widział pan coś w okolicy? Ostatnio? Jim pokręcił głową.

— Hm... mmm... Dlaczego pytasz?

— Bez powodu. Byłem po prostu ciekaw.

Jim opadł na oparcie fotela i przyjrzał się chłopakowi. Obracał w palcach długopis.

— Chcesz mi coś powiedzieć?

— Nie, proszę pana. Wszystko jest jak trzeba.

— Jestem nauczycielem od dawna, Jack. Wiem, kiedy coś gnębi człowieka.

— Nic mi nie jest, proszę pana. Nie ma żadnego problemu.

Gdy Jack wracał do ławki, Suzie Wintz odprowadzała go wzrokiem.

— Ale ee-ksss-tra tyłek... — przekazała Lindzie Starewsky, bezgłośnie poruszając ustami.

Linda zachichotała i sploniła się.

— No dobrze — stwierdził Jim i wstał. — Ocenilem wczorajsze prace i jestem zdziwiony, że tak dobrze wyszły. Najwidoczniej moja zmarnowana twarz wyzwoliła w was literacki talent.

Nie jestem tak bardzo przekonany do pańskiego rapu, panie Tarquin. „Twarz pana Rooka od angielskiego... coś diabelskiego... jak miska majonezu bladego”. Wątpliwe porównanie i jeszcze bardziej wątpliwy rym.

— Niech pan da spokój, panie Rook. Był pan bladożółty. Dokładnie jak majonez.

— Niech ci będzie. Postawię ci piątkę, ale następnym razem zostaw w spokoju majonez.

Tak długo dyskutowali o opisach skacowanego Jima, że zabrakło czasu na omówienie wiersza Karla Shapiro. Jim kazał im go jeszcze przeczytać w domu, w tym przynajmniej raz na głos.

— Kiedy będziecie to robić, odkryjecie słyszalne w tle odgłosy, które Shapiro tworzył za pomocą onomatopei i rytmu. Usłyszycie dzwonek ambulansu. Usłyszycie szum tłumu. Usłyszycie chrzęst tłuczonego szkła. Ten wiersz to raport naocznego świadka. ..Jego szybko bijący srebrny dzwonek trzepoce i dźwięczy, / Przez ciemność w dół opada purpurowa flara, / Światłem czerwonym pluje jak tętnica krwią, / Ambulans z pełną prędkością płynie taśmą ulicy (...) Jak obłąkani jesteśmy, snujemy się wśród glin / Mają latarki w rękach, są wielcy i spokojni (...) Jeden z wiadrem w dłoni splukuje kałuże krwi / Na ulice i do rynsztoka...". Następnie opisuje odczuwany

przez wszystkich obecnych szok. „Mówimy mimo chorobliwych uśmieszków na ustach i zakazu podchodzenia / Z uporem zdrowego rozsądku, który pracuje jak mechaniczna piła / Z ponurym dowcipem i banalną stanowczością". Potem zadaje pytania, jakie wszyscy zadają sobie w podobnych sytuacjach. „Kto powinien zginąć? Kto jest niewinny?". Z tego powodu ten wrak samochodu „unieważnia naszą fizykę z parsknięciem".

Kiedy wszyscy wyszli na przerwę, Jim poszedł do pokoju nauczycielskiego. Wychodząc zza rogu do głównego korytarza, zderzył się z Karen Goudemark. Była ubrana całkiem na czarno — w czarną bluzeczkę w serek i czarną spódnicę, włosy upięła w dodający powagi sposób. Najwyraźniej skończyła serwować lody w niebie i była teraz gotowa witać w domu pogrzebowym rozpaczającą rodzinę. Jej widok z pewnością nasuwałby jednak żałobnikom całkiem nieodpowiednie do pogrzebu myśli.

Wypuściła z rąk wielką bordową kartonową teczkę, która spadła na podłogę z głośnym kłaśnięciem.

— O, przepraszam! — rzuciła szybko. — Strasznie się spieszę.

— Ja też przepraszam.

— Za co?

— Wyglupiłem się wczoraj. Nie powinienem był mówić tego, co powiedziałem do Rogera i Chucka. Odezwałem się nie jak należy. Miałem strasznego kaca.

— Powiedziałaś, że kot jest o mnie zazdrosny. Wydało mi się to bardzo pochlebne.

— Hm, może łatwo ci schlebić. Jak wypadł wieczór?

— Bardzo przyjemnie, dziękuję. Bardzo... nie wiem, jak to określić...

— Hulaszczo? Orgiastycznie? Nie wiem, nie było mnie tam.

Uśmiechnęła się, a miała najszerszy uśmiech, najpełniejsze wargi i najbielsze zęby, jakie widział w życiu. Stała tak blisko, że czuł perfumy, które rozgrzały się w szczycie zagłębienia między jej

piersiami. Uznał, że może już popełnić samobójstwo. Na przykład wbić sobie w nos automatyczny ołówek, jak robią japońscy uczniowie, którzy nie zdali egzaminu. Po przeżyciu takiej chwili życie mogło być już tylko gorsze.

— Zawodowo — wyjaśniła Karen.

— Słucham?

— Wieczór z Chuckiem i Rogerem. Przebiegł zawodowo. Przedstawili mi kilka pomysłów dotyczących programu nauczania i podwyższania poziomu wiedzy uczniów.

— Czyli... nie było dyskoteki? Żadnych tańców i hulanek?

— Masz wyobrażnię, Jim. No, no... — Powiedziawszy to, ruszyła w kierunku pracowni naukowych. — Muszę zrobić prezentację na temat doboru naturalnego. Na pewno wiesz, że mamy dziś po południu wizytację z Ministerstwa Oświaty?

— Oczywiście. Bruce Friendly prosił, bym sprawił, że moi uczniowie zaczną wyglądać tak, jakby wreszcie zaczęli wypływać z oceanu na suchy ląd.

— Na widok Bruce'a Friendly'ego dostaję gęsiej skórki ze strachu.

— Ja też. Ale posiadanie takiego szefa hartuje charakter.

— Nie. Jest zakłamanym i zacofanym. Poza tym próbował mnie obmacywać.

— Bruce Friendly próbował cię obmacywać?

— Udawał, że sięga po płaszcz, ale kto sięga po płaszcz, składając dłoń w miseczkę?

Jim złożył dłoń w opisany sposób, po czym popatrzył Karen Goudemark w oczy. Przy tej bliskości nawet słowo „miseczka” wydawało się mieć erotyczny podtekst i potrzebował sporo siły woli, by nie spuścić nieco wzroku.

— Jestem zszokowany — stwierdził.

— Nie jesteś, ale doceniam współczucie. Doszli do pracowni biologicznej numer I.

— To moja — poinformowała Karen. — Może złapię cię później.

— Może moglibyśmy wyskoczyć na drinka? Jestem niezły, jeśli chodzi o program nauczania i podwyższanie poziomu wiedzy uczniów.

— Tego mogę się dowiedzieć od Rogera i Chucka — odparowała, a w jej oczach pojawił się wyzywający ognik, jaki widywał w czasach, które zdawały się bardzo odległą przeszłością.

Flirtowała z nim. — Dlaczego nie pokażesz mi, jak wyglądają tańce i hulanki?

— Tańce i hulanki? Jasne. Jutro jest czwartek, może zechcesz wpaść do Slant Club i poznać mojego przyjaciela Mervyna. No i potańczyć. I pohulać.

— Brzmi ciekawie. W co mam się ubrać? Próbowali kończyć rozmowę drobnymi flircikami, kiedy korytarzem nadbiegł Nestor. Oczy miał przepelnione przerażeniem, a poznaczoną plamami twarz bladą z rozpacz.

— Panie Rook! Panie Rook! Musi pan szybko przyjść! Chodzi o Raya!

— Co się z nim stało? — spytał Jim w biegu.

— Przysssało go! Nie może się oderwać! Krzyczy z bólu!

## ROZDZIAŁ 5

Jim popędził za Nestorem przez wahadłowe drzwi i wybiegli z budynku. Natychmiast dostrzegł grupę uczniów i usłyszał przeraźliwe wycie, jakie wydaje z siebie przejechany przez samochód pies. Przebiegli trawnik i przepchnęli się przez uczniów do schodów, prowadzących do skrzydła z pracowniami artystycznymi. U szczytu schodów stał Ray Krueger i trzymał się obydwoma rękami za poręcz ze stalowej rury. Głowę odrzucił do tyłu, po twarzy spływał) mu łzy. Tuż za nim stał Dennis Pease i próbował go pocieszyć, woźny Clarence ciągnął za nadgarstki. Było także kilka dziewcząt z klasy Jima — Joyce Capistrano. Laura Killmeyer i Dottie Osias — wszystkie płakały z przerażenia i szoku.

— Panie Rook! — krzyknął Clarence. — Bez względu na to, co pan zamierza, nie wolno dotykać poręczy!



— Dlaczego? — spytał Jim, wchodząc po schodach.

— Jest zimna, panie Rook. Poręcz jest tak zimna, że dłoń przykleiłaby się panu do metalu jak Rayowi.

— Przykleiła mu się dłoń? O czym ty mówisz?

— Ray rozmawiał z Laurą, pochylił się nad poręczą i nagle nie mógł oderwać dłoni — wyjaśnił Dennis. — Powtarzał ciągle: „ale jest zimna”, „ale zimna” i „pali mnie” próbowaliśmy oderwać mu rękę, ale się nie udało, i powiem panu, panie Rook, że ta kopana poręcz jest zimna na maksa.

Jim podszedł do Raya i ujął jego twarz w dłonie.

— Ray! Ray, posłuchaj mnie! To ja, Jim Rook. Przyszedłem ci pomóc.

Oczy Raya były jednak wywrócone do tyłu i dygotał bólu. Wyglądał tak, jakby dostawał wstrząsu i najwyraźniej nie przewracał się tylko dlatego, że miał unieruchomione dłonie.

— Posłuchaj, Ray, wszystko będzie dobrze. — Odwrócił się. — Czy ktoś zadzwonił pod dziewięćset jedenaście? Po ambulans i straż pożarną?

— Tak — odpowiedział Nestor, który stał tuż obok Jima. — Powiedzieli, że będą tu za sześć minut.

Jim popatrzył na poręcz, którą Ray z taką siłą ścisnął. Na metalu widać było szron, kryształy odbijały promienie słońca, a temperatura musiała być naprawdę niska, bo powierzchnia metalu dymiała. Na ile Jim mógł ocenić, poręcz zamarzała od dołu schodów aż po wejście do skrzydła artystycznego. Dłonie Raya — z wyjątkiem fioletowopurpurowych opuszków palców — były białe. Obok, niczym na surrealistycznym obrazie, poręcz obejmowała czerwona robocza rękawica.

— To moja — wyjaśnił Clarence. — Próbowałem go oderwać, ale rękawica mi przymarzała.

— Ray, posłuchaj mnie — zaczął Jim i objął chłopaka ramieniem. — Wszystko będzie

dobrze. Ratownicy są w drodze i spróbujemy nieco rozgrzać poręcz, by cię uwolnić. —

Odwrócił się do Clarencea. — Mógłbyś podłączyć wąż do kranu z ciepłą wodą?

— Oczywiście, panie Rook! Nie będzie z tym żadnej problematycznej trudności!

— No to weź się do roboty. Przynies też piłę do metalu łącznik węża.

Popatrzył na Raya. Chłopak przestał jęczeć, za to szczykał zębami i wydawał z siebie ciche popiskiwanie. Był taki młody... jeszcze nie zaczął się golić, choć górną wargę pokrywał mu ciemny meszek.

— Moje ręce, panie Rook... — Skamlał i kręcił we wszystkie strony głową. — Palą się.

Jakby ktoś je włożył do ognia.

Jim usłyszał w oddali cichy jęk syren.

— Trzymaj się, Ray. Jeszcze kilka minut. Ratownicy zaraz tu będą.

— Ale one się palą! Palą się! Moje palce się palą! Palce mi się palą i nie mogę ich uwolnić!

AAAAAAAJJEEEEEE!!!

Jim przytulił go. Ambulans właśnie wjeżdżał na parking i Jim pomyślał, że jeszcze nie tak dawno opowiadał im o ambulansie z wiersza Karla Shapiro: „zakręca ostro, jego przód się zanurza, / hamulce piszczą, kiedy wjeżdża w tłum”.

U dołu schodów, gdzie poręcz nie była zamarznięta, Clarence próbował ją przepiłować, a dwóch uczniów gorączkowo rozwijało długi czarny wąż, który wychodził ze szkolnej kotłowni.

Przez trawnik przebiegła para sanitariuszy, po chwili dotarli do szczytu schodów. Jeden był

Latynosem, miał gładką, spokojną twarz. Drugim była wysoka ruda kobieta.

— Nie dotykać poręczy! — zaczęli wszyscy krzyczeć przerażonym chórem.

Ruda machnęła gwałtownie ręką.

— Co? Co tu się dzieje?

— Poręcz jest zamarznięta — wyjaśnił Jim. — Musi mieć z pięćdziesiąt stopni poniżej zera.

Ray położył na niej ręce i nie może ich oderwać.

— Zamarznięta? — zdziwił się Latynos. — To jakieś żarty?

Kobieta natychmiast podeszła do Raya i obejrzała jego dłonie. Końce palców zrobiły się czarne, a kłykcie nabrały trupiej fioletowobiałej barwy.

— Odmrożenia pierwszego stopnia — stwierdziła. — obie dłonie są do nadgarstków martwe. A odmrożenie szybko postępuje.

— Martwe? Chce pani powiedzieć, że stracił dłonie?

Latynos zadzwonił do szpitala West Grove Memorial i informował, na co izba przyjęć ma się przygotować.

— Poważne odmrożenia. Tak, dobrze słyszałeś. ODMROŻENIA. — Kiedy skończył, kiwnął głową Clarence'owi i uczniom. Woźnemu już udało się nadpiłować poręcz i podciągał wąż.

— To pański pomysł? — spytał Jima. — Niezły. Nie możemy podgrzać dłoni zbyt gwałtownie.

Ray dygotał i łkał spazmatycznie, a gałki oczne obróciły mu się do tyłu i widać było jedynie białka. Sanitariuszka dała mu przeciwbólowy zastrzyk ketaminy, potem obojętnie powiedziała do Jima:

— Pracowałam w Chicago i widziałam już kiedyś coś podobnego. Ludzie przymarzali do klamek przy samochodach i drzwiach wejściowych swych domów. Kiedyś szłam Michigan Avenue i ośleplam, bo zamarzły mi gałki oczne. Gdyby ktoś nie wciągnął mnie do jakiegoś sklepu, mogłabym nie odzyskać wzroku.

— Dlaczego pani o tym mówi?

— Dlatego że jeśli sztuczka z gorącą wodą z węża nie wypali, będziemy musieli go odciąć. Niech pan patrzy: odmrożenia doszły do nadgarstków. Nie wiem, jak to się mogło stać, ale musimy się spieszyć.

— Jezu. ale jego dłonie...

— Przykro mi. Nie mamy wyboru.

— Clarence! — wrzasnął Jim. — Czy woda już leci?

— Tak jest, panie Rook! Jest odkręcona na cały regulator!

Sanitariuszka zbadła Rayowi oczy, tętno, ciśnienie krwi i częstotliwość oddechu.

— Temperatura ciała znacznie poniżej normy. Ciśnienie krwi spada, pacjent dostaje wstrząsu termicznego.

— Niech pani patrzy! — rzucił Jim.

Fioletowa bladość minęła już nadgarstki Raya i pełzła w górę przedramion. Dłonie miał czarne jakby założył rękawiczki.

— Gdzie ta cholerna straż pożarna? — nerwowo spytał Latynos.

— Nie można odpiłować kawałka poręczy? — spytał Nestor. — Części, za którą trzyma?

Sanitariuszka pokręciła głową.

— Przy tej temperaturze piła prawdopodobnie przymarznie. Ale możemy spróbować.

— Clarence! — zawołał Jim. — Podaj piłę!

W tej chwili z głośnym hukiem pękającej gumy łącznik węża z gorącą wodą oderwał się od poręczy i wąż zaczął wić się dziko jak zapędzona w pułapkę jadowita żmija. Wokół tryskały strumienie wody o temperaturze zbliżonej do punktu wrzenia. Kilku uczniów zostało oblanych, rozległy się wrzaski bólu i przerażenia.

— Wąż się urwał, panie Rook! — wrzasnął Clarence. — Rura poręczy jest zatkana lodem.

Żeby go rozpuścić, trzeba by czegoś gorętszego! Niech pan patrzy!

Jim spojrział w dół i zobaczył skapującą z przeciętej run brązową maź o konsystencji szpiku kostnego. Temperatura wewnątrz poręczy była tak niska, że gorąca woda zaczęła zamarzać niemal w tym samym momencie, kiedy Clarence podłączył wąż.

Ray nagle zwiotczał.

— Podtrzymajcie go! — rozkazała sanitariuszka. — Nie chcę, żeby oderwał sobie rękę.

Jim przesunął się. złapał Raya pod pachy i zablokował jego ciało w pozycji wyprostowanej.

— Krążenie się zatrzymuje! — krzyknęła sanitariuszka. na co jej kolega otworzył walizkę i wyjął strzykawkę. Z całkowitym spokojem napełnił ją adrenaliną i podał kobiecie. Ruda podciągnęła Rayowi bluzę i wbiła igłę prosto między chude żebra, bezpośrednio w serce. Rayem wstrząsnęło i odrzucił głowę do tyłu, ale tętno wróciło i wziął chrapliwy oddech, potem drugi.

Sanitariuszka badała ramiona. Trupia bladość doszła już niemal do łokci, a szaroczarna strefa śmierci szła za nią bezlitośnie jak wsysany przez bibułę atrament.

— Przykro mi — powiedziała. — Nie mam wyboru. Przy tej prędkości rozchodzenia się odmrożeń musimy go natychmiast uwolnić.

Latynos popatrzył na Jima. Nie miał na twarzy ani jednej zmarszczki, a oczy były nieruchome jak kamyki.

— Musi pan spojrzeć na to tak: gdyby jego ręce znajdowały się w ogniu, musiałby pan podjąć taką samą decyzję. Nie mam pojęcia, jak mogło dojść do takiego oziębienia poręczy, ale albo uwolnimy tego chłopca, albo musimy się szykować do pogrzebu.

Jim skinął głową.

— Niech więc tak będzie. Bierzcie się do roboty. Niech tylko za bardzo nie cierpi.

— Nie będzie cierpieć, proszę pana. Ketamina już działa, a Rachel jest najlepsza.

— Znajdźcie mi stół — zażądała ruda. — Jak najszybciej. Coś, na czym można mu będzie położyć łokcie. A pan? Utrzyma go pan jeszcze jakiś czas?

— Na pewno — odparł Jim. — Washington, możesz mi pomóc?

— Nie ma sprawy — odparł Washington i tak się pochylił, że Jim mógł oprzeć Raya o jego plecy.

Po chwili zjawił się Nestor z niewielkim stolikiem. Latynos Wziął go i wsunął blat pod łokcie

Raya. W tym czasie ruda sanitariuszka wyjmowała z walizki narzędzia do amputacji.

Kiedy Jim zobaczył błysk piły, musiał się odwrócić. W zamian za to jego wzrok padł na naszywkę na rękawie Raya, ukazującą wyszczerzoną w uśmiechu czaszkę. Boże... jakie to pasujące do sytuacji.

Sanitariuszka zgrabnie porozkładała narzędzia — piłę, skalpele, igły, tampony i opatrunki.

Prawie kończyła, kiedy zjawił się pierwszy wóz straży pożarnej. Trąbił i wył. a po chwili trawnikiem

biegła grupa strażaków z siekierami i sprzętem do oddychania. Nie mieli już jednak nic do roboty

Latynos założył Rayowi na twarz maskę, przez którą podawał chłopakowi tlen i wziewną narkozę, a ruda zrobiła mu tuż nad łokciami opaski uciskowe.

— Musi pani amputować tak wysoko? — spytał Jim. — Gdyby zostały mu łokcie...

— Ciało jest głęboko odmrożone do połowy przedramion — odparła kobieta. — Jeśli nie amputujemy wysoko, istnieje ryzyko, że pozostanie trochę martwej tkanki, co groziłoby infekcją. Gangreną, która mogłaby go zabić.

Popatrzyła ostro na Jima. Miała zielone oczy i imbirowe piegi na nosie, a promieniowała zdecydowaniem, które onieśmiało, ale i dawało mu poczucie bezpieczeństwa. Jeśli ona miała odwagę

obciąć Rayowi ręce powyżej łokci, by uratować mu życie, to on znajdzie w sobie odwagę, by jej pomóc.

— Cała zewnętrzna tkanka jest martwa — stwierdziła ruda, szturchając palcem czarną, pokrytą strupami skórę na palcach i przedramionach Raya. — W większości odmrożeń martwa tkanka jest jakby muszlą i kiedy spada, co w końcu zawsze następuje, pozostaje różowa niemowlęca skóra. Oczywiście jest bardzo wrażliwa, ale się regeneruje.

— Ale ta się nie regeneruje.

— Moim zdaniem nie. W jego ciele rozprzestrzenia się całkowite odmrożenie. Mięśnie,

kości i ścięga są zamrożone. Niech pan spojrzy. — Wzięła skalpel i zrobiła głębokie nacięcie na nadgarstku Raya. Rozsunęła palcami skórę i nawet bez doświadczenia medycznego Jim był w stanie dostrzec, że ciało wewnątrz jest białe i twarde jak zamrożona wieprzowina, a naczynia krwionośne wypełniają kryształki pokruszonej, bordowej krwi. — W tym tempie za piętnaście minut odmrożenie dojdzie do ramion.

Zjawił się szef straży pożarnej West Grove — niski mężczyzna z sumiastym wąsem, który wyglądał jak stale najeżony.

— Cześć Rachel. *Cómo le va?*

— *Muy hien, gracias. Y usted?*

— *Muy hien.* Co tu się, do cholery, dzieje?

— Obawiam się, że trzeba zrobić poważniejszy zabieg. Mogę poprosić, by twoi ludzie zabrali uczniów? Nie będą chcieli tego oglądać.

— Chcesz, żebyśmy wycięli poręcz? Mamy przecinaki hydrauliczne. To nie potrwa nawet minuty.

— Przykro mi, szefie, ale to niczego nie zmieni. Poza tym każda sekunda się liczy.

Jim z fascynacją obserwował, jak sanitariuszka równocześnie rozmawia i pracuje. Wzięła skalpel i zaczęła ciąć skórę na lewym ramieniu Raya, tuż nad łokciem. Opaska uciskowa była tak ciasna, a ręka Raya tak zmrożona, że nacięcie właściwie nie krwawiło — wypłynęła tylko jedna wielka kropla krwi. potoczyła się do łokcia i spadła na stół pod nim.

— *Madre mia* — jęknął szef strażaków. — A zdawało mi się, że już wszystko widziałem.

— Proszę — zwróciła się do niego Rachel. a zabrzmiało to jak rozkaz — proszę powiedzieć uczniom, by wrócili do swych zajęć. Nie potrzebujemy tłumu rozhisteryzowanych gapiów, zwłaszcza teraz.

Szef straży zasalutował.

— Tak jest, proszę pani! — i ruszył schodami w dół.

Rachel dalej cięła ramię Raya. Dennis odwrócił głowę, ale Jim — choć cichy dźwięk przecinania skóry był nie do zniesienia — obserwował to z pełną przerażenia fascynacją. Rachel oddzieliła od leżących pod spodem mięśni duży kawał skóry i tkanki łącznej. Mięso było purpurowe jak surowy stek. Wzięła błyszczącą piłę i zaczęła ciąć kość ramieniowa tuż nad główką. Jim zamknął oczy, słyszał jednak wyraźnie piskliwe GHIII — GHIII — GHIII przebijającego się przez kość ostrza.

Kiedy otworzył oczy, ręka Raya była odcięta, choć dłoń w dalszym ciągu ścisnęła poręcz.

Z trudem przełknął ślinę, ale usta wypełniły mu się żółcią i przetrawionymi w połowie płatkami. Niemal wszyscy uczniowie zostali usunięci z placu przez strażaków, w cieniu wielkiego cyprysa, rosnącego w głębi podwórza, kryła się jednak jakaś postać. Jim wyteżył wzrok i udało mu się rozpoznać Jacka Hubbarda w czarnych dżinsach i czarnej koszuli. Schowane za okularami przeciwsłonecznymi oczy musiały ich uważnie śledzić. Jeden ze strażaków krzyknął na niego, by sobie poszedł, ale Jack puścił to mimo uszu i pozostał na miejscu.

Jim nie miał czasu zaprzętać sobie głowy Jackiem Hubbardem. Bolały go plecy od podtrzymywania nieprzytomnego Raya i patrzył, jak Rachel szyje w skupieniu, wykonując nieprawdopodobnie skomplikowane ścięgi.

Ray wzdrygnął się i jęknął: „Mamo...”. Jim doskonale zdawał sobie jednak sprawę z tego, że chłopak jest nieprzytomny i jedynie śni. Washington pokręcił głową.

— O rany... nie wiem, czy wyrobię. O rany... — wyjęczał.

— Proszę cię. Washington. Wytrzymaj jeszcze trochę.

— Próbuję, człowieku, ale... człowieku...

— W dawnych czasach, kiedy nie było środków znieczulających, stosowano przy amputacji metodę okrężną — powiedziała Rachel. — Odcinało się skórę, nieco wyżej mięśnie, a najwyżej kość, by móc założyć skórę na pozostałe tkanki. Zabieg trwał krótko, co było w nim



najlepsze, ale często nie uzyskiwało się zadowolającego kikuta. Metoda, którą stosuję, zajmuje nieco więcej czasu, ale uzyskuje się dzięki niej znacznie lepszy kikut.

— Znacznie lepszy kikut? No jasne... — Jim poczuł, że zaraz zemdleje, przed oczami zaczęły mu migotać iskierki. — To metoda płata skór nego, tak?

— Zgadza się. Proszę popatrzeć. Zaszycę wszystkie przecięte naczynia krwionośne, potem wezmę ten płat skóry i przyszyję boki oraz koniec.

Rachel była tak rzeczowa, aż trudno było pojąć niezwykłość tego, co robi. Ratowała Rayowi życie. Ale chłopak już nigdy nie będzie w stanie czegokolwiek dotknąć palcami. Nie będzie mógł już nigdy pogłaskać zwierzęcia, poczuć dotyku jego futra. Nigdy nie będzie mógł dotknąć kobiety i poczuć pod opuszkami palców jej miękkości.

Jim widział jedynie kość, chrząstki i skomplikowaną płataninę żył i tętnic.

Rachel zaszywała ranę na lewej ręce. Musiała być w szkole dobra w zajęciach z szycia, ponieważ udało jej się mocno naprężyć płat skóry. Przeciąganie nici chirurgicznej przez skórę powodowało cichy drapiący odgłos.

Kiedy zaczęła amputować prawą rękę, okazało się, że odmrożenie minęło już łokieć.

Przedramię było czarne i pokryte suchą skorupą, a ramię zbiałało, musiała więc ciąć tuż pod barkiem. Znów rozległ się odgłos przecinanej skóry. Znów zachrobotła piła. W końcu — ponad godzinę po tym jak przybiegł Nestor i powiedział, co się stało — Ray został ułożony na noszach. Gdy niesiono go do ambulansu, kikuty sterczały w górę niczym rączki tacek.

*Wyjęto nosze, zmiażdżonych uniesiono*

*I wepchnięto do niewielkiego szpitala.*

*Potem dzwon, przerywając ciszę, uderzył raz,*

*A ambulans ze strasznym ładunkiem*

*Ruszył, bujając się, lekko wahając się na boki,*

*A drzwi machinalnie zamknięto.*

Jim oparł się plecami o ceglana ścianę. Bolał go każdy mięsień i czuł się tak, jakby wrócił z bitwy. Washington wstał i przeciągnął się.

— Człowieku... nie mogę uwierzyć—jęknął. — Po prostu w to nie wierzę.

Nestor zakrywał twarz dłońmi, jakby miał odwagę patrzeć na świat jedynie przez szpary między palcami. Amputowane ręce Raya oraz rękawica Clarence'a tkwiły tam, gdzie przedtem — zamrożone,

kurczowo ścisnęły poręcz.

Podszedł szef straży pożarnej i niepewnie na nie popatrzył. Nie bardzo wiedział, co robić, powoli stawało się jednak jasne, że szron topnieje. Kryształ na poręczy zniknęły i nagle, tak nieoczekiwanie, aż wszyscy się wzdrygnęli, czerwona robocza rękawica Clarence'a spadła na beton. Po

niecałej minucie od poręczy oderwała się także lewa ręka Raya. zaraz potem prawa.

— No to po wszystkim — powiedział Jim do Dennisa i Washingtona. — Może weźcie sobie obaj wolne na resztę dnia? Moim zdaniem zrobiliście więcej, niż to było możliwe i... dziękuję.

Washington przełknął ślinę i skinął głową.

— Chciałbym wiedzieć, jak to się mogło stać. I dlaczego, człowieku? Ray był najbardziej nieszkodliwym facetem na świecie.

Jim klepnął go w plecy.

— Nieszkodliwość nie daje gwarancji, że nie zostanie się skrzywdzonym. Czasami jest wręcz odwrotnie. No, idźcie już. Porozmawiamy o tym później.

Kiedy Dennis i Washington ruszyli w dół, minął ich porucznik Harris. Za jego plecami szedł doktor Sigmund Fade z biura koronera. Porucznik Harris był niski i krępy i miał krótkie, sterczące jak szczecina rudawe włosy. Jego biała koszula z krótkim rękawem zrobiła się niemal prze-

zroczyta od potu. Doktor Fade był wysoki i blady, miał wielki, pełen załamków nos i ręce, którymi ciągle wykonywał nieokreślone ruchy, przez co jego dłonie przypominały wielkie łopoczące motyle.

— Widziałem sporo rzeczy, od których przewracały się bebechy, ale to... Jezzzu... —jękął porucznik Harris, wskazując ruchem głowy poczerwiałe ręce Raya. — Co, pańskim zdaniem, mogło spowodować takie zmrożenie poręczy?

— Nie mam pojęcia — odparł Jim. — Podejrzewam, że to musi mieć jakieś racjonalne wytłumaczenie, ale niech mnie cholera weźmie, jeśli je znam.

Doktor Fade z hałasem założył plastikowe rękawice, po czym kucnął i zaczął oglądać obcięte ręce.

— Bez najmniejszej wątpliwości to odmrożenia — stwierdził. — Pamięta pan gościa, który siedział całą noc zamknięty w chłodni na mięso w Coolway Packers? Był Murzynem? Bo wyszedł czarny jak Al Jolson.

— Ale to była chłodnia na mięso, a tu jest otwarty teren w najgorętszy dzień tygodnia.

— Pańscy technicy powinni sprawdzić wewnątrz poręczy. Może znajdą ślady jakiegoś gazu. na przykład płynnego azotu. Może nawet płynnego wodoru.

— Mimo wszystko nie pojmuję, w jaki sposób mogło się komuś udać tak zmrozić poręcz.

Poza tym po co? Czy ten Ray Krueger miał wrogów? Kogoś, kto mógłby chcieć zamienić go w sopel?

— Jest jednym z najbardziej lubianych uczniów w klasie — odpowiedział Jim. — Choć bywa czasem nieco nieopanowany. Ma coś w rodzaju zaburzenia psychicznego polegającego na tym, że wybucha wiązkami dziwacznych uwag, ale poza tym... nie, nie ma wrogów. Oczywiście o ile wiem. Poza tym zamrożenie poręczy to dość niepewny sposób odegrania się na kimś, kogo się nie lubi.

Każdy mógłby jej dotknąć.

— A tak poza tym? — spytał porucznik Harris, wycierając kark chusteczką. — Czy ostatnio

jacyś niezadowoleni uczniowie grozili szkole?

Jim pokręcił głową.

— Dzięki Bogu nie mamy zbyt wiele do czynienia z tego typu incydentami. Uważnie obserwujemy dziwaków, odmieńców i samotników, staramy się też trzymać rękę na pulsie, jeśli chodzi o sekciarstwo wśród uczniów.

— To znaczy? Chodzi o neonazistów?

— O wszystko. Mieliśmy kilku neonazistów, paru, którzy uważali, że są Czarnymi Panterami, i paru członków „nowej” Świetlistej Drogi. Mieliśmy nawet kilku neozapatystów. Jak na razie udawało nam się wtłoczyć ich w główny nurt uczniowskiego życia. Wie pan, jakie są dzieciaki w tym wieku. Aroganckie i nieśmiałe. Rozpaczliwie walczą o szacunek. Ignorancją tylko się je zraża.

Porucznik Harris ostrożnie przeciągnął palcami po poręczu.

— Żeby coś takiego zmagistrować, trzeba znać się na nauce, prawda?

— Nie wiem, choć prawdopodobnie warto by sprawdzić laboratoria. Czy w którymś nie brakuje płynnego gazu. Warto też pewnie porozmawiać z doktorem Kelleyem, szefem wydziału fizyki.

Zamilkli na chwilę, obserwowali, jak doktor Fade ostrożnie podnosi obie obcięte ręce i wkłada je do czarnego plastikowego worka. Tuż za nimi stał kamerzysta jakiejś stacji telewizyjnej i kręcił wszystko z najbliższej odległości.

— Nie masz nic lepszego do roboty, upiorze? — spytał go porucznik Harris.

— Po prostu wykonuję swoją pracę, poruczniku. Tak jak pan.

Porucznik odwrócił się do Jima.

— Nie wiem... — stwierdził i pokręcił głową. — Za każdym razem, kiedy jestem wzywany do tej szkoły, a sprawa ma związek z panem, chodzi o coś dziwnego. Za każdym razem niby się

wyjaśnia, ale nigdy nie wiem, jak mogło do czegoś takiego dojść. Moim zdaniem chodzi tu o pana, panie Rook. Przyciąga pan dziwactwa jak magnes.

— Kto umie określić, co jest dziwaczne, a co nie? — spytał Jim. Miał wielką ochotę opowiedzieć porucznikowi o incydencie w męskiej toalecie, ale instynkt poradził mu tego nie robić. Porucznik Harris prawdopodobnie i tak miał już dość zmartwień. — Jeśli to możliwe, chciałbym osobiście poinformować rodziców Raya o tym, co się stało. Znam ich dość dobrze.

— Nie widzę problemu. Wręcz dziękuję. Informowanie rodzin nie jest robotą, którą szczególnie się rozkoszuję. Będę pana łapał później.

## ROZDZIAŁ 6

Jim zszedł po schodach i ruszył ścieżką, która przecinała skosem trawnik i prowadziła do głównego budynku. Jack Hubbard ciągle stał pod drzewem. Kiedy Jim się do niego zbliżył, wyszedł z cienia i ruszył w jego kierunku.

— Panie Rook?

— Co słychać, Jack?

— Chyba muszę z panem porozmawiać, panie Rook.

— To nie może poczekać? Muszę iść do państwa Kruegerów, poinformować o tym, że ich jedyny syn właśnie stracił obie ręce.

— Chodzi o Raya. Przynajmniej tak sędzę.

Jim szedł dalej, Jack podążał za nim.

— Na Alasce coś się stało mojemu tacie. Nie wiem dokładnie co, ale przestał być sobą. Odkąd wrócił z wyprawy, jest bardzo nerwowy. Jakby czekał, aż wydarzy się coś złego.

— Naprawdę?

— Ze mną też coś się stało. Prawie co noc śnię mi się koszmary. Wydaje mi się, że tkwię w burzy śnieżnej i coś mnie prześladowuje. Nie widzę co, ale wiem, że jest. Jest tuż za zasłoną śniegu i

chce mnie zabić.

Jim zatrzymał się, zmrużył oko. by nie oślepiało go słońce.

— To dość nieprzyjemne, ale co ma wspólnego z Rayem?

— Może nic, a może wszystko.

— No to mów.

Jack zdjął okulary przeciwsłoneczne i starł grzbietem dłoni pot z czoła. Gdy miał osłonięte oczy, nie sprawiał już tak złowróbnego wrażenia jak wtedy, kiedy stał pod cyprysem. Tak naprawdę wyglądał na przestraszonego i nad wrażliwego.

— Zaraz po tym, jak wprowadziliśmy się do domu w Pico, tata powiesił w każdym oknie i nad każdą framugą drzwi eskimoskie fetysze. Każdy jest inny, ale we wszystkich są kawałki czaszki foki, rybie ości, niedźwiedzie zęby i sierść arktycznego wilka. Mają odstraszać złe duchy. Co wieczór

przed pójściem do łóżka powtarza rytualny śpiew. Chyba nie wie, że go podsłuchuję. Znam kilka eskimoskich słów, ale nic z tej pieśni nie rozumiem. Poza tym to matka była Eskimoską, on jest biały, dlaczego więc śpiewa? — Wahał się przez chwilę, po czym dodał: — Dał mi też to.

Zza koszuli wyjął przyciętą w romb płytkę z kości słoniowej. W rogu miała wywierconą dziurkę, by można ją było nosić na szyi na rzemieniu. Jim podniósł romb do oczu i uważnie się przyjrzał. Z jednej strony płytki wydrapano wizerunek samotnej postaci bez twarzy, po drugiej cztery pionowe kreski.

— Co to jest?

Jim był do głębi wstrząśnięty widokiem czterech kresek, które wyglądały identycznie jak znaki, które pojawiły się na zamarzniętych lustrach w męskiej toalecie. Jeszcze bardziej poruszył go widok postaci, która z grubsza przypominała zakapturzoną postać na karcie do tarota.

— Eskimoski talizman. Traperzy polujący na zwierzęta dla futer zawsze go noszą dla ochrony przed nieszczęściem. Tata powiedział, że mam go nosić cały czas, na wszelki wypadek.

— Jaki?

- Nie wiem, ale tata ciągle mówi o burzach śnieżnych, śniegu i rzeczach, których ludzie nie widzą. Co dzień, kiedy wracam do domu, siedzi przed telewizorem i ogląda film o swojej wyprawie przez lodowiec do Domu Martwego Człowieka. Czasami klęczy tuż przed telewizorem, nie więcej jak

dziesięć centymetrów od ekranu, i uważnie się w niego wpatruje. Upiorne, tyle że nie widać nic poza śniegiem i dwoma konturami ludzi, którzy z nim szli. Kiedy pytam, kogo szuka, odpowiada: „Nikogo” i patrzy dalej.

Weszli do budynku, skierowali się na korytarz. Było niezwykle cicho, w jednej z klas, które drzwi pozostawiono otwarte, pochlipywała dziewczyna. Jim spodziewał się, że doktor Ehrlichman zamknie szkołę na popołudnie.

— Chodź do klasy — powiedział do Jacka. — Wezmę rzeczy. Potem naprawdę muszę jechać do rodziców Raya.

Poszli do drugiej specjalnej.

Powiedziałem tacie o zamrożonej łazience, na co stwierdził: „Podpuszczasz mnie, co?” i spróbował zrobić z tego dowcip, ale widziałem, że się martwi. Udowodniłem mu jednak, że mówię prawdę, bo miałem w bagażniku w samochodzie bluzę... wie pan, tę, która zamarzała, a jeszcze nie zdążyła się całkiem rozmrozić. Jeden rękaw był cał) w lodzie.

— Mów dalej — polecił Jim.

Wyszli z klasy i ruszyli w kierunku parkingu. Kiedy wyszli z budynku, słońce uderzyło w nich jak młotem.

— Zachował się naprawdę dziwnie. Wziął bluzę, wrzucił ją do śmieci i powiedział, że mam jej więcej nie nosić. Kupił mi nową. Nie chciałem się zgodzić, bo naprawdę ją lubiłem, ale nie zamierzałem

popuścić. W końcu tak się zezłościłem, że dałem sobie spokój.

Doszli do samochodu. Jim wrzucił teczkę na tylne siedzenie i z przeciągłym zgrzytem otworzył drzwi.

— Jaki to ma związek z Rayem?

— Rayowi ta bluza bardzo się podobała, bo miała na rękawie przyszytą naszywkę z wyprawy taty. Może pan zauważył, był na niej napis: DOM MARTWEGO CZŁOWIEKA 2000 i uśmiechnięta czaszka w traperskiej czapce. Tak więc następnego dnia wyjąłem ją ze śmietnika, przyniosłem do szkoły i dałem Rayowi. Pomyślałem sobie, że to wstyd, by się zmarnowała.

— Czy to znaczy, że kiedy Ray przymarzył do poręczy, miał na sobie twoją bluzę? Tę, która wisiała w toalecie, kiedy pojawił się tam lód?

Jack skinął głową.

— Zastanawiałem się nad tym i zastanawiałem, i choć to brzmi wariacko, wiedziałem, że muszę panu o tym opowiedzieć.

Jim przez dłuższy czas milczał i rozmyślał. W końcu stwierdził:

— Myślę, że skorzystam z zaproszenia, by spotkać się z twoim tatą, pozwól mi jednak najpierw zająć się rodzicami Raya. Potem zadzwonię do was. Poza tym wiedz, że słyszałem już o bardziej zwariowanych sprawach i doceniam, że zdecydowałaś się opowiedzieć o swoich niepokojach akurat mnie.

Wsiadł do samochodu, włączył silnik i wyjechał tyłem ze swego miejsca. Jack stał i patrzył za nim. Nie poruszył się nawet, kiedy Jim minął bramę, wyjechał na ulicę, skręcił i zniknął mu z oczu. Jakby obawiał się poruszyć, obawiał się, że jeśli to zrobi, reszta życia spadnie na niego jak grom.

Jim przeszedł ścieżką przed domem Kruegerów przy Burnside Avenue i zadzwonił do drzwi wejściowych. Czekał, rozglądał się. Kruegerowie mieszkali w parterowym szarozielonym domu, nad którym zwisała kwitnąca bugenwilla. W betonowe ścianki werandy powtykano morskie muszle,



nad wejściem umieszczono ręcznie wykonaną ceramiczną plakietkę, ukazującą cztery uśmiechnięte twarze, najprawdopodobniej należące do rodziny Kruegerów. Jim ponownie nacisnął dzwonek. Było tak gorąco, że musiał zlizać pot z warg.

W końcu, wycierając ręce w fartuch, podeszła do drzwi chuda, bladolica kobieta. Jej skóra wyglądała tak, jakby ją wyprano, włosy miała pozlepiane w strąki i ogólnie sprawiała wrażenie mocno zmęczonej. Jim wiedział, że ojciec Raya Kruegera miał wypadek w trakcie ładowania palet, wskutek czego doznał poważnego urazu i matka musiała utrzymywać rodzinę z jego odprawy i tego, co mogła zarobić jako sprzątaczką w biurach. Ray też chciał iść do pracy, uparła się jednak, że ma poprawić czytanie i pisanie.

— O, pan Rook! Cóż za niespodzianka! Jak ja wyglądam... rozpalona i spracowana!

— Dzień dobry, pani Krueger. Mąż w domu?

— Od wypadku jest ciągle w domu. Dlaczego pan nie wchodzi?

Jim wszedł do niewielkiego hallu, zawieszzonego zdjęciami rodziny, potem do salonu, gdzie pan Krueger siedział przed telewizorem. Nogi miał przykryte pledem. Był masywnie zbudowany, miał byczy kark i potężną klatkę piersiową, widać było jednak, że siła uciekła z niego jak powietrze z przekłutego balonu. Ostrzyżone tuż przy skórze włosy przedwcześnie posiwiały, a pod oczami miał spowodowane cierpieniem ciemne kręgi.

— Co pana sprowadza, panie Rook? — spytał, biorąc do ręki pilota. Wyłączył transmisję koszykówki. — Czyżby Ray znów napisał sobie biedy?

— Odrabia lekcje bardzo sumiennie — powiedziała pani Krueger. — Siada o siódmej i nie rusza się od stołu, póki nie skończy.

— Poprawia się, prawda? — spytał pan Krueger. — Nie przyszedł pan, by nam powiedzieć, że paprze angielski.

— Jimowi kompletnie zaschło w ustach.

— Nie chodzi o naukę. Przyszedłem powiedzieć, że w szkole wydarzył się poważny

wypadek. Ray stracił obie ręce.

- Państwo Kruegerowie wbili w Jima wzrok, jakby powiedział coś w obcym języku. Powoli

pani Krueger podniosła rękę do ust i jej oczy zaczęły się wypełniać łzami, pan Krueger sprawiał

wrażenie

kompletnie sparaliżowanego.

— Co pan powiedział? Powiedział pan, że Ray co stracił?

— Strasznie mi przykro, panie Krueger. Jego ręce dostały .Się w pułapkę i sanitariusze musieli je

amputować, bo inaczej by nie przeżył.

— Dostały się w pułapkę? W jaką pułapkę? Co to ma znaczyć?

Jim wyjaśnił sytuację najprościej, jak się dało. Jak jednak wyjaśnić, że ktoś dostaje odmrożeń w

gorący czerwcowy dzień? Jak opisać umierające w oczach ciało? Widać było, że Kruegerowie nie

pojmują, o czym mówi.

— Jest bardzo poważnie ranny. W tej chwili znacznie bardziej od łez potrzebuje waszego

optymizmu. Może jeszcze zostać weterynarzem. Kiedy przejdzie rehabilitację, będzie mógł robić

prawie wszystko. Przeżył coś okropnego, panie Krueger, doznał wstrząsu i urazu psychicznego,

ale po trzebuje nas, by mieć z czego czerpać nadzieję.

— Nadzieję? — spytał pan Krueger. Wpił palce w podłokietniki fotela i powoli, z

wysiłkiem wstał. Miał zmiażdżoną miednicę, przez co chodził z wielkim wysiłkiem, do tego

zataczając się na boki jak kapitan Ahab na pokładzie „Pequoda”. — Jest głupim dzieciakiem

głupich rodziców i nigdy nie miał szansy na nic, od samego urodzenia. Teraz stracił ręce, a pan

mówi o nadziei?

Pokuśtykał do wiszącej nad kominkiem, oprawionej w ramkę makatki z napisem

NIECH BÓG MA NAS W OPIECE. Kiedy podniósł prawą pięść. Jim wiedział już, co zamierza;

najwyraźniej pani Krueger też się domyślała Rozbił szkło i połamana ramka spadła na podłogę.

Pan Krueger zaczął deptać po rozbitym obrazku, aż zostały z niego drobne kawałki. Potem spojrzał na Jima.

— Nie ma nadziei, panie Rook. Tyle rzeczy mogłem zrobić, tyloma osobami zostać, tylko że nie miałem dość rozumu. I co się stało, kiedy znalazłem najgłupszą robotę na świecie, by skromnie żyć?

Zostałem kaleką. Zawsze sądziłem, że Rayowi będzie lepiej. Mógł wyrwać się z tego życia. Był na najlepszej drodze, by poradzić sobie tam, gdzie ja nie mogłem, ale Bóg kicha na takich jak ja...

pokolenie za pokoleniem. Nie ma nadziei, panie Rook, a najgorsze to udawać, że istnieje. To zabija. Nie

nadzieja. Wiara, że nadzieja istnieje.

Zapadła długa cisza. Stali na porozrzuconym, porozbijanym szkłe. Pani Krueger skryła twarz w dłoniach. — Zawiozę państwa do szpitala — wydusił w końcu Jim.

Wrócił do domu dobrze po siódmej wieczorem. Kiedy włożył klucz w zamek, otworzyły się drzwi po drugiej stronie korytarza i pojawił się w nich Mervyn. Był ubrany w jasno-wiśniowe kimono,

włosy miał upięte do góry szylkretowymi spinkami.

— Widziałem wiadomości — powiedział, złapał Jima za rękę i uściśnął. — Jakie to okropne... Mówili, jaki byłeś odważny i trzymałeś go cały czas.

— Dzięki, Mervyn. To był naprawdę ciężki dzień.

— Zaglądałem kilka razy do Tibbles Dwa. Wyglądała na znudzoną, więc zaśpiewałem jej kilka piosenek o nieszczęśliwej miłości. Jeśli mam być szczery, nie zrobiłem na niej większego wrażenia.

— A tak poza tym...?

— Tak poza tym jest wspaniała. Jak ty. Nawet nie wiesz, jak to jest, mieszkać tuż obok bohatera.

— Poczucie jest obopólne. Mervyn. Dzięki za wszystko. Jim otworzył drzwi do mieszkania i wszedł do środka. Zaczął gwizdać i wołać: „Tibbles! Tibbles Dwa!”, ale kotki nigdzie nie było

widać. Poszedł do kuchni i otworzył lodówkę. Miał do wyboru lasagne z wołowiną, lasagne z warzywami albo ojingu chim, nadziewaną koreańską mątwą, którą kupił w chwili zaćmienia umysłu w koreańskich delikatesach. Zrezygnował ze wszystkiego i zamknął lodówkę.

Nie był głodny. To, co się stało po południu z Rayem, zupełnie go wykończyło. Rozum kazał mu jednak coś zjeść, wziął więc z pudła na chleb kromkę krojonego chleba i zrobił Sobie kanapkę z ośmiu plasterków parówki i dwóch koszernych pikli, które po nadgarstek oblały mu dłoń octem. Poszedł do salonu. Zanim zdążył usiąść, na ekranie nowego, szerokoekranowego telewizora ujrzał twarz swego dyrektora, doktora Ehrlichmana.

— „Wszyscy sobie pomagali i znakomicie współpracowali — mówił właśnie doktor Ehrlichman. — To straszne, co przydarzyło się naszemu uczniowi, ale wszyscy się zmobilizowali, jak zresztą zawsze, kiedy w West Grove dzieje się cokolwiek złego”.

— „Co ma miejsce chyba zbyt często, prawda, doktorze Ehrlichman? — spytał reporter. — W ostatnich pięciu latach w pańskiej szkole doszło do kilku śmiertelnych wypadków i znacznej liczby zranień oraz miało miejsce kilkanaście nie wyjaśnionych zjawisk. Czy można twierdzić, że West Grave Community College jest nawiedzona?”.

Doktor Ehrlichman aż prychnął.

— „Proszę pana. zajmuję się nauczaniem. Nie jestem Kalifornijskim Stowarzyszeniem Mediumieznym”.

Jim usiadł w swym ulubionym, rozpadającym się wiklinowym fotelu i zaczął przerzucać kanały, aż znalazł czarno-białych „Bohaterów morza” ze Spencerem Tracym i Freddieem Bartholomewem.

Po kilku kęsach i paru scenach w telewizji wydało mu się, że widzi kątem oka jakiś kształt.

Powoli odwrócił głowę i im bardziej ją przekręcał, tym wolniej żuł. W końcu całkiem przestał poruszać

szczęką i otworzył usta, w których tkwiła mokra kula z białego chleba, nakrapianego kawałkami

jasnobrązowej parówki.

Na oparciu kanapy stała na tylnych łapach Tibbles Dwa. Pionowo, w bezruchu, w idealnej równowadze. Kotka wpatrywała się w Jima szeroko otwartymi ślepiami, uszy położyła płasko na łebku. W pyszczku trzymała kartę do tarota.

— TD? — mruknął Jim i przełknął ostatni kęs kanapki, o mało się nie dławiąc. Wstał i podszedł do kotki, ta jednak stała nieruchomo, nie zachwiała się nawet na milimetr i wbijała wzrok w

Jima. — Tibbles Dwa... mam wrażenie, że chcesz mi coś przekazać.

Wyjął kartę spomiędzy zębów kotki. Była to ta sama karta, która wpadła mu do ręki zeszłego wieczoru. Przedstawiała samotną zakapturzoną postać na śniegu. I dziś karta nie była nazwana.

Obrócił ją w palcach.

— Próbujesz mi coś przekazać, tak? To komunikat ze świata duchów, prawda?

Tibbles Dwa nic oczywiście nie powiedziała, jedynie ziewnęła wyniośle, co koty robią zwykle, kiedy uważają, że człowiek wreszcie mógłby zacząć nieco lepiej kumać.

— Chcesz nakierować mnie na odpowiedni tor, tak? Mówisz, żebym poszedł istotnym tropem?

Tibbles Dwa zeskoczyła z kanapy i udała się do kuchni w poszukiwaniu mleka. Jim stał bez ruchu i obracał kartę w palcach. „Śnieżna burza skrywa twój twarz. Jesteś schowany za tym, co zrobiłeś”. W końcu otrząsnął się i poszedł po teczkę. Wyjął dziennik, otworzył go na stronie RODZICE i przesunął palec w dół, aż znalazł wpis: HUBBARD, HENRY. Obok znajdowały się dwa numery telefoniczne: stacjonarnego telefonu i komórki. Ponieważ uznał, że ojca Jacka zastanie prawdopodobnie w studiu podczas pracy nad filmem, wybrał najpierw numer komórki. Odebrano po wielu sygnałach.

— Henry Hubbard, słucham.

— Pan Hubbard? Mówi Jim Rook, nauczyciel angielskiego pańskiego syna.

— Tak, słucham.

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale mieliśmy dziś w szkole poważny wypadek. Jeden z uczniów został ciężko ranny.

— To okropne. Jack był w to uwikłany?

— Nie, proszę pana. Nie bezpośrednio.

— Co pan rozumie przez „nie bezpośrednio”? Co się stało?

— Jeden z uczniów stracił obie ręce. Ray Krueger, nie wiem, czy Jack o nim wspominał.

Biedny dzieciak ma do piero dziewiętnaście lat.

— To straszne, okropne, pozwoli pan jednak, że zapytam, w jakim celu pan do mnie dzwoni?

— Ponieważ stracił ręce z powodu silnego odmrożenia.

— Odmrożenia?

— To najgorszy przypadek, jaki widzieli ratownicy od czasu, kiedy ktoś został zamknięty w chłodni. Tyle tylko, że to nie wydarzyło się w chłodni. Incydent miał miejsce na powietrzu, w słońcu, przy temperaturze prawie trzydziestu stopni.

W słuchawce zapadła długa cisza. W końcu Henry Hubbard się odezwał.

— W dalszym ciągu nie rozumiem, jaki ma to związek ze mną.

— Jack opowiedział panu o zamrożonej toalecie, przy najmniej tak twierdzi. Ciekaw byłem, czy nie moglibyśmy się spotkać i, rozumie pan, podyskutować o tym. Jest pan jedynym ekspertem od niskich temperatur, jakiego znam.

— Jestem pewien, że na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles znajdzie się ktoś bardziej kompetentny.

— Może, ale chciałbym także porozmawiać o Jacku. O tym, jak radzi sobie w klasie.

— Nie umie się przystosować?

— Powinniśmy porozmawiać o tym osobiście. Znów zapadła długa cisza.

— No dobrze... może wpadnie pan do nas około dziewiątej? Nie za późno?

— Nie, świetna pora. Jeśli będzie pan miał chwilę czasu, proszę obejrzyć wiadomości.

Zobaczy pan, co się stało Rayowi.

— Postaram się, panie Rook. Do dziewiątej.

Jim odłożył słuchawkę i odwrócił się do Tibbles Dwa.

— Zadowolona? — spytał.

Tibbles Dwa zanurzyła jednak przednie łapki w futerku na piersi i zamknęła ślepia. Jim podszedł do kotki i podniósł kartę tarota, którą przyniosła. Postać w dalszym ciągu stała na śniegu i czekała. Gwiazdy w dalszym ciągu świeciły na czarnym niebie.

Jim podszedł do regału i wyjął jedną z dwóch poobijanych, oprawionych w skórę encyklopedii, które dostał od ojca, kiedy skończył uczelnię. Znalazł hasło „astronomia”, gdzie były liczne mapy nieba, konstelacji i gwiazdozbiorów. Łudził się, że znajdzie układ gwiazd, pasujący do tego na karcie.

Może miał jakieś znaczenie, może nie miał, ale większość detali z kart tarota ma znaczenie symboliczne — widoczne w oddali zamki, pływające w rzece homary albo postacie z odwróconymi głowami.

Jim przewracał kartkę za kartką, oglądał je bokiem, skosem i do góry nogami, a popołudniowe słońce powoli zataczało krąg wokół mieszkania. Układ gwiazd na karcie był tak regularny, że Jim nie wyobrażał sobie, iż mogłaby to być naturalna konstelacja. Nigdzie nie mógł takiej znaleźć.

Za każdym razem, kiedy przerywał poszukiwania, by pomyśleć o Rayu, dłonie zaczynało mu palić zimno i przeżywał ból, jakiego nikt nie był chyba sobie w stanie wyobrazić.

Zrobił przerwę. Poszedł do lodówki i wbił wzrok w jej wnętrze, by sprawdzić, czy jest tam coś, co miałby ochotę zjeść. Zamknął drzwi i wrócił do salonu. Tibbles Dwa otworzyła ślepia i

przyszpilała go wzrokiem.

— Kto cię przysłał? — spytał Jim, siadając obok kotki. — Nie uwierzę, że zjawiałaś się przypadkiem. Mowy nie ma.

Tibbles Dwa zeskoczyła z kanapy i wskoczyła na krzesło, na którym Jim siedział, szukając konstelacji gwiazdnych. Przez chwilę się wahała, po czym wskoczyła na stół. Pchnęła łapą encyklopedię, która leżała na samym skraju stołu, i tomiszczce zaczęło spadać.

— Hej! — krzyknął Jim i skoczył do przodu, by złapać księgę, ale stało się coś dziwnego.

Jeszcze nigdy nie widział, by coś spadało w ten sposób. Encyklopedia opadała na podłogę w zwolnionym tempie, jakby powietrze zgęstniało do konsystencji melasy, do tego w trakcie opadania kartki przewracały się jak poruszane dłonią.

Tom spadał dwa centymetry poza zasięgiem palców Jima. Sytuacja była jak ze snu.

Encyklopedia dotknęła podłogi, odbiła się i szeroko otwarta, powoli znieruchomiała na dywanie.

Tibbles Dwa, która zeskoczyła podczas spadania księgi ze stołu, ruszyła pod przeciwległą ścianę, gdzie

stanęła, odwróciła się i zaczęła wyniośle obserwować Jima.

Jim podniósł encyklopedię. Była otwarta na stronie, gdzie opisano znaki Zodiaku oraz ruchy gwiazd i planet. Z prawej widniała ilustracja północnego nieba z 16 czerwca 1816 roku. Z dwoma drobnymi wyjątkami wzór gwiazd był identyczny z układem na karcie.

Podpis brzmiał: KONSTELACJA GWIAZD PRZEPOWIADAJĄCA „ROK BEZ LATA”.

— Co to ma być? Jakiś żart? — spytał Jim.

Tibbles Dwa wydała z siebie ciche, łagodne miauknięcie. Jim popatrzył na kotkę, ale nic nie powiedział. Zaczynał podejrzewać, że Tibbles Dwa to wcale nie kot, lecz reinkar-nowany w kociej postaci ludzki duch.

— Powinnaś dać mi jakąś podpowiedź. Powiedzieć, kim jesteś. Mógłbym dać ci wtedy coś z rzeczy, które lubiałaś, będąc człowiekiem. Może kroplę bourbona do mleka? Niskokaloryczne



jedzenie? Powinnaś nieco ujawnić. W końcu umiesz przynosić karty do tarota i otwierać encyklopedie na odpowiedniej stronie. Może powiesz, jak się nazywasz?

Tibbles Dwa pozostała jednak tajemnicza jak przedtem. Zaczęła zapadać w głęboki sen, wprawiający jej krtań w drżenie.

Jim odłożył encyklopedię na stół, wyjął z kieszonki koszuli okulary i zaczął czytać. Na początku czerwca 1816 roku astronomowie zaobserwowali na niebie półkuli północnej niezwykłą konstelację gwiazd. Podobny układ opisano po raz pierwszy w staronordyckich pismach z 505 roku, choć taką samą konstelację odkryto na powstałych kilkaset lat przed naszą erą malowidłach ściennych w jaskini w belgijskich Ardenach. Nordycka nazwa tej konfiguracji, napisana w składającym się z dwudziestu czterech runów alfabecie, brzmiała Zwiastun Zimna. Uważano, że jej pojawienie się jest ostrzeżeniem, iż świat ma zostać ukarany za bliżej nie określony grzech.

Dzień po ukazaniu się wspomnianej konstelacji, mniej więcej o ósmej rano nad północno-wschodnią i — częściowo — północną Pensylwanią zaczął padać śnieg. Vermoncki „North Star” donosił o pojawieniu się ponad sześciometrowych zasp. w całych Stanach Zjednoczonych zostały zniszczone zasiewy.

W Europie sytuacja była jeszcze poważniejsza. Przez Wielką Brytanię i Francję przeszły burze śnieżne, niszcząc pola uprawne i zabijając tysiące ludzi. Jednym z najdziwniejszych „produktów ubocznych” lodowatego lata 1816 roku był fakt, że poeta Percy Bysshe Shelley i jego żona Mary zostali zmuszeni do pozostania w willi niedaleko Jeziora Genewskiego, gdzie Mary dla zabicia nudy napisała „Frankensteina”. Pod koniec książki Frankenstein wskakuje na krę lodową na Oceanie Arktycznym i znika w ciemności.

Następnym razem taki sam układ gwiazd pojawił się w nocy 14 kwietnia 1912 roku i został dostrzeżony nad północnym Atlantykiem przez Roberta Philipa, pierwszego oficera na pokładzie statku „Mesaba”. Naszkicował go w swym dzienniku i pewnie zostałyby to zapomniane,

gdyby tej samej nocy nie doszło do jednej z największych katastrof współczesności — zatonięcia liniowca White Star o nazwie „Titanic”.

Hasło w encyklopedii kończyło się następująco: „Choć brak wystarczających dowodów naukowych, wydaje się, iż pojawienie się tej konstelacji gwiazdnej przepowiada niezwykle zimną pogodę oraz śmierć na wielką skalę”.

## ROZDZIAŁ 7

Jim dojechał do Pico Boulevard mniej więcej piętnaście po dziewiątej. Wieczór ciągle jeszcze był nieprzyjemnie upalny, a szeroką przednią szybę popstrzyły insekty. Daleko na południu mruczały grzmoty, nad horyzontem tańczyły błyskawice, podobne do maszerujących na szczytach postaci.

Pico Villas było odrapanym budynkiem z lat sześćdziesiątych z zabetonowanym podwórzem i stojącym na nim betonowym tworem o wyglądzie latającego spodka, w którym wegetowały schnące juki. Jim otworzył drzwi prowadzące do dusznego, wypełnionego stęchłym powietrzem hallu i znalazł

guzik podpisany HUBBARD. Wcisnął go i zaczął czekać. W końcu rozległ się podejrzliwy głos Henry'ego Hubbarda:

— Tak?

— Jim Rook, panie Hubbard. Przepraszam, że się spóźniłem.

— Nie szkodzi. Proszę wejść. Drugie piętro, drugie drzwi po prawej.

Jim wszedł do windy. Była tak ciasna, że z radością jechał sam. Wyłożono ją drewnopodobnym laminatem, więc Jim czuł się jak w pionowo postawionej trumnie. Jękliwa jazda zdawała się trwać wieki, a kiedy winda dotarła na miejsce, zamarła z zamkniętymi drzwiami na przynajmniej piętnaście sekund. Potem konwulsyjnie zadrżała i drzwi się otworzyły. Henry Hubbard czekał w otwartych drzwiach. Był wysokim, szczupłym i gibkim mężczyzną z najeżonymi siwymi włosami i twarzą wskazującą, że przez lata była wystawiona na działanie lodowatych wiatrów. Oczy miał bladozielone, duży, siodełkowaty nos, gładko wygolone policzki, jakby dopiero wyszedł z łazienki,

i pachniał wodą po goleniu Hugo Boss. Ubrany był w zieloną koszulę w kratę i bladobłękitne dżinsy z szerokim skórzanym pasem.

— Pan Rook? Henry Hubbard. Cieszę się, że udało się panu nas znaleźć. — Uściśnął Jimowi mocno dłoń.

— Jack już w domu?

— Powinien zaraz wrócić. Umówił się z kolegami ze szkoły. Chyba stworzyli coś w rodzaju grupy samopomocy. Chcą się wspierać, mówiąc o swych uczuciach w związku z wypadkiem Raya Kruegera. Jackowi bardzo zależało na wzięciu w tym udziału. To chyba dobry sposób na jako takie poradzenie sobie z niepokojem. Sam pan rozumie. To młode dzieciaki, a wstrząs był spory. Muszą jakoś

dać upust temu, co czują.

— Widział pan wiadomości?

— Widziałem, choć jeśli mam być szczery, wolałbym ich nie oglądać. Widziałem dość tragedii spowodowanych przez zimno. Nie trzeba mi przypominać, do czego może doprowadzić odmrożenie.

Henry Hubbard poprowadził Jima do skromnego, skąpo umeblowanego salonu. Było w nim coś, co sugerowało, że mieszkanie jest wynajęte. Na podłodze leżał oliwkowy dywan, wokół stały tanie, laminowane meble. Na ścianie wisiał ukazujący pomarańczowe słońce wielki olejny obraz, który wyglądał jak reklama soku pomarańczowego Minute Maid. W kącie znajdował się jednak nowiutki olbrzymi telewizor z panoramicznym ekranem, na podłodze obok piętrzyły się stosy starannie zaetykietowanych kaset wideo, nad telewizorem wisiała półka na książki, wypełniona po brzegi publikacjami z dziedziny meteorologii, geografii oraz badań Arktyki i Antarktydy.

— Proszę wybaczyć bałagan — zaczął Henry Hubbard. — Nie zdążyłem jeszcze...

— Proszę się nie przejmować. Moje mieszkanie wygląda tak samo. Zawsze tak jest, kiedy mieszka się samemu. Kubek po kawie, który człowiek zostawia, wychodząc rano do pracy, ciągle

stoi, gdzie stał, gdy wraca się wieczorem. Jeszcze nie nauczyłem kotki zmywać.

— Coś do picia?

— Byle co. Woda sodowa, cola, co pan ma.

— Piwo? Jeśli nie jest pan na służbie albo coś w tym rodzaj u

— Może być piwo. Nie mam zastrzeżeń.

Henry Hubbard przyniósł dwie puszki pabsta i usiedli na obitej skajem kanapie.

— Po tym, co się dziś stało, w West Grove była chyba spora wrzawa.

— Wrzawa? Wrzawa to mało. Dostaliśmy ponad sześćdziesiąt podań od uczniów z prośbą o zmianę szkoły albo zgodę na przerwanie nauki.

— Rozumiem. Przykro mi.

— Cóż, trudno mieć do ludzi pretensję, że panikują. Jestem zdecydowany dowiedzieć się, dlaczego ta poręcz tak zamarzła. Nie zamierzam tego odpuścić. Muszę wiedzieć, dlaczego Ray stracił rękę.

Henry Hubbard skinął głową. Nie podniósł jej, zwlekał z popatrzeniem na Jima.

— Jack opowiadał o zamarzniętej toalecie? — spytał zatem Jim.

— Opowiadał. Ciągle jeszcze nie wiadomo, jak do tego doszło?

— Nie, ale wychodzę z założenia, że incydent z toaletą i ten z poręczą się jakoś łączą.

— Życzę szczęścia w śledztwie, nie byłbym jednak zaskoczony, gdyby nigdy pan nie odkrył, co się stało. Z zimnem tak już jest. Kryje w sobie pełno tajemnic. Zimno... jak to powiedzieć... zimno to inny świat.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu i popijali piwo.

— Jack sobie radzi? — spytał w końcu Henry Hubbard. — Wygląda na to, że lubi angielski.

— Jack? Z tego, co na razie zaobserwowałem, radzi sobie świetnie. Wszystko wskazuje na to,

że jest inteligentny, umie obserwować i formułować myśli. Nie sądzę, by został długo w drugiej specjalnej. Musi jedynie znaleźć sobie odpowiednie miejsce w systemie nauczania, to wszystko.

Kiedy przyspieszy, nie będzie miał moim zdaniem żadnych problemów.

— Jest szczęśliwy? Nie jest niezrównoważony?

— Dlaczego miałby być niezrównoważony?

— No, w końcu stracił matkę. Ciągłe się przeprowadza.

— Na moje oko wszystko jest z nim w porządku.

— To dobrze. To, co się dziś wydarzyło... te odmrożenia... nie bardzo wiem, jak miałbym panu pomóc.

— Chciałem jedynie skorzystać z pańskiego doświadczenia.

— Proszę pana... to, że byłem na Alasce i dwóch moich przyjaciół zamarzło na śmierć, jeszcze nie znaczy, że wiem cokolwiek o mroźnych warunkach pogodowych. Fakt, razem z przyjaciółmi byłem wystawiony na temperaturę minus siedemdziesięciu jeden stopni, a jeśli weźmie się

pod uwagę, że najniższa zarejestrowana w Stanach Zjednoczonych temperatura to minus osiemdziesiąt... w Prospekt Creek na Alasce, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym...

to, co przeszliśmy, było bardzo blisko granicy przetrwania. Cud, że wyszedłem z tego żywy.

— Jack uważa, że coś chodzi panu po głowie. Jakaś sprawa związana z wydarzeniami na Alasce.

— Mówił pan, że nie jest niezrównoważony.

— Jest różnica między byciem niezrównoważonym a zaniepokojonym.

— Jack jest zaniepokojony? Czym?

— Twierdzi, że kiedy próbuje rozmawiać z panem o ostatniej wyprawie, zamyka się pan. Mówił, że spędza pan godziny przed telewizorem, wpatrując się w filmy wideo i szuka na nich czegoś, choć on nie wie czego. Mówi, że pozawieszał pan wszędzie w domu eskimoskie fetysze i każe mu nosić na

szyi talizman z kości wieloryba. Moim zdaniem to właśnie go niepokoi. Szuka wyjaśnień.

Henry Hubbard wzruszył ramionami.

— Ostatnia wyprawa była ciężkim kawałkiem chleba. Naprawdę bardzo ciężkim.

— Dlaczego nie podzieli się pan z synem wrażeniami. Wygląda na to, że czuje się wykluczony.

— Wykluczony? Ta wyprawa... cały świat był wykluczony... poza nami. Nie można się „podzielić” przeżyciami z czegoś takiego. Nawet nie da się o tym mówić. Robię ten program telewizyjny tylko dlatego, że podpisałem umowę i potrzebuję pieniędzy. Moi przyjaciele nie żyją. Gdyby to było możliwe, nigdy więcej bym o tym nie myślał.

— Czego więc pan szuka, wpatrując się w wideo?

— Biel, widzę tylko biel. Biel, biel, biel. Mam w nocy koszmary na ten temat. Co mam powiedzieć Jackowi. Obserwuje mnie, jakbym był dla niego wzorem, ale nic było go tam. Nie widział tego, co ja widziałem. Nie zrozumie tego.

— Czego?

— Nie zrozumie, jak to jest, kiedy człowiek znajduje się w środku absolutnej bieli i jest pewien, że zaraz zginie.

— Ale nie zginął pan.

Henry Hubbard rzucił Jimowi dziwne, obronne spojrzenie — jak gdyby został przyłapany na wyciąganiu pieniędzy z cudzego portfela.

— Tak, to prawda. Przeżyłem, ale byłem tak blisko śmierci, że nie chciałbym tego przechodzić ponownie. Jeśli chce pan znać prawdę, panie Rook, to ta wyprawa pozbawiła mnie wszystkiego. Chęci przeżycia przygody, odwagi... wszystkiego. Odebrała mi nawet godność.

Jim siedział w milczeniu. Henry Hubbard był wyraźnie pobudzony. Pocierał dłonią usta, jakby próbował zetrzeć z nich smak niemiłego pocałunku.

— Czuje się pan winny? — spytał w końcu Jim.

— Oczywiście, że czuję się winny. Czasem żałuję, że wróciłem... że nie umarłem na lodowcu jak moi przyjaciele. Jak to się nazywa? „Zespół uratowanego”? Nie wie pan, jak często życzyłem sobie śmierci, ale to nie działa.

— Dlaczego nie opowie pan o wszystkim Jackowi? Bez eleganckiej otoczki dla telewizji, o tym, co wydarzyło się naprawdę?

— Nie mogę. Nie wiedziałby, o czym mówię.

— Dlaczego nie da mu pan szansy się dowiedzieć?

Henry Hubbard pokręcił głową.

— Nie będzie chciał słuchać, jak jego staremu puściły nerwy, a jego stary nie będzie chciał o tym opowiadać.

— Dlaczego więc opowiada pan mnie?

Henry Hubbard napił się piwa. Potem wstał i obszedł kanapę.

— Słyszał pan kiedyś o Domu Martwego Człowieka?

— Hmm... mmm. Nie.

— Ta historia sięga chyba roku tysiąc dziewięćset trzynastego albo jakoś tak. Według niej jest na północy Alaski dom, wysoko w górach, tuż przy granicy Jukonu, znacznie bardziej reprezentacyjny od budowanych w tej okolicy chat. Ponoć zbudował go jeden z pasażerów, który przeżył katastrofę „Titanica”, ale nikt nie wie dlaczego. Miał się nazywać Edward Grace. Podobno żył w tym domu sam przez wiele lat. Do dziś nie wiem, czy historia jest prawdziwa, ale Edward Grace miał tam mieszkać, aż zestarzał się tak, że nie był w stanie rąbać drewna i zamarzył na śmierć. Plotka twierdzi, że siedzi tam do dziś, zmumifikowany przy stole w jadalni razem z kotem.

— Z kotem?

— Zawsze sądziłem, że to kolejna legenda, jakie ludzie opowiadają sobie na Alasce.

Pewnego wieczoru, w Fairbanks, rozmawiałem jednak z pewnym starszym facetem. Opowiedział mi, jak to kiedyś był na pustkowiu, gdzie prowadził badania sejsmologiczne w poszukiwaniu ropy naftowej i razem z kolegami z ekipy zgubił się w burzy śnieżnej. Przysięgał, że, choć tylko przez chwilę, naprawdę widział Dom Martwego Człowieka, niestety pogoda była tak zła, że nie mógł do niego podejść. Z początku sądziłem, że facet jest starym pijaczną, który gada bez ładu i składu, ale kiedy spytałem barmana, potwierdził, że mój rozmówca był kiedyś światowej sławy petrogeologiem. Sprawdziłem w Internecie i okazało się, że barman się nie mylił. Główny geolog badawczy w Amoco. Wtedy zacząłem nieco poważniej traktować opowieść o Domu Martwego Człowieka. Przekonałem ludzi z NBC do sponsoringu i stacja sfinansowała większą część wyprawy, resztę wyłożył Uniwersytet Alaski z Anchorage. Wybrałem dwóch wolontariuszy... Randy'ego Bretta i Charlesa Tuchmana. Randy był najlepszym historykiem na północnym zachodzie, a Charles wysokiej klasy kartografem, obaj mieli także doświadczenie jako badacze Antarktydy i byli dobrymi wspinaczami. Dolecieliśmy samolotem do Old Crow, po jukońskiej stronie granicy, po czym korzystając z dwóch map z lat dwudziestych, które Charles znalazł w antykwariacie w Seattle, ruszyliśmy na zachód. Mieliśmy także pełen notes zapisków historii zasłyszanych o Domu Martwego Człowieka... gdzie się mieści, jak go zbudowano... przeróżne legendy i mity, które krążyły wokół tematu. Pewien człowiek, który pracował w fabryce konserw, twierdził, że jego ojciec nie tylko znalazł ten dom, ale był w środku i widział Grace'a, siedzącego przy stole w salonie. Podobno leżała przed nim rozłożona talia kart „Titanica”. Ojciec tego robotnika miał nawet wziąć jedną z kart, by sprawdzić jej pochodzenie, tyle że ponoć zgubił ją w trakcie powrotu na południe. Henry Hubbard włączył telewizor.

— Mieliśmy dwa skutery śnieżne i dość szybko pokonywaliśmy przestrzeń. Byliśmy przekonani, że znamy mniej więcej miejsce, gdzie zbudowano Dom Martwego Człowieka, i że przy systematycznych poszukiwaniach znalezienie go nie zajmie nam więcej niż tydzień. Wtedy



jednak zaczął padać śnieg, wiatr się nasilił i od trzeciego dnia walczyliśmy, by robić dziennie więcej jak dziesięć, dwanaście kilometrów.

Jim odwrócił się, żeby móc patrzeć na ekran telewizora. Z początku sądził, że coś stało się z telewizorem, dlatego widać jedynie białą kaszę, szybko jednak pojął, że obserwuje padający śnieg.

— Był kwiecień i choć na szerokościach geograficznych i wysokości, na której się znajdowaliśmy, widuje się o tej porze sporo śniegu, to, co się działo, było gorsze od wszystkiego, z czym kiedykolwiek miałem do czynienia — kontynuował Henry Hubbard. — Silniki skuterów się pozacierały i musieliśmy iść dalej na piechotę, a choć mieliśmy urządzenia satelitarne do określania pozycji i kierunku, byliśmy zagubieni, ślepi i zaczęliśmy się poważnie martwić, że wpadliśmy w groźną dla życia pułapkę. — Wskazał na nie wyraźny cień z prawej strony ekranu. — To

ja... to Randy... idzie tuż obok, a trudno go zobaczyć, prawda? Charles filmował.

Jim widział jedynie wirujące białe płatki i od czasu do czasu ciemniejsze mignięcia, które mogły być wszystkim.

— Jack twierdzi, że wpatruje się pan w ekran, do tego z bliska. Czego pan szuka?

Henry Hubbard i teraz wbijał wzrok nieruchomo w ekran

— Szukam czwartego człowieka.

— Czwartego człowieka? Jakiego czwartego człowieka?

— Ha! Brzmi to jakbym sfiksował, co? Po dwóch dniach od wejścia w góry zaczęliśmy uważać, że wędrujemy nic w trzech, a w czterech. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że idzie z nami jeszcze ktoś i wkrótce poczucie to stało się tak silne, że rozmawialiśmy o nim, jakby faktycznie istniał. — Przerwał na chwilę, po czym dodał: — Cały czas szedł po lewej stronie.

— Widział go pan?

Henry Hubbard nie odpowiedział, jedynie wpatrywał się jak zahipnotyzowany w padający na ekranie śnieg.

— Z początku był to żart. Nazywaliśmy go George. Gdyby cokolwiek poszło nie tak, mogliśmy zwalić to na George'a. Pod koniec czwartego dnia sprawa przestała być żartem. Zaczęliśmy wydzielać mu racje żywnościowe. Nie wiedziałem o tym przedtem, dowiedziałem się dopiero po powrocie do Anchorage, ale inni badacze też doświadczali „zjawiska dodatkowego człowieka”. Pierwszy opisał je Marco Polo, który dojrzał go na pustyni Lop Nur, w czasie podróży do Chin. W nocy słyszał rozmowy duchów, które zdawały się towarzyszyć jego wyprawie.

— Henry Hubbard wziął leżącą na telewizorze teczkę z luźnymi kartkami w środku. — Niech pan popatrzy na to... kiedy statek sir Ernesta Shackletona „Endurance” został unieruchomiony w tysiąc dziewięćset szesnastym roku w lodach Antarktydy. Shackleton zostawił załogę na Wyspie Niedźwiedziej i razem z dwoma ludźmi przepłynął na niewielkiej łódce osiemset mil morskich do Georgii Południowej. Wylądowali na niezamieszkaną część wyspy i zanim dotarli do stacji wielorybniczej, gdzie dostali pomoc, wspięli się na dotychczas nie zdobyte góry. Proszę...

Shackleton pisze tak: „W trakcie długiego marszu, który trwał trzydzieści sześć godzin, często zdawało mi się, że jest nas nie trzech, a czterech. Worseley i Crean mieli to samo odczucie”. Siedem lat po tamtym wydarzeniu Worseley napisał, że, nawet jeszcze i dziś zdarza mi się liczyć naszą grupę. Shackleton, Crean, ja i... kim był i ten czwarty? Oczywiście było nas tylko trzech, ale, i to w tym wszystkim dziwne, kiedy każdy z nas dokonuje w myśli ponownego przejścia przez wyspę, zawsze myślimy o czwórce, po czym się poprawiamy”. Niech pan posłucha także tego: „Steve Martin, David Mitchell oraz jeszcze jeden weteran antarktyczny, Keith Burgess, natknęli się na czwartego człowieka podczas przekraczania Grenlandii. Nazwali go Fletch. Kiedy sporządzali raport z podróży, opisali wyprawę jako wyprawę czteroosobową, której czwartym uczestnikiem był F. Letch”. Dodatkowy człowiek pojawia się raz zarazem — wszędzie gdzie jest zimno i dochodzi do zaginięć ludzi. Frank Smythe wspinał się w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku na Mount Everest z nieustannym poczuciem, że ma towarzysza, kogoś, kto w razie wypadku złapie

jego linę i go uratuje. On też wydzielał swemu „towarzyszowi” osobne racje żywnościowe. Dalej: w lutym tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku miłośnik wędrówek górskich Dennis Goy wpadł w burzę śnieżną w Britain's Lake District. Znalazł w śniegu świeże ślady stóp i poszedł za nimi. Ślady urywały się na środku wielkiej płaszczyzny nietkniętego śniegu.

— Nie sądzi pan, że tego typu odczucia mogły zostać spowodowane stresem fizycznym i psychicznym, przeżywanym w miejscach dalekich od wszelkiej cywilizacji?

— To możliwe...

— Ale pewien pan nie jest. Tak. Wcale nie jest pan co do tego przekonany.

— Cóż. wtedy wyglądał cholernie realnie. George. Fletch. czy jak go tam pan chce nazwać.

Kiedy wróciłem, rozmawiałem o tym z moim teściem. Jest rodowitym Eskimosem i mieszka w Inuvik. Zajmuje się archiwizacją kultury Eskimosów. Powiedział, że istnieje mnóstwo opowieści o „dodatkowym człowieku”. Ma przyjaciół, którzy uratowali się z pustkowia, tak samo jak ja, a wszyscy mówią o kimś, kto przybył, by wyprowadzić ich ze śnieżycy. Eskimosi nie lubią o nim opowiadać, ale ojczym powiedział, że określają go słowem znaczącym „Demon Zimna”.

— I właśnie ten Demon Zimna pana uratował?

— Mnie? Nie, to tylko opowieści...

— Przeprowadził pan jednak badania i... w dalszym ciągu pan go szuka — stwierdził Jim, kiwając głową w kierunku telewizora.

— Może tylko po to, by raz na zawsze się przekonać, że nic takiego nie istnieje. Ja przeżyłem, dwóch moich towarzyszy zginęło. Wolę nie myśleć o tym, że przyczyną było cokolwiek innego niż szczęście.

Jim wyczuwał, że Henry Hubbard ma więcej do powiedzenia, a zamilkł, ponieważ nie umiał się zmusić do ubrania tego w słowa. Widać było, że w dalszym ciągu cierpi z powodu śmierci członków swej wyprawy, zebranie dokumentacji o tym, co razem zrobili, musiało stanowić dla niego piekło. Na

stole w salonie leżały rozrzucone dziesiątki fotografii — zdjęcia uśmiechniętych brodatych mężczyzn w jaskrawych antarktycznych strojach, obejmujących się, śmiejących, pełnych optymizmu. Nie pozostało z tego nic poza śniegiem, wypełniającym ekran telewizora.

— Zapytam wprost — odezwał się Jim. — Czy pańskim zdaniem może istnieć bezpośredni związek między waszą wyprawą do Domu Martwego Człowieka a tym, co się stało w West Grove College?

Henry Hubbard niemal niewidocznie pokręcił głową. Jim jeszcze chwilę odczekał.

— Nie uważa pan, by istniał jakikolwiek związek między zimnem, którego doświadczył pan na Alasce, a zimnem, z jakim mieliśmy do czynienia tutaj? Ani że Jack może być ogniwem łączącym?

— Jak mógłby być? To nielogiczne.

— Ray Krueger stracił dłonie w wyniku odmrożeń, to też nielogiczne. Coś panu powiem, panie Hubbard. Na tym świecie dzieje się straszliwie wiele rzeczy, które są nielogiczne, a mimo to mają miejsce. W roku tysiąc osiemset szesnastym nie było lata. W tysiąc dziewięćset dwunastym zatonął „Titanic”. W czerwcu wystąpił mróz. W połowie lipca szalały śnieżyce.

Henry Hubbard nie odzywał się więcej. Jim dokończył piwo.

— Chyba już pójdę — powiedział i wstał.

Na chwilę zatrzymał się w drzwiach i obserwował Henry'ego Hubbarda przed ekranem z szalejącą burzą śnieżną. W końcu wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Zanim wsiadł do samochodu, coś kazało mu się zatrzymać. Popołudnie było w dalszym ciągu ciepłe, ale wyraźnie czuł wiejący mu w kark chłodny wiaterek. Rozejrzał się, popatrzył na pełen samochodów betonowy podjazd przed Pico Villas, nikogo jednak nie dostrzegł. Spojrzał za siebie ku Pico Boulevard, gdzie tętnił hałaśliwy, nachalny ruch uliczny. Wokół nie było nic niezwykłego.

Nagle wydało mu się, że słyszy z prawej stukanie, sunące wzdłuż spękanego betonowego

chodnika. Niewyraźne, jakby ktoś przesuwiał patykiem po chodniku na lewo i prawo, a po każdym wychyleniu go w bok krótko i ostro stukał.

Jim rozejrzał się ale naprawdę nikogo nie było. Okolica nie należała do szczególnie uczęszczanych przez przechodniów. Mimo to stukanie trwało, na dodatek zdawało się zbliżać. PUK! — szurnięcie patyka po betonie — PUK! — SZUR po betonie — PUK! Zbliżyło się tak bardzo, że Jim mimowolnie zrobił krok do tyłu.

W tym momencie je dostrzegł. Na chodniku przed nim pojawiły się migoczące plamy — jedna za drugą, niczym odciski stóp. Zbliżały się i przez chwilę sądził, że idą prosto na niego. Przycisnął plecy do samochodu, ślady stóp minęły go, ale tylko w odległości kilku centymetrów. Poczł zimno — niepodobne do żadnego, jakie kiedykolwiek odczuwał. Nie było to orzeźwiające zimno na stokach narciarskich ani odświeżający chłód, kiedy wypływa się na ocean. Było to prawdziwie martwe zimno, zimno, które może skruszyć skałę, zimno, które zdolne jest zamrozić ciało na zawsze, zimno arktycznej nocy, podczas której pokutujące potwory suną przez ciemność na tratwach z bladego lodu.

Przez plecy Jima wspiał się kłujący setkami lodowatych igiełek dreszcz. Dłonią, którą trzymał na otwartych drzwiach samochodu, poczuł, jak z metalu znika całe ciepło popołudnia. Przednia szyba nagle zakwitła lodowymi kwiatami.

Z ust wyleciał mu kłęb pary. Liście juki, stojącej przy tablicy z napisem PICO VILLAS, zamigotały kryształami lodu. Czymkolwiek było to coś, co go minęło, obniżało temperaturę w promieniu piętnastu metrów wokół siebie. Ślady stóp pojawiały się w dalszym ciągu — aż doszły do tablicy. Stały, ale stukanie trwało dalej — PUK PUK STUKUPUK PUK — nerwowe, natarczywe, spieszne.

Jim bał się poruszyć, wstrzymywał oddech. Gdyby miał do czynienia z duchem, mógłby go

widzieć, nie dostrzegał jednak niczego poza mroźnymi śladami stóp, które na dodatek szybko się rozpuszczały. Ostrożnie ukląkł i dotknął jednego — składał się z tysięcy, niezwykle delikatnych, igiełek migoczącego lodu.

Stukanie nie milkło. Było na pozór cierpliwe, ale kryła się w nim groźba. Jim nie miał wątpliwości, że bez względu na to, czym jest niewidzialny twór, przyszedł po Jacka. Wysilał wzrok, ale nie mógł dostrzec w wieczornym powietrzu nawet najdrobniejszego drżenia. Może tracił zdolność postrzegania duchów, fantomów i wędrujących poza ciało dusz — istniała jednak możliwość, że ten stwór różni się od wszystkich innych. Może intensywne zimno tworzyło istotę, której nie da się ani zobaczyć, ani dotknąć, chociaż umie całkiem bezkarnie zamrozić wszystko wokół siebie. Stwór czekał i Jim miał wrażenie, że próbuje wyczuć, czy Jack jest w pobliżu. Nim najwyraźniej się nie interesował, wręcz nie zauważał stojącego dwadzieścia metrów dalej człowieka, którego chude ramiona pokrywała gęsia skórka. Po mniej więcej pięciu minutach znów rozległo się stukanie, dołączyło się szuranie po betonie i zamrożone ślady stóp poszły dalej, ku Rexford Drive. Migoczące w świetle ulicznych lamp znaki po niedługim czasie zniknęły. Jim jeszcze chwilę czekał i słuchał, potem wsiadł do samochodu i zdrętwiałymi z zimna palcami wyjął z kieszeni kluczyki.

Zapalił silnik i wyjechał z Pico Villas w chmurze dymu spod piszczących kół.

Nie miał już wątpliwości: zły duch szukał Jacka. Bezskutecznie próbował go znaleźć w szkole, zamiast niego pojmał w swe mroźne szpony Raya Kruegera. Teraz przybył do domu Jacka. Nawet jeśli miał jakikolwiek związek z nieszczęsną wyprawą Henry'ego Hubbarda do Domu Martwego Człowieka, najwyraźniej nie szukał Henry'ego. Czego więc chciał? Dlaczego? Co Jack zrobił, że duch z taką determinacją chce go zamrozić?

Jadąc do domu, Jim rozmyślał o sunącym wzdłuż chodnika stukaniu. Coś mu przypominało, ale nie umiał określić co. Kiedy zatrzymał się na czerwonym świetle na skrzyżowaniu Venice i Palm,

jego wzrok padł na znajdujący się po drugiej stronie ulicy specjalistyczny sklep zoologiczny ..Tylko dla

ptaków". W oknie, w ogromnej kopulastej klatce, siedziała wielka czerwono-zielona papuga.

Przedstawicielkę tego samego gatunku mógł nosić na ramieniu Długi John Silver.

Długi John Silver z „Wyspy skarbów". Co to za przerażająca postać z pierwszych rozdziałów

„Wyspy skarbów", wyczuwając kijem drogę przed sobą, dotarła do „Pod Admiralem Benbow"?  
Ślepy

Pew.

Właśnie takie PUK — SZUR — PUK słyszał. Stukanie laski ślepeca, który wyczuwa drogę.

Ślepeca albo niewidzacego ducha. Z jakiego innego powodu miałby zamrozić toaletę, jeśli nie dlatego, że przy wyczuwaniu śladów obecności Jacka był zmuszony do polegania jedynie na dotyku albo węchu? Z tym że Jacka nie było w toalecie — była tam tylko jego bluza. Z jakiego innego powodu miałby atakować zinnem Raya Kruegera, poza tym że — omyłkowo — uznał, iż to Jack?

Światła zmieniły się na zielone i samochód za Jimem zatrąbił. Ten machnął przeproszająco ręką i skręcił w lewo ku domowi.

Martwiło go jedno jeśli duch przyszedł pod dom Jacka, by go znaleźć, musiał wiedzieć, że zamroził nie tę osobę, którą chciał. Oznaczało to, że Jack w dalszym ciągu był w niebezpieczeństwie... tak samo inni uczniowie West Grove Community College, jeśli przypadkowo stanął mu na drodze.

## ROZDZIAŁ 8

Następnego dnia rano doktor Ehrlichmann zwołał specjalne, wszechwyznaniowe spotkanie religijne, by każdy uczeń West Grove Community College mógł na swój sposób pomodlić się za powrót Raya Kruegera do zdrowia.

Dottie Osias wygłosiła własne przemówienie, które Jim uznał za głęboko poruszające.

Odczytała je wysokim, astmatycznym głosem, z płonącymi ze zdecydowania policzkami.

— Ray Krueger należy do ludzi, którzy wydają się wierzyć, że wszechświat to coś, co stworzyli w swych umysłach, a każdy, kogo spotykają, także jest ich tworem. Sądzę, że w pewien sposób uważa się za Boga. ale tak jak Bóg, szczególnie się troszczy o świat, który stworzył. Jest wiodącym członkiem grupy badań środowiska naturalnego West Grove. Minionego lata pojechał na północ stanu walczyć o lasy sekwojowe i spędził trzy dni na ratowaniu wieloryba, wyrzuconego na brzeg na plaży stanowej Will Rogers. Wszyscy wiedzą, jak czuły umie być Ray w stosunku do zwierząt, nie każdy jednak wie, że tak samo czuły umie być względem ludzi. Cierpi na problemy emocjonalne, które czasami powodują, iż wykrzykuje nieprzyzwoite i agresywne rzeczy, których tak naprawdę nie ma na myśli. Denerwuje to sporo ludzi i rozumiem ich, za tymi wybuchami kryje się jednak szczególna osoba, którą obchodzi każdy, kogo spotka. Naprawdę każdy. Pamiętam mój pierwszy dzień w West Grove. Nikogo nie znałam, ponieważ moja rodzina właśnie przeprowadziła się do Los Angeles z Cleveland. Miałam nadwagę. Miałam astmę, a eukaliptusy na terenie szkoły wcale jej nie polepszały. Nikt ze mną nie rozmawiał i nawet nie wiedziałam, dokąd iść na lekcję. Byłam zbyt zażenowana, by kogokolwiek zapytać, ponieważ miałam iść do drugiej klasy specjalnej, co oznaczało, że niewiele mi brakuje do niedorozwoju. Siedziałam więc sama i płakałam. Zobaczył mnie Ray Krueger, podszedł i zapytał, co się stało. Dużo czasu zajęło, nim mu wszystko wytłumaczyłam, ale był cierpliwy i pełen zrozumienia, a na koniec, kiedy się dowiedział, że idę do tej samej klasy co on, klasy pana Rooka, objął mnie ramieniem, zaprowadził, dokąd należało, i wyjaśnił, że czeka mnie w drugiej klasie specjalnej świetny czas. Powiedział, że to nie klasa dla niedorozwojów, ale dla ludzi, którzy się przejmują. Ray Krueger przejmował się, teraz nas przejmuje jego los. Bez względu na to, do jakiego boga wznosimy przed snem modły, złożmy mu szczególną prośbę o to, by pomógł Rayowi w jego bólu i sprowadził go do nas z powrotem. Może nie będzie miał całego ciała, ale oby całe pozostało to, co ma w głowie, świat potrzebuje bowiem takich ludzi jak Ray. Wiem to na pewno.



Natychmiast po tym, jak uczniowie wyszli, do Jima podszedł doktor Friendly. któremu

towarzyszyła kobieta po czterdziestce w jaskrawozielonej garsonce. Miała wielkie zęby i tapirowane włosy koloru imbiru.

— James... chciałbym, by poznał pan pannę Madeleine Ouster z Ministerstwa Oświaty. Miała odwiedzić nas wczoraj, ale oczywiście, w tej sytuacji...

Madeleine Ouster wyrzuciła rękę do przodu, czemu towarzyszył brzęk licznych złotych bransolet.

— Panie Book! Tak wiele słyszałam o pańskiej drugiej klasie specjalnej!

— Nie Book, Rook — poprawił Jim.

Madeleine Ouster wpatrywała się w niego tępo.

— Book-Rook?

— Może byłby pan tak uprzejmy, James, i wziął pannę Ouster na pierwszą lekcję? —

powiedział doktor Friendly. — Wie pan... pokazał jej, dlaczego West Grove Community College uważa pana za taką gwiazdę...

Jim spiorunował go spojrzeniem, które zabiłoby przez szerokość ulicy papugę, podał jednak ramię Madeleine Ouster i poprowadził ją w kierunku drugiej klasy specjalnej. Po drodze zrobił jej wykład o swych uczniach pod hasłem: „Straszliwie upośledzeni społecznie, ale odważnie walczą”.

— Ci młodzi ludzie muszą walczyć z wielkimi przeciwnościami tylko po to, by nauczyć się czytać i pisać. Wszyscy są przeciwko nim. Społeczeństwo, rodzice, telewizja, presja ze strony rówieśników. Musi pani zrozumieć, jak są odważni.

— Najbardziej interesuje mnie, panie Book-Rook, pańska metoda. Większość nauczycieli klas dla osób opóźnionych intelektualnie opiera się na prostych tekstach, takich jak materiały doktora Seussa czy klasycznych pozycjach literatury dziecięcej. Pan wyklada swoim uczniom Walta Whitmana, Harta Crane'a i Mariannę Moore.

— Mają może trudności z czytaniem i pisaniem, ale to nie znaczy, że są głupi — odparł

Jim. — Uważam, że zaczynanie pracy od prostych tekstów, zwłaszcza w przypadku uczniów w ich wieku, to błąd. Zbyt szybko się nudzą i jak mieć o to do nich pretensje? Wyobraża sobie pani, że ma dziewiętnaście lat i przez dwa tygodnie czyta „Zielone jajka i szynkę”? Należy prowokować ich inteligencję, zmuszać do myślenia. Kiedy zaczynają myśleć, ich składnia szybko się poprawia.

Wszedł do klasy. Jak zwykle, panował w niej chaos — Mandy Saintskill i Christophe l'Ouverture rapowali w duecie, powietrze było pełne latających papierowych kulek. Washington Freeman III stał na głowie, a Suzie Wintz machała dłońmi, by wysuszyć lakier na paznokciach.

Papierowe kulki natychmiast przestały latać i wszyscy usiedli w ławkach z poważnymi, uważnymi minami. Jim popatrzył na miejsce Jacka Hubbarda... dzięki Bogu, siedział w ławce. Najwyraźniej ślepy duch nie wrócił minionej nocy do Pico

— Chciałbym przedstawić wam pannę Madeleine Ouster z waszyngtońskiego Ministerstwa

Oświaty. Pannę Ouster ciekawi, co robimy w naszej klasie specjalnej. Mam nadzieję, iż serdecznie ją

przywitacie i pokażecie, że w klasie wyrównawczej nauka angielskiego nie różni się poziomem od każdego innego kursu angielskiego w tym kraju.

Wstał Tarquin Tree i uklonił się przesadnie głęboko przed gościem. Potem klasnął w dłonie i zaczął:

—

Wszyscy w naszej klasie... mówią cześć i jak pani się ma... i witają panią... jako osobę miło widzianą... wszyscy chcemy też pokazać... że się na literach znamy... i na lekcjach nie rozrabiamy... żeby mogła pani wrócić... i powiedzieć, że da się nas kupić... i została... kobietą-która-nam-będzie-pomagała!

Wszyscy zaczęli klaskać. Jim także. Madeleine Ouster uśmiechnęła się słabo.

— Może niech pan kontynuuje — powiedziała. — Usiądę w kącie i popatrzę. Będzie to na pewno

puczające... przynajmniej.

Jim chodził między ławkami i przez jakiś czas się nie odzywał. Czekał na ciszę. Czekał, aż wszyscy w klasie zaczną się zastanawiać, o czym myśli.

W końcu się odezwał.

— Staliśmy dziś i modliliśmy się za Raya. Ray chciałby, byśmy kontynuowali naszą pracę, poprawiali się dzień za dniem, tak jak on bardzo się starał poprawić. Zajmijmy się tym więc. Nie możemy jednak zapominać o tym, że nasz kolega z klasy i przyjaciel potrzebuje naszej miłości i wsparcia, a to, co przydarzyło się jemu, mogło się przydarzyć każdemu z nas. Zaczniemy dzisiejszą lekcję od omówienia „Wiersza o piłce” Johna Berrymana. Chciałbym, byście spojrzeli na ten wiersz w kontekście tego, co przydarzyło się wczoraj Rayowi, w kontekście własnego życia oraz wszystkich rzeczy, które uważacie za oczywiste.

*Co teraz zrobi chłopiec, któremu uciekła piłka?*

*Co teraz mógłby zrobić? Widziałem, jak skacząc wesoło*

*Toczy się ulicą, a później równie wesoło*

*Po drugiej stronie — i już jest w wodzie!*

*I nie ma co mówić „ach, są jeszcze inne piłki”:*

*Do samej głębi przesywa chłopca bezmierny żal,*

*Kiedy stoi jak wryty i drży, patrząc*

*Wszystkimi dniami swej młodości ku zatoce*

*Gdzie potoczyła się piłka \*.*

Skończył recytować i poprosił klasę o dyskusję. Co ten wiersz znaczy? Jak ma się do ich życia, ich dorastania? Joyce Capistrano stwierdziła, że to cyniczny poemat, a autor chce powiedzieć, że życie

jest trudne i nikt nigdy człowiekowi nie pomoże. Washington był innego zdania.

— Ten wiersz mówi, że trzeba się trzymać, nawet jeśli się wydaje, że wszystko się straciło... tak

jak Ray stracił ręce. Trzeba sobie powiedzieć: człowieku, straciłem piłkę na zawsze nigdy więcej jej nie zobaczę, ale wszystko, co mogę zrobić, to zapomnieć o niej i iść do przodu, ponieważ nie ma sensu płakać nad zaginionymi piłkami albo straconymi dniami Podniósł rękę Nestor Fawkes.

— Kiedyś miałem piłkę. Czerwono-żółtą. Wydałem na nią całe kieszonkowe. Kiedy ją przyniosłem do domu, ojciec wbił w nią nóż. Powiedział, że to mnie czegoś nauczy.

— I nauczyło cię? — spytał Jim.

— Tego, że jego stary to najpaskudniejszy kawał gówna w Los Angeles — stwierdził Tarquin.

— Wyuczyło mnie, żeby nigdy nie mieć w sobie na nic nadziei — powiedział Nestor, nie podnosząc głowy.

— Nauczyło cię, żeby nigdy nie mieć na nic nadziei — poprawił Jim.

— Tego też — zgodził się Nestor.

— No dobrze, ale była to zła czy dobra lekcja?

— Nie wiem — odparł Nestor ze wzruszeniem ramion. — Ale jeśli człowiek nie ma w sobie na nic nadziei, nigdy nie jest rozczarowany, co nie?

Rozmawiali dużo o Rayu. Wszyscy aż się palili, by o nim rozmawiać, a Jim zachęcał ich do tego. Chciał, by każdy ubrał swe uczucia w słowa — nawet jeśli plątały się, były niegramatyczne albo

wręcz niezrozumiałe.

— Ray... cholera... czuję się, jakbym stracił koronę z głowy — stwierdził Tarquin.

W końcu Jim podszedł do Jacka. Stał blisko, ale Jack wbijał wzrok w podłogę.

— A co ty czujesz? — spytał Jim.

— Ledwie go znałem.

— Ale chyba musisz coś czuć?

— Czuję... czuję, jakby dziecko zostało ukarane za grzechy ojca.

— Nie rozumiem. Nie chcesz chyba zasugerować, że ojciec Raya ma z tym cokolwiek wspólnego?

— Są jeszcze inni ojcowie. Są inne dzieci.

Jim wiedział, że Jack próbuje coś powiedzieć.

— Dobrze... może porozmawiamy o tym później — stwierdził bardzo łagodnie.

— On jest taki mar-kot-ny... —jęknęła teatralnie Suzie Wintz i zamrugła oczami.

Na koniec Jim poprosił o napisanie w domu krótkiego wiersza albo wypracowania o Rayu.

— Ale pamiętajcie „Wiersz o piłce” i nie piszcie ckliwie. Nie chcę, by brzmiało to jak z filmu, łzawo i sentymentalnie. Kino to nie życie. To, co się tutaj dzieje, to jest życie.

Kiedy klasa opustoszała, podeszła Madeleine Ouster.

— Nieźle — powiedziała krótko.

Jim przeglądał *Specimen Days in America* Walta Whitmana w poszukiwaniu materiału na następną lekcję. Wizytatorka stała bez słowa, aż podniósł wzrok i popatrzył na nią.

— Tylko „nieźle”? — spytał. — Zazwyczaj wysłuchuję przemowy o tym, że nie powinienem odbiegać od oficjalnego programu nauczania, i jak, na Boga, raperzy, czarnuchy i tłuste głupie dziewczuchy, które ledwie są w stanie przeczytać komiks z Kaczorem Donaldem, mają się poznać na Johnie Fredericku Nimsie.

Madeleine Ouster bez wahania odpowiedziała:

*Ci, co tu zgromadzeni, nie poruszą gwiazd,*

*Nie dadzą ludom praw, nie zajrzą w jądra głęb.*

*Bo bez miłości, bez witamin, gdy znikł szmal*

*Wędrownie drozdy, co trzymali w dłoni cały rok, wziął wiatr.*

Jim zdjął okulary.

— John Frederick Nims, *Penny Arcade*. Jestem pod wrażeniem.

— Ja też jestem pod wrażeniem, panie Rook. To, co widziałam przed chwilą w tej klasie, nie miało niczego równego sobie w żadnej klasie wyrównawczej języka angielskiego, jaką kiedykolwiek widziałam. Zamierzam spytać doktora Ehrlichmana, czy nie byłby gotów rozważyć zwolnienia pana na jakiś czas, by mógł pan przyjechać do Waszyngtonu i dołączyć do mojej nowej komisji konsultacyjnej, mającej zająć się sprawą czytelnictwa w Ameryce.

— Zamierza pani mnie zapytać, czy mam ochotę jechać?

— Jest pan nauczycielem o wielkim poczuciu obowiązku, panie Rook. Widzę to. Przed moją komisją stoi bardzo pilne zadanie zapobieżenia obniżaniu się w całym kraju

poziomu zdolności czytania i pisania. Walka z tym zjawiskiem jest sprawą decydującej wagi dla naszego przeżycia jako wykształconego narodu. Potrzebujemy pańskich umiejętności, panie Rook, i to bardzo!

— Na jak długo miałbym zostać oddelegowany?

— To zależy od naszych wyników. Przynajmniej na rok.

— To by znaczyło zostawienie tej klasy.

— Jestem pewna, że West Grove Community College dysponuje jeszcze innymi nauczycielami, przygotowanymi do pracy w klasach wyrównawczych.

— Tak, ale... to moja klasa. Co, pani zdaniem, zrobi beze mnie ktoś taki jak Nestor Fawkes? Jak, pani zdaniem, ma wyrażać swoje myśli Tarquin Tree przy nauczycielu, który wierzy jedynie w „Ala ma kota”?

— Potrzebuję właśnie tego zaangażowania, panie Rook!

— Nie wiem... to bardzo trudna decyzja.

Madeleine Ouster otworzyła torebkę i wyjęła wizytówkę z herbem Ministerstwa Oświaty.

— Może więc niech się pan zastanowi i zadzwoni do mnie. Chciałabym powiedzieć tylko tyle: jeśli zostanie pan członkiem mojej komisji, może pan już tylko awansować. Będzie pan miał dostęp do wszystkich ośrodków nauczania specjalnego w kraju. Będzie pan mógł wypróbować swe pomysły nie tylko w jednej klasie, na dwudziestu młodych ludziach, ale w tysiącach klas w całej Ameryce, na milionach młodych ludzi. Doceniam pańską lojalność względem tutejszych uczniów, ale dlaczego mają być jedynymi, którzy korzystają z cudownego daru, jaki pan posiada?

— Nie powiedziała pani nic o pieniądzach.

— Dlatego, że nie zamierzam pana przekupywać. Próbuję jedynie pokazać, ile mógłby pan zdziałać dobrego... nie tylko dla siebie, dla swojej kariery, ale także dla młodych ludzi w całym kraju. — Przerwała na chwilę, po czym dodała: — Jeśli jest pan zainteresowany, pensja byłaby

mniej więcej dwukrotnie wyższa od tego, co zarabia pan tutaj.

Jim stukał wizytówką o paznokcie. Po raz pierwszy od, dawna brakowało mu słów.

— Odbyliśmy już pierwsze spotkanie i podzieliliśmy się obowiązkami. Chciałabym, by dołączył pan do nas jak najszybciej. Niech się pan prześpi ze sprawą i zadzwoni do mnie jutro przed jedenastą, do Westwood Marquis. Zgoda?

Wyciągnęła rękę, pożegnali się i poszła sobie. Jim popatrzył na leżącą na biurku otwartą książkę.

„Jeśli o mnie chodzi, to przygnębiony szczególnie smutnym wydarzeniem czy rozdzierającym wewnętrznie problemem, czekam, aż stanę pod gwiazdami i poczuję najwyższe nieme zadowolenie”.

W tym momencie zjawił się Jack Hubbard. Stał w drzwiach.

— Cześć. Jack.

— Rozmawiał pan wczoraj wieczorem z moim starym.

— Zgadza się. Opowiedział mi o wyprawie do Domu Martwego Człowieka. Dość wstrząsająca historia.

— Był mocno zdenerwowany. Powiedział, że próbował pan ustalić, czy istnieje jakiś związek między tym, co robił na Alasce, a tym, co się dzieje w szkole.

— Robiłem to dlatego, bo jestem niemal pewien, że tak jest. Uważam także, że moje podejrzenia zostały potwierdzone wczoraj wieczorem, kiedy wychodziłem z waszego bloku. Opowiedział Jackowi o stukaniu, zimnie i śladach stóp z lodu.

— Stukanie? — Jack zmarszczył czoło. — Ja też słyszałem stukanie. Zaczęło się jakiś tydzień po naszym przyjeździe tutaj. Nijak nie mogłem zrozumieć, o co chodzi.

— Jestem pewien, że to dowód czyjejś obecności. Z jakiegoś powodu nie mogę dostrzec tej istoty w sposób, w jaki zwykle widzę duchy, zwidy i tym podobne. Stukanie sugeruje mi jednak, że istota jest ślepa, więc być może, jeśli duch nas nie widzi, my też nie możemy go dostrzec.



— Czego, pańskim zdaniem, on chce?

Jim zamknął książkę.

— Nie chcę cię straszyć, ale uważam, że twoje podejrzenie w sprawie bluzy było prawidłowe.

Szuka ciebie, ale ponieważ jest ślepy, może cię ścigać jedynie po zapachu.

— Dlaczego myśli pan, że szuka mnie? Nie mam nic wspólnego z Domem Martwego

Człowieka.

— Sądzę, że wie to twój ojciec. Obawiam się, że wczoraj wieczorem nie był ze mną całkiem szczerzy. Nie, żeby kłamał, ale... oszczędnie obchodził się z prawdą.

— Pytałem go tyle razy, ale nie chce odpowiadać.

— Odpowiedź kryje się w tamtej burzy śnieżnej. Coś wydarzyło się na Alasce... coś złego.

Nieważne, co to było, ta istota zamierza cię zamrozić.

Trwało kolejne skwarne popołudnie, a smog był gęstszy niż zwykle. Podczas popołudniowej przerwy Jim chodził po terenie szkoły i rozglądał się za śladami ślepego, niewidzialnego ducha, który

szukał Jacka. Miał przekonanie, że jest blisko, ale nic nie zdradzało obecności istoty. Nie było lodowatych śladów, nagłych spadków temperatury, migoczących igiełek lodu.

Szedł przez trawnik za budynkiem mieszczącym laboratoria, kiedy dostrzegł błysk światła.

Znów mignęło, jakby ktoś fotografował słońce heliografem. Jim osłonił oczy dłonią i podszedł do dziewcząt, siedzących pod rozłożystymi, dającymi dużo cienia gałęziami cyprysu.

— Próbujecie ściągnąć na siebie moją uwagę? — spytał. — A może chcecie mnie tylko oślepić?

Laura Kilmeyer uśmiechnęła się.

— Przepraszamy pana — powiedziała i odłożyła duże, okrągłe lustro, które trzymała w dłoni. — Pokazywałam Joyce jej dziadka.

— Co robiłaś?

— Pokazywałam Joyce jej dziadka. To magia. Odprawia się specjalny rytuał, po czym człowiek patrzy w lusterko i osoba, którą chce zobaczyć, stoi za jego plecami.

— Żartujesz sobie ze mnie?

— Ale skądże — odpowiedziała Joyce. — Widziałam go. Tylko przez sekundę, ale to był na pewno on.

— Ja widziałam moją kuzynkę — powiedziała Linda Starewsky. — Miała na sobie tę samą czerwoną sukienkę, którą nosiła w dniu, kiedy zginęła.

— Chcecie powiedzieć, że możecie widzieć zmarłych w lusterku? — spytał Jim. — Duchy i tym podobne?

— Zgadza się. To się nazywa „oświetlanie ducha”. Ciotka pokazała mi, jak to robić. Ona umie widzieć duchy i różne rodzaje zjaw. Kiedyś zobaczyła w swoim hallu indiańskiego cudotwórcę. Umie też za pomocą lusterka mówić ludziom, jak długo będą żyli, ale przestało jej się to podobać. Kiedy patrzy się w lusterko, widać, jak dana osoba biega wokół pokoju, a liczba okrążeń to liczba lat, którą będzie żyć. Przepowiadała kiedyś długość życia synowi przyjaciółki: obiegił pokój dwadzieścia dwa razy i zniknął.

— Jak wygląda konieczny rytuał?

— Trzeba przeciąć jabłko na dwie części i zjeść jedną połówkę, stojąc twarzą na wschód, a drugą, stojąc twarzą zwróconą na zachód. Potem całuje się lusterko i mówi:

„Lusterko, lustreczko, z radością cię całuję, ale pokaż mi za to tych, których mi brakuje”.

Zasłania się następnie oczami rękami i patrzy w lusterko przez palce.

— Wtedy widzi się ducha?

— Tak, ale tylko w lusterku. Jeśli człowiek się odwróci, nikogo nie będzie, a duch nigdy więcej się nie pokaże.

— Nie wiedziałem, że traktujesz czary tak poważnie.

— To ciekawe, a na dodatek działa. Poza tym robię czarami tylko dobro: leczę ludzi z zaziębienia, uwalniam ich od brodawek, sprawiam, że przestają mieć koszmary nocne. Znam niesamowite zaklęcie, które powstrzymuje krwawienie z nosa. Natychmiast! Nie mam nic wspólnego z Szatanem!

— Uważasz, że Szatan istnieje?

— Nie wiem i tak naprawdę nie chcę wiedzieć. Moja przyjaciółka miała kiedyś piękną sukienkę i spróbowałam zaklęcia, by zniknęła z jej szafy i pojawiła się w mojej, kiedy jednak zaczęłam je wypowiadać, poczułam okropny swąd spalenizny i zobaczyłam patrzącą na mnie zza firanki parę czerwonych oczu, więc przestałam. Może nic w tym nic było, ale naprawdę się przestraszyłam.

— Sądysz, że mógłbym spróbować? — spytał Jim.

— Czego? Żeby w pańskiej szafie pojawiła się czyjaś sukienka?

— Nie, tego „oświetlania ducha”.

— Pan chyba nie potrzebuje. Słyszałam, że i bez tego widzi pan duchy.

Jim pokręcił głową.

— Okazuje się, że nie wszystkie. Chyba nie widzę na przykład ślepych duchów.

— Można je zobaczyć w lusterku. Dziadek Joyce był niewidomy. Prawda, Joyce?

Joyce skinęła głową.

— Kiedy był już stary, dostał zaćmy. Często prosił, bym siadała mu na kolanach i opisywała różne rzeczy. Jak wyglądają chmury, jaki kolor mają kwiaty. Nazywał mnie swoją Małą Parą Oczu.

Jim popatrzył na zegarek. Był czas iść na kolejną lekcję, zostawił więc dziewczęta pod drzewem i ruszył w kierunku budynku Artes Liberales. Kiedy otworzył drzwi, był pewien, że poczuł na karku chłodny powiew i mrowienie na skórze. Odwrócił się, ale nikogo nie

było. Nie było także lodowych śladów stóp. Wszedł do środka — korytarze wypełniał hałas, tworzony przez rozbrykanych uczniów. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że lodowata istota była tak blisko jak jeszcze nigdy.

Wieczorem pojechał do West Hollywood i zabrał Karen Goudemark z pomalowanego na pomarańczowo domu jej matki przy North Kings Road. Karen miała biały top od koszulek z głębokim dekoltem, obcisłe czerwone spodnie i czerwoną opaskę na włosach. Była kłębkim elastycznego ciała, jaskrawości, dołeczków w policzkach i świeżo umytych włosów.

Jim przebrał się w najlepszą niebiesko-żółtą hawajską koszulę, ale nie miał czasu wyprasować spodni. Zdawał sobie także sprawę z tego, że ostatnie upały spowodowały, iż zaczęła mu się odklejać podeszwa lewego buta.

— Wyglądasz wspaniale — skomplementował Karen, kiedy wsiadała do samochodu.

Drzwi pasażera zamknęły się z paskudnym zgrzytem. — Wiesz, kogo mi przypominasz? Olivię Newton-John w „Grease”. „Ciebie, tylko ciebie chcę... oo-ee!”.

Strzelił palcami i odtańczył za samochodem coś mającego naśladować styl Johna Travolty.

Odrywająca się podeszwa zawinęła się pod but, przez co Jim stracił równowagę i poleciał na skrzynkę

pocztową matki Karen, przekrzywiając słupek o czterdzieści pięć stopni. Wyprostował jako tako skrzynkę i wsiadł do samochodu. Karen patrzyła mocno, przyciskając dłoń do ust, ale jej oczy śmiały się jak szalone. Jim uruchomił silnik i ruszył spod krawężnika.

— No dobrze, teraz wiesz, dlaczego Travolta jest sławny, a ja nie.

— Byłeś lepszy od Travolty.

— Naprawdę? Może. Jeśli chodzi o kontrolowane potykanie się, Travolta to amator.

Karen siedziała wygodnie oparta i pozwalała ciepłemu wiatrkowi rozwiewać włosy.

— Nie miałaś kiedyś różowego samochodu? — spytała po chwili.

— Miałem. Lincolna. Czuję się w nim jak Jane Mansfield. Niestety po jakimś czasie dowiedziałem się, że poprzednia właścicielka popełniła w nim samobójstwo, siedząc za kierownicą. Zatrzała się tlenkiem węgla z rury wydechowej. Kiedy ją znaleziono, w radiu leciało *Kentucky Rain*. Za każdym razem, kiedy nadawano tę piosenkę, we wnętrzu samochodu czuć było spaliny i zaczynałem się dusić. Dlatego go sprzedałem. Jestem zbyt wrażliwy na takie rzeczy.

— Jak sobie z tym radzisz? No wiesz, kiedy widzisz ducha. Ja byłabym przerażona.

— Są znacznie bardziej przerażające, kiedy ich się nie widzi. Tak jak tego, który krąży po szkole i zamraża wszystko, co może.

— Naprawdę uważasz, że to wina ducha?

— Ducha, błakającej się duszy, nieznaney istoty. Nie wiem, jak to nazwać. Nie mam pojęcia, co to jest. Może ktoś niedawno zmarły, kto próbuje się zemścić. Byłabyś zaskoczona, gdybyś wiedziała, jak mściwi potrafią być niektórzy zmarli.

— Żartujesz!

— Wcale nie. Wielu zmarłym nie mieści się w głowie, że nie żyją... zwłaszcza osobom, które zginęły w nagłych wypadkach. Są źli na tych, którzy spowodowali ich śmierć, oraz na przyjaciół i członków rodziny za to, że żyją, podczas gdy oni są już tylko duchami. — Zatrzymał się na czerwonym świetle. — Ojciec Jacka Hubbarda jako jedyny przeżył wyprawę na Alaskę, która skończyła się tragicznie, i zastanawiam się, czy duch, który nas dręczy, może być duszą któregoś z jego towarzyszy, którzy zginęli w wyprawie.

— Mówisz poważnie?

— Oczywiście, że mówię poważnie. Sytuacja jest bardzo poważna.

— Ale duch?!

Jim skręcił na autostradę, wyzwalając wściekłą salwę z klaksonu pikapa, którym meksykańska rodzina wiozła wielką żółtą kanapę.

— Mogę się oczywiście mylić. To nie musi być duch. Może być demon.

— Oczywiście. Demon. Dlaczego o tym nie pomyślałam.

— Ponieważ nie wierzysz w demony. Prawda jest taka, że istnieć może wszystko, co potrafi wytworzyć ludzki umysł. Miałem kiedyś spotkanie z tworem utkanym z ludzkiego strachu.

Wyłącznie. Wystarczył strach i istota nabrała kształtów. Bardzo się nie doceniamy. Weź na przykład

Uriego Gellera. Zrozumiał, że ludzki umysł jest wystarczająco silny, by zatrzymywać zegarki i zawijać w supełki łyżeczki, nie rozumiał jednak, że ludzki umysł jest w stanie tworzyć żywe istoty.

Jeśli boisz się ciemności, to nabierze ona kształtów, przyjdzie po ciebie i zrobi wszystko, czego się

boisz. Czytałem ostatnio o pewnej kobiecie z Cincinnati, która nie lubiła wieszać szlafroka na oparciu krzesła, ponieważ kiedy gasiła światło, wyglądał jakby w jej pokoju znajdował się garbus.

Pewnego wieczoru jej córka przypadkiem powiesiła szlafrok na oparciu krzesła, a rano znaleziono kobietę uduszoną rękawami, mocno zaciśniętymi wokół jej szyi.

— Próbujesz mnie przestraszyć.

— Nie. Jedynie uświadamiam ci, że na świecie istnieje mnóstwo rzeczy, których nie rozumiemy, a niektóre są naprawdę niebezpieczne.

— Co zamierzasz? Z tym duchem? Czy demonem... nie ważne.

— Muszę się dowiedzieć, czego chce, i potem... nie wiem. Podejrzewam, że będę musiał go wypędzić. — Jim przez chwilę milczał. Żałował, że zaczęli rozmawiać o duchach. Bardzo martwił się Jackiem Hubbardem, a złośliwe duchy nie były tematem na lekką, uwodzicielską pogawędkę. — Slant Club spodoba ci się — powiedział, kiedy zjeżdżali z autostrady. — To coś pomiędzy Cage Aux Folles a Viper Lounge. A ich *pina coladas* to dzieło sztuki.

Zaparkowali przed wejściem oświetlonym jaskrawym neonem i Jim dał kluczyki hostessie w satynowej minispódniczce i sportowych butach. Było jeszcze wcześnie, ale klub już wypełniały ładne dziewczyny, które były dziewczynami, i ładne dziewczyny, które nie były dziewczynami, oraz przy-

stojni młodzi mężczyźni w marynarkach od Versace i spodniach od Emporio Armaniego. Potężnie zbudowany blondyn przy drzwiach, który znał Jima jako przyjaciela Mervyna, wpuszczał ich do środka.

Mervyn był tego wieczoru w znakomitej formie — chyba dlatego, że wiedział, iż Jim przyprowadził Karen, by zrobić na niej wrażenie. Ubrał się w żółte pawie pióra i turkusowe żaboty i zaśpiewał *Saint Louis Woman* oraz *The First Time Ever I Saw Your Face*, a zakończył najbardziej ostrą wersją *Tiptoe Through The Tulip.s*, jaką Jim słyszał w życiu.

— Dobrze się bawisz? — spytał Karen, kładąc dłoń na jej dłoni.

Uśmiechnęła się do niego migoczącymi oczami, w których odbijały się przyćmione światła kabaretu.

— To coś niecodziennego.

— Zaproponowano mi dziś pracę.

— Pracę? Jaką?

— W komisji zwalczania analfabetyzmu Ministerstwa Oświaty. Poprosiła mnie o to Madeleine Ouster. Z lepszą pensją, prawie dwukrotnie większą od tego, co mam tutaj.

— Przyjmiesz?

— Nie wiem, jak mógłbym to zrobić. Nie mogę zostawić drugiej specjalnej na pastwę losu tuż przed egzaminami. Poza tym muszę rozwiązać problem z Jackiem Hubbardem. Nie mogę ryzykować, by jeszcze komuś coś się stało.

— Chyba mógłby zająć się tym ktoś inny. Jest także policja, prawda? Nie możesz brać odpowiedzialności za wszystko.

— Policja nie wierzy w zjawiska nadprzyrodzone.

— Może i nie, ale nie pomyślałeś o tym, że ty też możesz się mylić, a cała sprawa nie ma nic wspólnego ze zjawiskami nadprzyrodzonymi? Może mamy do czynienia z aberracją

meteorologiczną? W zeszłym miesiącu padał w Australii grad wielkości piłek futbolowych.

— Widziałem ślady stóp z lodu.

— Może tak, a może nie były to ślady stóp. Zastanów się, Jim. Sam przyznałeś, że to pierwszy duch, którego nie mogłeś zobaczyć.

— Ponieważ jest ślepy.

— Jakie to ma znaczenie? Stevie Wonder nie jest niewidzialny, a też jest niewidomy.

Jim dokończył drinka i zwijał w palcach papierowy parasolik od drinka.

— No tak, masz rację.

— Zastanów się nad tą pracą, Jim. Wiem, jak znakomicie radzisz sobie ze swoją klasą. Jesteś legendą, ale bywają takie momenty, kiedy trzeba przestać myśleć o innych i zacząć myśleć o sobie. To może całkiem zmienić bieg twojej kariery. Mógłbyś któregoś dnia dojść do stanowiska Madeleine Ouster.

— Nie próbujesz się mnie przypadkiem pozbyć? To nasza pierwsza randka, a już starasz się wysłać mnie na wschodnie wybrzeże.

Karen roześmiała się i pokręciła głową.

— Jim, weź mnie na przejażdżkę, dobrze? Popatrzymy na światła miasta i poudajemy, że znów mamy po siedemnaście lat.

Wyjechali z klubu i pojechali na wzgórze, do popularnego punktu widokowego w kanionie Franklina. Karen miała rację — było tak, jakby znów mieli po siedemnaście lat. Siedzieli w samochodzie i przyglądali się rozproszonym po całym nocnym horyzoncie migoczącym światłom Los Angeles.

— Wiesz, kim zawsze chciałam być? — spytała Karen. — Jane. Chciałam mieszkać w dżungli z Tarzanem i opiekować się dzikimi zwierzętami.

— Robisz coś, co niewiele się od tego różni. Uczysz biologii w West Grove Community



College.

— Chciałam nosić skąpe bikini z lamparciej skóry i bujać się na lianach między drzewami.

— Bardzo to pociągające, ale wtedy niestety nie mogłbym do ciebie dołączyć. Na gimnastyce nigdy mi się nie udawało wspiąć po linie. Nauczyciele twierdzili, że mam za słabo rozwiniętą górną połowę ciała.

Karen przysunęła się i ujęła go za rękę.

— Byłbyś wspaniałym Tarzanem. Myślącym, lojalnym, dbającym o innych. Jesteś pełen wspaniałych cech.

— A co z krzykiem? Nie udałoby mi się krzyknąć i nie kaszleć.

Przez chwilę milczeli. Karen oparła głowę o zagłówek i zapatrzyła się w niebo.

— Zawsze, kiedy patrzyłam na gwiazdy, bałam się. Ich widok sprawia, że mam wrażenie, jakby moje życie było bez znaczenia.

— Masz rację. Bo jest bez znaczenia. Tak samo jak moje i każdego na tym świecie.

Kiedy ktoś żartuje sobie z dzieciaków z mojej klasy, zawsze pytam, czy naprawdę uważa, że jego życie jest więcej warte od życia któregośkolwiek z nich. Koniec końców wszyscy jesteśmy mrówkami.

— Nie jesteś zbyt poprawny politycznie, co? Powinieneś mówić, że życie każdego człowieka coś znaczy.

— Życie mrówki coś znaczy, tyle że nie aż tak dużo, jak mrówka sądzi.

Karen wskazała na północ.

— Co to za gwiazda? Ta jasna?

— Nie pytaj, nie jestem dobry z astronomii.

— Gwiazda Polarna?

Jim odwrócił głowę i uważnie przyjrzał się wskazanej gwiazdzie. Była na tyle

jaśniejsza od otaczających ją świetlnych punkcików, że początkowo nie dotarło do niego, iż patrzy na bardzo charakterystyczną konstelację. Oglądał ten sam układ gwiazd, jaki pojawił się na karcie do tarota.. schemat, który ma przepowiadać śmierć z zamarznięcia...

— Jim... co się stało?

— Te gwiazdy... to bardzo zły znak.

— Daj spokój, za bardzo się tym przejmujesz.

— Możemy pojechać do mnie, pokażę ci kartę tarota. przedstawiającą taki sam układ.

— Hm... nie sądzę, że to dobry pomysł. Lepiej odwieź mnie do domu.

— Karen...

— Nie możesz być odpowiedzialny za wszystko i wszystkich, Jim. Bez ciebie świat też będzie się kręcił.

Jim nie odpowiedział. Wjechał na szosę i ruszyli ku West Hollywood. Włączył radio, ale ponieważ szła właśnie *Kentucky Rain*, wyłączył je.

## ROZDZIAŁ 9

W nocy źle spał. Śniło mu się, że wlecze się przez śnieg po nagim, arktycznym terenie, a burza śnieżna smaga go jak plaga białej szarańczy. Zdawało mu się, że widzi przez kurzawę wysoką, zakapturzoną postać, ubraną na biało, Mącą tak, że ani razu nie mógł dostrzec twarzy.

Było mu zimno i bardzo się bał, ale nie mógł się obudzić. Próbował iść szybciej, by się dowiedzieć, kim jest postać i czy może mu pomóc, ale trzymała się po lewej i z przodu — na tyle daleko, że nawet nie dało się jednoznacznie określić, czy jest, czy jej nie ma.

Kiedy poranne słońce zaświeciło przez żaluzje i go obudziło, czuł się tak wymęczony, jakby włókł się kilometrami przez zmrożony i bezlitosny teren. Zdawał sobie sprawę, że to absurdalne, ale musiał usiąść i pomacać palce u stóp, by się upewnić, że nie są odmrożone.

Przeciągnął palcami przez włosy i energicznie podrapał się po głowie. W tym momencie

jego wzrok padł na Tibbles Dwa, która siedziała wyprostowana na oparciu krzesła pod przeciwległą ścianą sypialni. Ciało kotki było idealnie wyważone, całkowicie spokojne, zwierzę uważnie wpatrywało się w Jima. Kiedy usiadł, kotka ziewnęła i oblizała pyszczek.

- Nie ufam ci, TD — powiedział Jim i wstał. — Nawet nie jestem pewien, czy jesteś zwykłym kotem. Jaki kot siedzi w ten sposób na oparciu krzesła? Nie słyszałaś o grawitacji?

Poszedł do kuchni i włączył ekspres do kawy. Otworzył puszkę kociego jedzenia i wsadził w nie łyżeczkę, by wyłożyć je na miskę TD. Problem polegał na tym, że łyżeczka nie chciała wbić się w karmę. Jim dźgnął ponownie i w tym momencie zauważył, co się stało: kocia karma zamarzła.

Zamarzła.

Zaczął gorączkowo przeszukiwać szafki. Otwierał drzwiczki i zaraz je zamykał. Zajrzał do szafy ze szczotkami. Potem poszedł do salonu i zaczął po nim krążyć w poszukiwaniu lodowych śladów stóp.

Nic takiego nie było. Kiedy stanął, popatrzył na stojący na środku stolika wazon z żółtymi orchideami. Woda w nim całkowicie zamarzła, a płatki kwiatów pokrywał migoczący szron.

Był tutaj... Ta istota tutaj była, w jego mieszkaniu. To nie był jedynie nocny koszmar... chyba że sen się zmaterializował, ożył i podczas gdy Jim spał, krążył po mieszkaniu poza jego ciałem...

— Był tutaj! — wrzasnął na TD. — Ten cholerny stwór tu był, kiedy spałem! I ty chcesz się uważać za kota stróżującego?! Dlaczego nie miauknęłaś albo nie zrobiłaś czegoś innego? Nie zawyłaś? Nie zamruczałaś?

TD zignorowała Jima i poszła do pustej miski. Położyła uszy po sobie, jakby była najbardziej cierpiącym zwierzęciem w historii.

— Nie rozumiesz, że ten stwór mógł mnie zamienić w górę lodu?! Mógł mnie zabić!

Jim wziął następną puszkę kociego jedzenia i tak gwałtownie ją otworzył, że przeciął sobie palec blachą. Był zły i roztrzęsiony, ale czuł i ulgę. W końcu istota go nie tknęła. Szukała Jacka Hubbarda, nie jego. Dlaczego jednak zrewidowała mu mieszkanie? Nie miał — jak Ray — ubrań

Jacka Hubbarda ani niczego, co do niego należało. Niczego z jego zapachem.

Oczywiście poza wypracowaniem z angielskiego.

Wrzucił karmę do miski TD — pachniało mocno tuńczykiem i kurzymi wątróbkami. Jak koty mogą jeść coś takiego, szczególnie na śniadanie? Owinął krwawiący palec kawałkiem papierowego ręcznika i wrócił do salonu. Teczka leżała w tym samym miejscu, gdzie cisnął ją wczoraj po południu

— za kanapą. Wyjął ją zza oparcia. Nie była to jednak jego stara, poobijana na rogach teczka z brązowej skóry, ale jakiś ciemny i sztywny od lodu rupieć. Zamek zamarzył i nie dał się otworzyć, więc

Jim zaniósł teczkę do kuchni, położył ją na stole i zaczął zdrapywać lód nożem do obierania ziemniaków. TD żarłocznie jadła.

— Nic cię to nie obchodzi, prawda? — spytał Jim. — Interesuje cię tylko i wyłącznie, jak napchać sobie brzuch.

Zamek w końcu odskoczył. Jim ostrożnie włożył rękę do środka i zaczął szukać wczorajszych prac domowych. Nie wyczuł niczego. Potrząsnął teczką, następnie wysypał zawartość na stół, by stwierdzić, że dwadzieścia wypracowań o „Wierszu o piłce” zostało zamienionych w kupkę zmrożonych kryształów. Bóg jeden wie, jak zimno musiało być we wnętrzu teczki, by mogło to nastąpić. Minus sto stopni? J? Może nawet więcej.

Przesypał kryształy między palcami. Było to naprawdę przerażające. Dotychczas sądził, że stwór ma węch tak czuły, iż jest w stanie stwierdzić, z której fontanny z wodą do picia pił Jack, ale... tak wielka wrażliwość węchu, by wyczuć zapach pojedynczej kartki, do tego zamkniętej w teczce, oznaczała, że ucieczka będzie dla Jacka niemal niemożliwa.

Nic dziwnego, że jego ojciec obwiesił dom eskimoskimi talizmanami i dał synowi amulet z kości słoniowej. Był to jedyny sposób na powstrzymanie stwora przed wejściem do ich domu i zaatakowaniem Jacka w czasie snu.

Jim wziął prysznic, potem wypił kawę. Był tak zmęczony po całonocnym marszu przez tundrę, że potrzebował pomocy kofeiny. Właśnie wychodził do szkoły, kiedy do drzwi zastukał Mervyn.

— Jim! Musisz mi powiedzieć, co sądzisz o wczorajszym wieczorze! Nie byłem sensacyjny?

— Byłeś wspaniały. Roberta Flack powinna wydrzeć sobie serce.

— Hm, nie brzmisz zbyt entuzjastycznie.

— Brzmię. Naprawdę. Mam tylko kłopoty w szkole i odbijają się na moim życiu prywatnym.

— Masz na myśli pociągającą Karen Goudemark. Wszystko, co o niej mówiłeś, to prawda.

Jest jak brzoskwinka. Brzoskwinią z sokiem truskawkowym i bitą śmietaną.

— Dzięki, Mervyn. Niestety chyba ją jednak wystra szyłem.

— Co w tobie strasznego? Masz metr siedemdziesiąt i ramionka jak makaron.

— Dzięki, potrzebowałem zastrzyku pewności siebie.

— Musisz być silny i przekonujący. Tego chcą kobiety typu Karen. Co z tego, że jest

biologiem? Pozostaje kobietą. Nie szuka niczego głębokiego, mądrego ani cynicznego. Nie szuka także

okultyzmu. Kobiety nie lubią okultyzmu, a sam wiesz, jaki jesteś. Papłasz bez przerwy o duchach, wilkołakach i martwych dzieciach, które porozumiewają się z tobą przez kontuar w dziale ze słodyczami u Ralpa.

— Muszę iść. Rzucisz okiem na TD? W tym kocie na prawdę jest coś dziwnego.

— Och... TD i ja znakomicie się rozumiemy, prawda TD? TD skończyła jeść, wskoczyła na parapet okna i zapatrzyła się w nicość na północy.

— Widzisz? Dziwne. W co ona się wpatruje?

Doktor Friendly złapał go na korytarzu, gdy Jim biegł do klasy.

— James! James! Jedno słówko!

— Wiem, znów się spóźniłem. Śniło mi się, że jadę z pana żoną ekspresem transsyberyjskim i zasnęłam.

Doktor Friendly puścił dowcip mimo uszu. Bardzo konfidencyjnym tonem stwierdził:

— Słyszałem od Madeleine Ouster, że zaoferowała panu stanowisko badawcze w Waszyngtonie...

Jim skinął głową i tak samo cicho odparł:

— Powiedziałem jej, że się zastanowię.

— To świetnie. Chciałbym, by się pan zastanowił.

— Tak też robię.

— Ale proszę bardzo poważnie. Tak poważnie, że przyjmie pan ofertę. Wygląda na znakomitą propozycję. Taką, jaką dostaje się raz w życiu. Będzie pan mógł uczyć o dokonaniach Williama Faulknera i Hermana Melville'a tępym, żującym gumę, niepiśmiennych wykolejeńców w całym naszym wspaniałym kraju, od jednego do drugiego zatrutego oceanu.

— A co pan wtedy zrobi? Zlikwiduje drugą klasę specjalną?

— Może się pan już teraz o to założyć. Nie wspominając o pierwszej i trzeciej klasie specjalnej. Także czwartkowe popołudniowe kółko teatralne dla dzieciaków, które nie mają krztyny talentu aktorskiego. Najwyższy czas, by skierować środki do klas, których uczniowie naprawdę na nie zasługują. Co to za kolorowy uczeń, który ubiera się zawsze jak pszczoła?

— Tarquin Tree. Dlaczego pan pyta? Jest bardzo utalentowany językowo.

— Naprawdę? Jest także wyjątkowo utalentowany w puszczaniu wiatrów, kiedy idzie tuż przede mną korytarzem.

— Chce pan powiedzieć, że pierdzi?

— Jeśli chce pan się wyrażać w stylu Rabelais'go, może pan to tak nazwać.

— Każę mu przeprosić.

— Nie, dziękuję. Sam to zrobił, tym jak pan to nazywa., rapem. „Och przepraszam, że me gazy / Takie robią ambarasy". Dzięki Bogu więcej nie pamiętam.

— Widzi pan? Utalentowany językowo.

Jeszcze rozmawiali, gdy nad szkołą przesunął się wielki, mroczny cień. Zjawisko sprawiało wrażenie, jakby nagle doszło do zaćmienia Słońca albo nad budynkiem przelatywał olbrzymi statek kosmiczny Obcych. Słońce pociemniało, a Jim poczuł nadpływającą z dala falę zimna. Nawet doktor Friendly się rozejrzał i zmarszczył czoło.

— Poczuł pan to? — spytał. — Jakby ktoś przeszedł po moim grobie...

Temperatura na korytarzu spadała i spadała, a dzień robił się ciemniejszy i ciemniejszy. Im więcej uczniów zdawało sobie sprawę z mroku i chłodu, tym bardziej hałas w klasach słabł. Gdzieś spoza budynku doleciał krzyk, potem rozległ się dziwny, głośny trzask, jakby łamano drewno.

— Co się, do diabła, dzieje?! — wykrzyknął doktor Friendly. — To trzęsienie ziemi! Sądzi pan, że to trzęsienie ziemi? Chodźmy, lepiej stańmy w drzwiach!

Jim widział minionego wieczoru konstelację gwiazd i domyślał się, co się dzieje.

— To nie trzęsienie ziemi, doktorze. Czuje pan drżenie pod nogami? Nie. To coś gorszego od trzęsienia ziemi. Niech pan dzwoni pod dziewięćset jedenaście i wzywa wszystkie służby: straż, pogotowie, policję.

— Oszalał pan? Mam znowu wezwać na teren szkoły służby ratunkowe? Doktor Ehrlichman dostanie małpiego rozumu!

— Bardzo ładnie ujęte. Pan też ma talent lingwistyczny. Teraz proszę się pospieszyć, zadzwonić i powiedzieć, że to pilne.

Jim rzucił teczkę na podłogę i ruszył biegiem przed siebie. Musiał uważać, by nie zderzyć się z uczniami, którzy wychodzili z klas, zabijali ręce w kułak i narzekali, że jest zimno.

— Panie Rook! — zawołała Laura Killmeyer. — Co się dzieje, panie Rook?!

— Ewakuuj klasę, Lauro. Wynoście się wszyscy jak najszybciej! Innym klasom też każ się

ewakuować.

— Nie rozumiem... co się dzieje?

— Jeśli mam rację, to zbliża się największy mróz w południowej Kalifornii od epoki lodowcowej. Ruszaj się! Tempo!

Pobiegł dalej i kiedy docierał do podwójnych drzwi wejściowych, doleciały do niego kolejne krzyki, potem nastąpił przerażający wrzask. Był tak przepelniony bólem, że nie dał się określić, czy krzyczy chłopak czy dziewczyna. Rozległy się kolejne trzaśnięcia, tym razem znacznie głośniejsze, i basowy chrzęst, jakby ciągnięto po żwirze wielki ciężar. Jim pchnął drzwi wychodzące na patio na tyłach budynku Artes Liberales i ujrzał niesamowitą scenę.

Niebo nad szkołą miało kolor spatynowanej miedzi. Z góry leciały pojedyncze kawałki lodu, tak ostre, że kłuły w twarz. Temperatura musiała spaść do przynajmniej minus czterdziestu stopni Celsjusza, a wszystko wokół zamarzło — kwitnące krzewy, juki, eukaliptusy. Wyłożoną cegłami ścieżkę pokryła gruzkowata warstwa śliskiego lodu, okna budynku Wydziału Nauk Ścisłych pękały z powodu kurczenia się framug, co powodowało owe głośnie trzaski i łaskoty.

Basen zamarzł, ale tak, że wystawały z niego dwie kolumny lodu. Zamknięci zostali w nich dwaj uczniowie — jeden tkwił po ramiona i darł się wniebogłosy z bólu, drugi właśnie zamierzał wyjść z basenu, ale został złapany za kostkę. Tym drugim był Jack Hubbard. Przynajmniej dwudziestu innych uczniów stało wokół — wrzeszczeli, płakali i krzyczeli o pomoc. Mieli na sobie jedynie stroje

kąpielowe, więc nagły spadek temperatury musiał być dla ich organizmów poważnym wstrząsem.

— Pod lodem jest ich więcej! — darł się jeden z chłopaków. — Widzę ich! Wszyscy są uwięzieni pod lodem!

Jim natychmiast się odwrócił, potknął się przy tym o odklejoną podeszwę. Wrócił do budynku i pobiegł do gabloty ze sprzętem przeciwpożarowym. Rozbił szkło łokciem, wyjął toporek, pognał



schodami, krzycząc przy tym:

— Wszyscy do środka i ubierać się! Natychmiast! Potem ewakuować się ze szkoły!

Ujrzał Dennisa Pease'a i Christophe'a FOuverture.

— Dennis! Christophe! — wykrzyknął. — Nic wam nie jest? Potrzebuję pomocy, by wydostać ich z basenu! Idźcie do magazynku Clarence'a i przynieście, co się da, kilofy, łopaty, wszystko, co ma! I sprowadźcie Clarence'a!

Kiedy ich poinstruował, wbiegł na lodowatą powierzchnię basenu i zaczął się zbliżać do ucznia uwięzionego po ramiona w lodzie.

— Niech mi pan pomoże, panie Rook! — krzyczał Jack. — Nie mogę się ruszyć!

— Musisz poczekać kilka minut. On bardziej mnie potrzebuje!

Ni to biegł, ni to się ślizgał w kierunku ucznia na środku basenu. Chłopiec przestał już krzyczeć i tylko łapczywie próbował złapać powietrze. Był to Waylon Price — siny z braku tlenu.

Tak jak lody Arktyki miażdżyły liczne statki badawcze, zamarzająca woda basenu stopniowo zgniatała Waylona. Pękały mu żebra, ciśnienie prasowało płuca.

Waylon patrzył na Jirna wytrzeszczonymi oczami.

— Inni... — wydyszał. — Inni są pod wodą... czułem, jak ciągną mnie za nogi...

Jim gorączkowo potarł bokiem dłoni powierzchnię lodu, by zmieść z niej opalizujące cząsteczki. Pochylił głowę, osłonił oczy dłonią i ku swemu przerażeniu dostrzegł cztery, może pięć cieni, walczących w mlecznej wodzie pod nim. Tuż pod lodem musiał się utworzyć pęcherz powietrza,

bowiem postacie się ruszały, a ku górze pchały się naznaczone rozpaczą twarze. Chyba dostrzegł Suzie Wintz — rozpoznał jej nowy czerwony kostium kąpielowy — i Mandy Saintskill. W tej temperaturze mogły wytrzymać góra kilka minut.

— Zamknij oczy, Waylon — zażądał Jim i uniósł siekiere.

Pierwsze uderzenie odrąbało jedynie niewielki, cienki trójkąt lodu. Uderzył znowu i znowu, a z

każdym ciosem rosła w nim złość z powodu tego, co przydarzyło się jego uczniom. Zamarzali, tonęli, umierali, a doktor Friendly myślał jedynie, że to przygłupiaści, żujący gumę, beznadziejni tępacy i świat bez nich byłby prawdopodobnie lepszym miejscem.

Jim złapał toporek oburącz i rąbał lód na wysokości piersi Waylona. Pokrywa okazała się znacznie grubsza, niż wyglądało to z góry, ale w końcu usunął duży kawał i wyjął go z wody, potem następny. Stopami zaczął odłamywać coraz f większe bryły.

Zjawili się kolejni nauczyciele, także Clarence. Jedni zrobili krąg wokół wyrąbanej dziury i wyciągnęli Walona, inni uklęknęli dalej i łapali dłonie uczniów uwięzionych pod lodem.

Wyjmowali ich po kolei — jak żywe trupy, białych z zimna, z czerwonymi oczami. Jednych przeprowadzono, innych zaniesiono do brzegu basenu, gdzie czekały koce i nosze. Jim słyszał wycie syren — w szkole ponownie zjawiono się pogotowie.

Clarence odłupywał lód wokół kostki Jacka. Jim szybko policzył uczniów. Wydawało mu się, że nikogo nie brakuje, ale... gdzie czerwony kostium?

— Jest z wami Suzie Wintz? — zawołał. — Ma na sobie czerwony kostium, w kratkę!

— Tutaj jej nie ma! — odkrzyknął pan Davies. — Może zabrali ją do środka!

O nie, tylko nie Suzie — pomyślał Jim i zajrzał ponownie w dziurę w lodzie. Nie widział niczego poza lodowatą chlorowaną wodą. Może dziewczynę wyjmowano, choć nie mógł sobie tego przypomnieć. Jezu, a jeśli ciągle jeszcze jest w basenie, uwięziona pod lodem, oddycha zamknięta w bąblu powietrza i czeka, aż ktoś ją uratuje?

— Posłałem chłopaka, by sprawdził, czy zabrano ją do gabinetu! — zawołał do Jima pan Davies.

— Za późno. Nie mamy czasu — odparł Jim.

— Słucham?

Jim zatkał nos i wskoczył do wody. Oczekiwał zimna, ale nie spodziewał się, że szok

temperaturowy wypchnie mu z płuc całe powietrze. Dyszał, walił rękami i szarpał się, ale w końcu wypłynął na powierzchnię. Wypłuł wodę i wziął trzy głębokie oddechy.

— Jim, wyłaź stamtąd! — wrzeszczał pan Davies, wyciągając rękę. — W wodzie jest za zimno, zamarzniesz na śmierć!

— Panie Rook, idą strażacy! — krzyknął Clarence. — Nie musi pan ryzykować!

Jim wziął kolejny głęboki wdech, pokręcił głową i ponownie zanurkował. Zaczął opływać basen, próbował dostrzec przez lodowaty mrok mignięcie czerwieni. Słyszał bulgotanie pęcherzy powietrza, kroki chodzących nad nim ludzi. Ktoś próbował rąbać brzegi dziury, by ją powiększyć. Miał nadzieję, że nie zapomni, gdzie jest otwór w lodzie. Tu, na dole wszystko wydawało się takie samo: był to skąpany w półmroku, perlisty świat pod białym sklepieniem, jakie bywa w jaskiniach. Zaczęły go boleć płuca. Więcej — ręce i nogi drętwiały z coraz większą trudnością przychodziło mu układanie ich w pływackie ruchy. Wiedział, że lada chwila będzie musiał się wynurzyć, by złapać powietrze, i nie będzie miał dość siły, by wrócić na dół.

Kiedy się obracał, nagle wpadł na coś miękkiego, bladego i zimnego. Mało brakowało, a z zaskoczenia zachłysnąłby się wodą. Była to Suzie Wintz — blond włosy unosiły się wokół jej głowy niczym aureola, szeroko otwarte oczy wpatrywały się w Jima z odległości kilkunastu centymetrów.

Zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli spróbuje wyciągnąć ją na powierzchnię, ryzykuje życie. Czyż nie jest jednak tak, że ludzie, którzy tonęli w zimnej wodzie, mają szansę, jeśli ratownicy szybko przywrócą im bicie serca?

Złapał ją, objął lewą ręką i ruszył ku powierzchni. Dudniło mu w głowie, bolały go plecy, nie czuł dłoni i stóp. Zapomniał, gdzie jest dziura w lodzie, i stracił wiarę, że uda mu się wypłynąć.

Przynajmniej jednak nikt nie powie, że nie próbował. Głównie to się liczyło — próbować. W czasie jego pogrzebu doktor Friendly uroni łzę i potajemnie się uśmiechnie, w ten bowiem

sposób zakończy się istnienie i drugiej klasy specjalnej.

Myśl ta wyzwoliła resztkę energii. Zaczął kopać wściekle nogami i machać wolną ręką, jakimś cudem przebił powierzchnię wody. Wyciągnęły ich silne, gorliwe ręce.

— Przywróćcie pracę jej serca! — krzyknął, a zęby tak mu szczękały, że ledwie można go było zrozumieć. — Jest cenna! Nie pozwólcie jej umrzeć! Przywróćcie pracę serca! Sanitariuszka owinęła go kocem i poprowadziła do brzegu basenu, gdzie czekały nosze. Była to rudowłosa Rachel, która amputowała ręce Raya Kruegera.

— Niech się pan położy — powiedziała łagodnie. — Wkrótce pana rozgrzejemy.

— Nie chcę leżeć. Muszę zadbać, by zajęto się Suzie.

— Pracują nad nią. Natychmiast pana zawiadomię, gdy będzie wiadomo coś nowego.

Ambulans włączył syrenę i ruszył przez trawnik, zabierając ze sobą Suzie. Jim siedział na niskim murku, biegnącym wzdłuż basenu. Nie zamierzał się kłaść. Podszedł doktor Ehrlichman i położył mu dłoń na ramieniu.

— Chciałem tylko powiedzieć, że to było bardzo odważne... tak się zaangażować dla Suzie.

— Nie pozwoli pan zlikwidować klasy? — powiedział Jim, dygocząc.

— Przepraszam, ale nie rozumiem.

— Nieważne. Jestem trochę zdenerwowany, to wszystko.

Doktor Ehrlichman znów poklepał Jima po ramieniu.

— To zrozumiałe. Niech pan zadba teraz trochę o siebie.

Miedziane niebo przejaśniało się, powoli zaczęło się przebijać słońce. Lód na powierzchni basenu w zaskakującym tempie topniał — po dwudziestu minutach pozostały z niego już tylko pojedyncze kawały, które powoli krążyły w oświetlanej słońcem wodzie. Jim patrzył, jak Rachel rozmawia z Karen, która po chwili ruszyła w jego stronę. Usiadła obok.

— Musisz się przebrać w coś suchego. Zawieźć cię do domu?

— Czekam na wiadomości o Suzie.

— Obiecali zadzwonić do mnie na komórkę.

Jim nagle poczuł ogromne zmęczenie. Skinął głową.

— Niech będzie... Czemu nie? Zawieź mnie do domu. Czuję się jak cholerny bałwan ze śniegu.

Kiedy szli na parking, zjawił się porucznik Harris. Był jak zawsze spocony i rozpalony.

— Powiedziano mi, że basen zamarzł.

— Zgadza się.

— Jakiś pomysł, jak mogło do tego dojść?

— Chyba wcześniej przyszła zima.

Porucznik zamknął notes i schował go do kieszeni. — Jasne, też tak pomyślałem...

Wesołych Świąt, panie Rook.

Karen zawiozła go do domu i weszła na górę. TD powitała ją ze zwykłą dla siebie

podejrzliwością, ale Karen podrapała kotkę w szyję, co wyraźnie ją uspokoiło. Wskoczyła na oparcie

kanapy i wróciła do czuwania na parapecie.

— Dziwny kot — zauważyła Karen. — Sprawia takie wrażenie, jakby uważał, że jest człowiekiem.

— W pewnym stopniu chyba tak jest. Żaden człowiek nie zjadłby jednak tego co ona.

— Chcesz kawy? Jesteś dość blady.

— Byłoby miło, dzięki. Przebiorę się w coś suchego.

Karen poszła do kuchni i nasypała kawy do ekspresu.

— Chyba będę musiała odszczekać to, co powiedziałam, prawda?

— O czym?

— O gwiazdach, które widzieliśmy. To faktycznie był znak, prawda?

— Tak, chyba był. Na dodatek to się jeszcze nie skończyło. Pisane jest nam przeżyć więcej nagłych ataków mrozu. Będą coraz gwałtowniejsze i ucierpią kolejni uczniowie.

— Możemy jakoś temu zaradzić? Musimy coś zrobić! Jim wszedł do kuchni, wpychał w dzinsy pognieciony bawełniany podkoszulek.

— Gdybym wiedział, czego szukam, znacznie by mi to ułatwiło zadanie. Niestety ta istota jest niewidzialna, nie przewidywalna i o ile się na tym znam, może być jedynie tworem imaginacji. Wcale nie jest pewne, czy te incydenty, które miały miejsce, nie były w rzeczywistości wynikiem zwariowanych warunków pogodowych.

— Dlaczego w takim razie nie wezwiesz meteorologa?

Jim nie zdążył odpowiedzieć, bo zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

— Jim Rook, słucham.

— James, mówi doktor Friendly. Właśnie dostałem wiadomość ze szpitala i pomyślałem, że powinien się pan dowiedzieć jako pierwszy. Piętnaście minut temu odłączyli Suzie Wintz od aparatów podtrzymujących funkcje życiowe. Za zgodą rodziców. Przykro mi, James. Naprawdę. Podziwiam, co zrobił pan, by ją uratować, i wiem, że będzie pan głęboko rozpaczał.

Jim odłożył słuchawkę bez słowa. Karen wpatrywała się w niego.

— Co się stało? Chodzi o Suzie Wintz?

Skinął głową. Był kompletnie oszołomiony. Ale czuł też rosnący gniew. Nikt nie miał prawa okaleczać i zabijać jego uczniów — nikt! Zamierzał zrobić wszystko, co w jego mocy, by przerwać czarną passę. Natychmiast!

## ROZDZIAŁ 10

Walił w drzwi mieszkania Henry'ego Hubbarda niczym człowiek, który dobija się do wrót piekieł. Kiedy po kilku chwilach Henry otworzył, wyglądał na wielce zaskoczonego. Jim przepchnął się obok niego do mieszkania i poszedł prosto do salonu. Był tam Jack — siedział na kanapie

z jaskrawym pledem wokół ramion. Podniósł głowę i ze \ zdziwieniem wbił wzrok w swego nauczyciela.

— Pan Rook?

— Suzie Wintz nie żyje — odparł Jim.

— O nie... jak mi przykro. Boże...

— Kto to jest Suzie Wintz? — spytał Henry Hubbard.

— Koleżanka Jacka z klasy. Dziewiętnastoletnia dziewczyna z rozbitego domu i z bardzo niewielkimi szansami, by zostać więcej niż kelnerką albo czyjąś bitą żoną. Utonęła dzisiaj, po tym jak zamarzł szkolny basen. Sądziłem, że uda nam się ją uratować, ale nie wyszło.

— Nie wiem, co powiedzieć — stwierdził Henry Hubbard.

— Nieprawda! Doskonale pan wie, co powiedzieć. Wie pan, dlaczego basen zamarzł... tak samo jak pan wie, dlaczego zamarzła poręcz i toaleta. W okolicy coś krąży, szuka Jacka i zamraża wszystko, co pachnie jak Jack albo jest podobne do niego w dotyku. Ta istota chce go dostać, a ja chcę się dowiedzieć dlaczego.

Henry Hubbard odwrócił głowę.

— Nie mogę tego powiedzieć.

Jim podszedł, złapał Henry'ego za przód koszuli i wbił rozpalony wzrok w jego oczy.

— Dziś zginęła dziewczyna, panie Hubbard. Młody chłopak stracił obie ręce. Bez względu na to, co to jest, prędzej czy później dostanie Jacka i co pan wtedy powie? „Bez komentarza”?

„Nie mogę tego powiedzieć”?

Henry Hubbard wziął głęboki wdech.

— Jack, możesz zostawić nas na chwilę samych?

— Nie — zaproponował Jim. — Jest jednym z moich uczniów. Jeśli ma pan do powiedzenia coś, co bezpośrednio go dotyczy, sądzę, że ma prawo to usłyszeć.

Henry Hubbard opadł ciężko na fotel. Spuścił głowę i dłuższą chwilę milczał.

— Jak pan chce. Nie zostawia mi pan wielkiego wyboru.

— Tu nie chodzi o wybór. Chodzi o przeżycie.

— Hm... no tak. Ma pan rację. Chodzi o przeżycie. Nigdy nie sądziłem, że do tego dojdzie, ale teraz, kiedy... cóż. obawiam się, że tak naprawdę nie wiem, co z tym fantem zrobić. Jak go powstrzymać. Brzmi to dość kiepsko, nie? Czasem jednak życie podrzuca człowiekowi problem i nic wiemy, co robić. Brakuje nam... wiary czy czegoś innego, co... potrzeba.

Henry Hubbard usiadł. Jack wpatrywał się w ojca, jakby widział go po raz pierwszy w życiu albo jakby w tej właśnie chwili odkrył, że jego ojciec jest kompletnie obcą osobą.

— Co naprawdę wydarzyło się na Alasce, panie Hubbard? — spytał łagodnie Jim.

— Była to najgorsza burza śnieżna, z jaką spotkał się każdy z nas. Wiatr wiał z taką siłą, że przez większość czasu nie dało się prosto stać. Nie było nadziei, że ktokolwiek się zjawi i wyciągnie nas stamtąd. Warunki stały się zbyt ciężkie i dla samolotu, i dla helikoptera. Trzeciego dnia Randy spadł ze skalistego zbocza i złamał kostkę. Obwiązałem mu ją i na zmianę pomagaliśmy mu kuśtykać, po dziewięciu godzinach byliśmy jednak wszyscy krańcowo wyczerpani, a Randy z bólu nie mógł iść. Postanowiliśmy rozbić namiot, Randy i Charles mieli zostać, ja miałem iść szukać pomocy. Wędrowałem przez burzę cały dzień. Wszystkim nam zdawało się poprzednio, że jest z nami „czwarty człowiek”, ale kiedy byłem sam, zacząłem widzieć go wyraźniej... i bliżej. Była to wysoka postać w białym płaszczu z kapturem i długą laską. Szła niezmiennie po mojej lewej stronie, nieco z przodu, tak że nie mogłem widzieć twarzy. Raz albo dwa krzyknąłem na nią, ale nie okazała nijak, że mnie słyszy. Kiedy zatrzymałem się na odpoczynek, poszła dalej i zniknęła w śnieżnej zamieci, gdy jednak ruszyłem znowu, wróciła. Byłem przerażony, ale równocześnie postać dawała poczucie bezpieczeństwa, uważałem bowiem, że musi wiedzieć, dokąd idzie, więc dopóki podążam za nią, mam szansę przeżyć. Oczywiście nie miałem kamery, więc nie mogłem udokumentować jej obecności.



Dlatego tak się wpatrywałem w ekran... by znaleźć dowód, że to nie była jedynie halucynacja, a realny

twór. Czasami wydaje mi się, że ją widzę, ale kiedy cofam taśmę i patrzę znowu, okazuje się, że to jedynie migotanie płatków śniegu.

— Co się zatem stało? — spytał Jim. — Wyprowadziła pana ze śnieżycy?

Henry Hubbard wziął głęboki wdech.

— Zaczęło się ściemniać, a ja nie doszedłem do żadnego posterunku handlowego ani osiedla i w dalszym ciągu nie dostrzegałem żadnych charakterystycznych znaków. Spodziewałem się, że natknę się na lodowiec Sheenjek. Który wskaże mi drogę do Fort Despair. Okolica ciągle jednak była taka sama, kilometr po kilometrze, a moje przyrządy nawigacyjne nie pracowały. Nie miałem namiotu. Ziemia była tak zamrznięta, że wykopanie jamy zajęłoby całą noc. Szedłem dalej, ale bez pojęcia, dokąd idę, i byłem niemal pewien, że czeka mnie śmierć. Mówi się, że kiedy człowiek umiera z

wycieńczenia i wyziębienia, dociera do punktu, w którym chce się jedynie położyć, pozwolić, by śnieg go zasypał, i zasnąć. Ja wcale się tak nie czułem. Byłem zły. Zły, ponieważ wszystko źle się potoczyło, pogoda była okropna, a ja miałem umrzeć młodo i nigdy więcej nie zobaczyć syna. Jeśli chce pan wiedzieć, to złorzeczyłem Bogu, że mnie zostawił. Czyż nie modliłem się zawsze, jak należy?

Nie wierzyłem w Niego? Gdzie więc był wtedy... kiedy naprawdę Go potrzebowałem? Padłem na kolana. Nie byłem w stanie iść dalej. Wtedy zobaczyłem postać, stała niedaleko, w milczeniu. Przy klękaniu upuściłem latarkę, a kiedy ją podniosłem, postać stała jeszcze bliżej... tak blisko, że mogłem jej dotknąć. Choć wiatr dał z wielką siłą, szata nawet nie drgnęła. Była idealnie biała, a całą sylwetkę

otaczała aureola z miękkiego białego światła. Nie umiem powiedzieć, czy stał obok mnie mężczyzna, czy kobieta. Nie umiałbym powiedzieć, czy to był w ogóle człowiek. Jej twarz całkowicie skrywał kaptur. Stała obok mnie bez ruchu przez... bo ja wiem... może dziesięć minut, choć dla mnie

zdawały się mijać godziny. Potem spytałem: „Możesz mi pomóc? Przyszedłeś, by mi pomóc, czy chcesz się jedynie przyjrzeć, jak umieram?”. Przez długi, bardzo długi czas istota się nie odzywała. Potem zaczęła mówić. Trudno opisać głos, ale nie zapomnę go do końca życia. Jedyne, co mogę powiedzieć, to tyle, że przypominał chrzęst łamanego cienkiego lodu. Sądząc po głosie, mógł być to tak samo dobrze mężczyzna, jak mogła to być kobieta. Istota mówiła z akcentem, ale nie znam go. Powiedziała: „Nie przybyłeś tu umrzeć, prawda? Przybyłeś po sławę”. Chyba jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałem. Cała postać promieniowała czymś przerażającym. Była tak zimna, że w porównaniu z nią burza śnieżna wydawała się gorąca. Burza przynajmniej żyła, wyła, jęczała i powodowała, że śnieg wirował, ale ta postać... to było coś zupełnie innego. Gdybym nie miał lepszego pomysłu, powiedziałbym, że to Śmierć. Rozumie pan, Śmierć przez duże Ś. Ponury Kosiarz we własnej osobie. Zaczęłem krzyczeć. Musiałem krzyczeć, by było mnie słychać. Wrzeszczałem: „Sława już mnie nie interesuje! Chcę żyć, nic więcej! Chcę przeżyć!”. Przez jakiś czas postać milczała, potem spytała: „Jak bardzo chcesz przeżyć? Co dasz mi w zamian za swoje życie? Dasz mi to, co dla ciebie najdroższe?”. Powiedziałem, że...

Henry Hubbard musiał w tym momencie przerwać. Nie umiał dłużej wytrzymać ciężaru wspomnień tego, co się stało. tego, co zrobił.

— Co pan powiedział, panie Hubbard? — naciskał Jim. Henry Hubbard uniósł oczy w wyrazie skrajnej desperacji.

— Powiedziałem, że jeśli pozwoli mi przeżyć, może wziąć, co zechce. Proszę zrozumieć... nie wierzyłem, że to się dzieje naprawdę. Sądziłem, że scena rozgrywa się jedynie w mojej głowie. Nie jest halucynacją sensu stricte ani mirażem, ale czymś w rodzaju projekcji moich odruchów samozachowawczych, mającej na celu pomóc mi zastanowić się bardziej racjonalnie nad tym, jak wydostać się z sytuacji, w której się znalazłem. Powiedziałem, że może wziąć wszystko, co jest moją własnością. Wszystko. Postać odpowiedziała jednak: „Po co mi tu, wśród lodów,

rzeczy materialne? Potrzebuję ciepła. Chcę ciepła ludzkiej duszy". Odparłem, że nie rozumiem. Jakiej duszy? Wtedy postać powiedziała: „Chcę twego syna. Daruję ci życie w zamian za duszę twego syna". — Oczy Henry'ego Hubbarda wypełniły się łzami. — Wtedy ogarnęła mnie pewność, że to nie dzieje się naprawdę. Skąd jakaś krążąca po Alasce postać miałaby wiedzieć, że mam syna? W tym momencie nabrałem pewności, że to mój umysł ze mną igra... więc się zgodziłem. Powiedziałem, że może zabrać duszę mojego syna i wszystko, na co ma ochotę, ale niech pozwoli mi odejść żywemu.

— Oddałeś temu moją duszę?! — spytał z niewiarą Jack. — Jesteś moim ojcem! Dałeś mu moją duszę?

Henry Hubbard skinął głową.

— Nie mam niczego na usprawiedliwienie, Jack, poza tym, że byłem przekonany, iż doznaję halucynacji. Postać powiedziała: „Bądź pewien, że rozliczę cię z tej obietnicy. Niejeden próbował wymigać się z umowy ze mną i wszyscy tego żalowali". Pomyślałem sobie: Boże, w środku burzy śnieżnej stoi wielka, tajemnicza postać i gada jak adwokat... musisz mieć halucynacje!

— Ale to nie były halucynacje — stwierdził Jim.

— Nie. Postać uklękła na śniegu i powiedziała: „Usiądź mi na plecy". Z początku nie chciałem, ale klęczała, czekając w bezruchu, więc w końcu objąłem ją za szyję i wspiąłem się na jej barki. Namacałem przez płaszcz ciało... kościste, jakby pozbawione mięśni. Istota podniosła mnie jednak, zablokowała moje uda rękami, bym się nie osuwał, tak jak robi się, nosząc dzieci na barana, i ruszyła przed siebie. Czułem się niepewnie, niezwykle źle, nie mogłem wytrzymać ucisku jej obojczyków, ale

byłem zbyt wycieńczony, by mieć jakikolwiek wybór. Postać szła przez burzę i wkrótce bujanie zaczęło mnie usypiać. Próbowałem trzymać oczy otwarte, ale się nie dało. Słyszałem wycie wiatru, plaskanie uderzających w moją twarz płatków śniegu i chrzęst, chrzęst, chrzęst stóp idącej bez ustanku

postaci. Musiałem przespać wiele godzin. Obudziłem się rano... w śniegu niedaleko niewielkiego posterunku handlowego Eskimosów zwanego Anatuk. Wiatr ustał i świeciło słońce. Z baraku wyszła Eskimoska, dostrzegła mnie i zawołała męża. Pomogli mi wejść do posterunku, a resztę pan zna.

— Nie widział pan postaci, jakiegoś śladu po niej?

— Do miejsca w śniegu, gdzie się obudziłem, dochodziły ślady stóp. Ponieważ tylko jedne, powiedziałem sobie, że muszą być moje.

— Niech pan nie zapomina, że postać pana niosła.

— Wiem. Zwłaszcza że odciski były znacznie większe od moich. Był jednak, przynajmniej jak na warunki w okolicy koła podbiegunowego, ciepły poranek i słońce zaczęło wytapiać zagłębienia po śladach, przez co mogły zdawać się większe. Roztopione ślady zawsze wydają się większe...

dlatego czasami ludzie, którzy natykają się na odciski króliczych łap, sądzą, że to tropy Odrażającego Człowieka Śniegu.

— Uznał pan więc, że był to jedynie sen, a postaci wcale nie było?

— A co pan by pomyślał, gdyby coś takiego się panu przydarzyło?

— Nie wiem. Może jestem mniej sceptyczny od pana.

— Ralpa i Charlesa znaleziono martwych tego samego dnia około trzeciej po południu — powiedział Henry Hubbard. — Wiatr zwiął im w nocy namiot i nie mieli szansy. Byłem załamany.

Obaj byli tak dobrymi ludźmi... Wtedy chyba zacząłem po raz pierwszy podejrzewać, że może jednak moja przygoda to nie halucynacja. Ich ciała znaleziono u podnóża Przełęczy Głodnego Konia, ponad dwieście dwadzieścia kilometrów na południowy wschód od Anatuk. Nawet najlepiej przygotowany fizycznie człowiek na świecie nie może przejść przez noc ponad dwustu kilometrów w śnieżnej burzy, pędzącej z prędkością stu kilometrów na godzinę.

— Powiedział pan komuś o tym?

Henry Hubbard pokręcił głową.

— Skłamałem z rozmysłem twierdząc, że zostawiłem ich dzień wcześniej. Mam w tym fachu dobrą opinię, panie Rook. Wszyscy zaczęliby pytać, jak udało mi się pokonać w ciągu nocy taki dystans. Jedynym logicznym wnioskiem byłoby, że natknął się na mnie traper i zabrał do Anatak skuterem śnieżnym. Dlaczego jednak w takim wypadku nie zrobiłem nic, by wrócić po towarzyszy? Gdybym zaczął twierdzić, że uratowała mnie tajemnicza postać, wynosząc mnie z burzy na plecach, wszyscy uznaliby, że majaczę. Nic miałem wyboru i dlatego wszystko zachowałem dla siebie

— Czy incydent w toalecie był dla pana pierwszym znakiem, że Demon Zimna szuka Jacka?

— Nie. Nie chciałem wyjeżdżać z Anchorage, ponieważ potrzebowałem czasu na otrząśnięcie się po wyprawie, fizyczne i psychiczne. Poza tym miałem jeszcze do zrobienia kilka dodatkowych wywiadów i reportaży. Mieszkaliśmy przy Nothern Lights Boulevard, z widokiem na zatokę Westchester. Wspaniałe miejsce, obu nam się bardzo podobało. Zacząłem mieć sny o postaci na śniegu. Noc po nocy i za każdym razem słyszałem, jak szepce do mnie głosem przypominającym kruszenie lodu: „Pamiętaj, co obiecałeś”. Któregoś dnia wróciłem do domu po półgodzinnym pobycie w studio, wpadłem po zapomniane notatki. Jack wyszedł do szkoły... pewnie z dziesięć minut

wcześniej, bo toster jeszcze był ciepły. Zajrzałem do jego pokoju i z oburzeniem stwierdziłem, że nie posłał łóżka. Wtedy zauważyłem, że w pokoju jest lodowato, a łóżko migocze kryształkami lodu. Było zamrożone. Wie pan, jak wygląda pościel, kiedy zostawi się ją na sznurze w zimowy dzień? Kiedy się ją gniece, trzaska jak pękająca muszla mątwy. Całe łóżko było twarde jak kamień, nawet piżama.

— Wtedy stało się dla pana jasne, że to nie były halucynacje.

— Wtedy poszedłem porozmawiać z ojcem mojej zmarłej żony. Powiedział mi, że o Demonie Zimna istnieją niezliczone opowieści. Łaknie ludzkiego towarzystwa, dlatego dołącza się do

maszerujących łądolodem ekip. Podobno był czymś w rodzaju anioła i miał przywilej siedzenia po

prawej ręce Wielkiej Nieśmiertelnej Istoty, która stworzyła świat. Kiedy jednak Wielka Nieśmiertelna

Istota stworzyła Eskimosów, anioł stał się niezwykle zazdrosny, bo obdarzyła Eskimosów duszami, a

anioł, jak każdy anioł, nie miał duszy. Pewnego dnia jeden z ulubionych ludzi Wielkiej Nieśmiertelnej

Istoty, myśliwy Ninavut, wpadł w burzę śnieżną. Anioł świadomie prowadził go coraz głębiej i głębiej

w zamieć, sanie wpadły do wody przez cienki lód i myśliwy utonął. Kiedy Wielka Nieśmiertelna

Istota dowiedziała się, co się stało, tak się zezłościła, że odebrała aniołowi oczy i wygnała go do

najzimniejszych zakątków na Ziemi: na oba bieguny. Zostało mu po wsze czasy zakazane siedzenie i

chodzenie po prawej stronie Wielkiej Nieśmiertelnej Istoty oraz wszelkich istot, które stworzyła, i

nakazano mu ratować ludzi, którzy popadli w kłopoty. Anioł błagał o łaskę, ale Wielka Nieśmiertelna

Istota pozostała nieugięta. Ustąpiła tylko w jednym: anioł otrzymał prawo targowania się o cenę

ratunku. Jeśli Wielka Nieśmiertelna Istota popełniła kiedykolwiek błąd, to właśnie wtedy. Od owego

dnia anioł towarzyszył każdej wyprawie polarnej. Opiekował się polarnikami, jak kazała Wielka

Nieśmiertelna Istota, ale równocześnie czekał wygłodniały na nieszczęśliwe wypadki, by ratować ludzi,

żądając w zamian niewyobrażalnej ceny. Zawsze żądał duszy. Demon Zimna wdycha duszę, bo

zapewnia mu na kilka godzin przyjemne ciepło oraz sprawia, że czuje przez jakiś czas, iż jest jednym

z ulubionych tworów Wielkiej Nieśmiertelnej Istoty. — Henry Hubbard zwrócił się do Jacka. —

Byłem w delirium, zamarzałem na śmierć. Gdybym choć przez chwilę uważał, że Demon Zimna

istnieje naprawdę i może zacząć cię ścigać, położyłbym się na śniegu i oddał życie burzy. Zrobiłbym

wszystko, by cię ochronić. Pytałem twojego dziadka, czy można zmienić umowę... czy mógłbym dać

Demonowi Zimna moją duszę zamiast twojej, ale uważa, że to niewykonalne. Demon Zimna został

zobowiązany przez Wielką Nieśmiertelną Istotę do uratowania mi życia i chronienia mnie po wsze

czasy. Jack wstał.

— Jesteś moim ojcem i oddałeś moją duszę jakiemuś przekłętemu lodowemu potworowi?

Jak mogłeś to zrobić... nawet jeśli byłeś w delirium?!

— Jack, po prostu nie wierzyłem, że ten stwór jest prawdziwy.

— Jeśli nie wierzyłeś, że jest prawdziwy, dlaczego uznałeś, że może cię uratować?

— Nie wiem. Jack, było... minus pięćdziesiąt stopni. Nie myślałem logicznie.

— Ale wystarczająco logicznie, by dla uratowania własnego tyłka skazać swego jedynego syna na śmierć. I zobacz, co to przyniosło: Suzie nie żyje, Ray też mógł już nie żyć. A stwór w dalszym ciągu mnie ściga.

Henry Hubbard spuścił głowę.

— Chyba nie ma sensu przeproszać.

— Nie, tato — rzucił Jack i wyszedł z pokoju, zostawiając szeroko otwarte drzwi.

Jim chwilę odczekał.

— Panie Hubbard, musimy znaleźć jakiś sposób na pokonanie tego Demona Zimna. Nie mogę pozwolić na to, by coś złego stało się jeszcze któremuś z moich uczniów. Dotyczy to również Jacka.

— Mój teść uważa, że Eskimosi nie będą nawet próbować, ponieważ los Demona Zimna został wyznaczony przez Wielką Nieśmiertelną Istotę. Jeśli spróbowaliby mu zaszkodzić, byłaby to obraza jego stwórcy. Człowiek, który zbudował Dom Martwego Człowieka. Edward Grace, zdradził jednak swoim eskimoskim przyjaciółom, że wymyślił sposób na złapanie i zniszczenie Demona Zimna. Najwyraźniej był to jeden z powodów, dlaczego tak nieszczęśliwie zmarł... Eskimosi przestali mu przynosić naftę i jedzenie, uznali bowiem, że zamierza popełnić straszliwe przestępstwo przeciwko ich wierze.

— Znalazł sposób na zaskodzenie temu stworowi? Jest pan pewien?

— Panie Rook, na północ od koła podbiegunowego poza termometrem nic nie jest pewne. W

krańcowo niskich temperaturach wydarzają się najrozmaitsze nieracjonalne rzeczy. Nawet pierwiastki

zachowują się w niewiarygodny sposób. Robert Peary widział w Arktyce pasmo górskie i nazwał je

Porcelanowa Kraina. W tysiąc dziewięćset trzynastym roku Donald MacMillan zorganizował

ekspedycję w celu zbadania gór. Widział je, ale tylko do zachodu słońca... wtedy zniknęły i

pozostawała sięgająca po horyzont płaszczyzna lodu. Złudzenie optyczne, panie Rook. Dom

Martwego Człowieka też może jest tylko mirażem, może mitem. Oddzielenie rzeczywistości od legendy

to na Alasce prawie niemożliwość.

— Jeśli jednak Edward Grace znalazł sposób, mogą być na to dowody w jego domu. Jeśli po tylu latach zachowały się karty do gry, są może także dokumenty, notesy, pamiętniki... coś takiego.

— Powiedziałbym, że szansa jest dość nikła.

— Zgadza się, ale to zawsze szansa.

Henry Hubbard potarł zmęczonym ruchem kark.

— Najpierw trzeba by znaleźć dom. W minionych latach organizowano dziesiątki ekspedycji, ale poza dwoma, którym przypadkiem udało się zobaczyć dom, nikt nie ma pojęcia, gdzie dokładnie się znajduje.

— Pomoże mi go pan znaleźć.

— Panu? Nie mówi pan chyba poważnie. Ma pan w ogóle pojęcie, o jakim terenie mowa?

Jakie panują tam warunki? Trzeba być stuprocentowo sprawnym fizycznie, mieć lata doświadczeń z marszami w trudnym terenie, wspinaczką, technikami przeżycia.

— Nie maszeruję w trudnym terenie, ale czasami wlokę się do sklepu monopolowego na rogu. Dawniej czasami wspinałem się do mieszkania, kiedy zapomniałem klucza. A jeśli chodzi o techniki przeżycia, to... panie Hubbard.. uczę drugą klasę specjalną, a każdy, kto jest w stanie to



przeżyć, przeżyje wszystko inne.

— To jest niemożliwe.

— To nie jest niemożliwe. Jeśli chodzi o chronienie moich uczniów, nie ma rzeczy niemożliwych.

Jeśli znalezienie Domu Martwego Człowieka da im jakąkolwiek szansę, znajdę Dom Martwego Człowieka. Nie interesuje mnie, czy pójdzie pan ze mną, czy nie, ale ponieważ zna się pan na technicznej stronie zagadnienia, prawdopodobnie znacznie by to sprawę ułatwiło.

— Panie Rook, sądzę, że nie ma pan pojęcia, co proponuje.

— Ma pan rację. Nie wiem tego. Ale tak czy owak tam pojedę.

— Chyba jest pan świadom tego, że czeka pana śmierć.

— Gra idzie o życie prawie dwudziestu młodych ludzi. W tym pańskiego syna.

Henry Hubbard odwrócił głowę.

— Nie wiem, czy zdobędę się na powrót na Alaskę, panie Rook. Ten stwór odebrał mi całą odwagę, jaką kiedykolwiek miałem.

— Moi uczniowie czasem czują się podobnie... przed klasówką z angielskiego.

— Jest wielka różnica między klasówką z angielskiego a przejściem lodowca Sheenjek.

— Jeśli tak samo przeraża, to nie ma. Mam w klasie dziewczynę z bardzo poważną dysleksją. Ma dziewiętnaście lat i ciągle jeszcze nie umie rymować ani wymieniwać dni tygodnia.

Wie pan, co mi niedawno powiedziała? Że klasówki z angielskiego powodują u niej chorobę i czasami ma wrażenie, że woli przedawkować niż musieć znów iść do szkoły. Kazałem jej robić na raz jeden mały kroczek. Zachęcam ją, by planowała, co zamierza zrobić, i z małych sukcesów zbudowała jeden większy.

— Panie Rook, nie pokona pan Arktyki małymi kroczkami. Albo ekspedycja uda się całkowicie, albo pan zginie. Alaska to nie teren na półśrodki.

Jim długi czas milczał.

— Więc na tym sprawę zostawiamy, tak? Zamierza pan siedzieć w domu i użalać się nad sobą, pozwalając na to, by Demon Zimna ścigał Jacka i zamroził go na śmierć?

Henry Hubbard tak długo nie odpowiadał, że Jim sądził, iż w ogóle nie doczeka się odpowiedzi. W końcu jednak Henry wstał.

— Potrzebne będą pieniądze. Będziemy potrzebowali ubrań, sprzętu i komunikatorów.

Musimy także wynająć coś do poruszania się po śniegu.

— Mam kilka tysięcy na koncie.

— Hm, trochę to załatwi. Stacja telewizyjna zapłaciła mi dwadzieścia dwa tysiące, żona zostawiła mi co nieco w spadku...

— Czy to znaczy, że się pan dołącza?

Henry Hubbard obdarzył Jima udręczonym spojrzeniem żołnierza, który wie, że musi wracać na front.

— Jeśli już ma do tego dojść, to chyba nie mam wielkiego wyboru, prawda?

## ROZDZIAŁ 11

Tego samego popołudnia doktor Friendly zapukał do drzwi jego klasy.

— Przepraszam, że przeszkadzam, James, ale jest do pana telefon. Madeleine Ouster.

Jim kazał uczniom czytać dalej „Zagubionego chłopca” i poszedł za doktorem Friendlym do gabinetu dyrektora. W hallu szkoły kręciło się przynajmniej piętnastu policjantów, sześciu albo siedmiu techników z laboratorium i wydziału medycyny sądowej, do tego dziennikarze oraz dwie ekipy telewizyjne. Wiadomość o zamrożonym basenie West Grove obiegła cały świat i meteorologowie z pięciu różnych krajów wysunęli całkiem odmienne koncepcje, jak mogło do tego dojść.

Dwu lub trzech reporterów podbiegło do Jima, by wydusić z niego jakąś wypowiedź, którą dałoby się zacytować.

— Jak się pan dziś czuje w związku z tą tragedią, panie Rook?

— Jak radzą sobie koledzy i koleżanki Suzie?

— Niektórzy kaznodzieje telewizyjni twierdzą, że to znak od Boga, iż należy przywrócić w szkołach średnich studiowanie Biblii. Co pan na to powie?

Jim machnął ręką, wszedł do gabinetu doktora Ehrlichmana i zamknął za sobą drzwi. Doktor

Friendly wyciągnął ku niemu słuchawkę ze słowami:

— To pańska wielka szansa, James.

— Pan Rook? Mówi Madeleine Ouster. Wyjeżdżam za pół godziny do Waszyngtonu i jestem bardzo rozczarowana, że nie dał pan rano znaku życia.

— Przepraszam, to było z mojej strony nieuprzejme. Byłem nieco zajęty incydentem w basenie.

— Bardzo mnie to przygnębiło, kiedy się o nim dowiedziałam. Mam nadzieję, że przyjmie pan wyrazy współczucia. Mam także nadzieję, że przyjmuje pan moją ofertę.

— Bardzo dokładnie się nad nią zastanowiłem, pani Ouster, ale obawiam się, że muszę zrealizować zobowiązania, jakie podjąłem wobec klasy.

— Wiem, że jest pan bardzo lojalnym nauczycielem, ale proszę spojrzeć z perspektywy ogólnokrajowej. Potrzeby wielu znacznie przeważają potrzeby garstki.

— Czy nie powiedział tego pan Spock?

— Bez względu na to, kto powiedział te słowa, są mądre. Miliony amerykańskich uczniów rozpaczliwie potrzebują tego typu entuzjazmu dla języka angielskiego i literatury, jaki umie pan wzbudzać.

— Hm, dziękuję za komplement. Naprawdę miło to słyszeć, ale muszę opanować pewien kryzys w szkole i druga specjalna mnie potrzebuje. Tak więc będę musiał podziękować. Dziękuję — nie.

— Mogłabym jeszcze uatrakcyjnić pańską pensję i pakiet emerytalny.

— Panno Ouster. W moim słowniku „uatrakcyjnić” oznacza czynić coś ładniejszym, a nie byłoby ładnie, gdybym zostawił dwadzieścioro młodych ludzi na pastwę losu w momencie, kiedy najbardziej mnie potrzebują.

Doktor Friendly słuchał rozmowy z rosnącym rozczarowaniem.

— Nie może pan odrzucić tej propozycji! — wyrzucił z siebie. — Nie rozumie pan, jak fantastyczną dostaje pan okazję?!

— Przepraszam, panno Ouster, ale nie usłyszałem ostatniego zdania — powiedział Jim. — Kawa zaczęła się właśnie gotować.

— Życzę panu wszystkiego najlepszego, więcej nie mam do dodania — odparła Madeleine Ouster. — Choć uważam, że pańskie poczucie obowiązku jest nieodpowiednio ukierunkowane, podziwiam pana.

Jim odłożył słuchawkę. Doktor Friendly wpatrywał się w niego z niewiarą.

— Jak pan mógł coś takiego zrobić?

— Mogłem, ponieważ Suzie Wintz nie żyje, a nie chcę, by to samo przydarzyło się jeszcze któremuś z moich uczniów.

— A co, tak konkretnie, ma wspólnego śmierć Suzie Wintz z odrzuceniem przez pana ekscytującej i lukratywnej posady w Waszyngtonie?

— Obawiam się, że nie mogę powiedzieć, poza tym nawet gdybym mógł, podejrzewam, że by pan nie zrozumiał.

Doktor Friendly wziął dla uspokojenia kilka płytkich oddechów.

— Może pan wierzyć, że nie powstrzyma mnie to przed zracjonalizowaniem wydziału nauczania specjalnego.

— Zracjonalizowaniem? Dobre określenie na odmówienie pomocy setkom dzieciaków, które

może nigdy nie dostaną innej szansy nauczyć się porozumiewać ze światem.

— Oj, dobrze wiedzą, jak się porozumiewać. Słyszałem ich nie raz. Mają opanowany największy słownik slangu, obscenizmów i wszelkich możliwych pomruków, z jakim się spotkałem poza korpusem marines.

— Nie wiedziałem, że służył pan w marines. Choć może powinienem był się tego domyślić.

Jeśli chodzi o nauczanie angielskiego, jest w pańskim zachowaniu coś z kaprałskiego drylu.

— Przygotowywałem rozkazy, jeśli już pan musi wiedzieć.

— Tego można się było domyślić. — Położył doktorowi Friendly'emu dłoń na ramieniu i

dodał: — Przepraszam, jestem trochę zdenerwowany. Chciałbym poprosić o przysługę. Mam niewykorzystane dwa tygodnie urlopu i zastanawiałem się, czy mógłbym wziąć go od poniedziałku.

— Od poniedziałku? Tego poniedziałku?

— Tego. Rozmawiałem już z panią Sennehauer i zgodziła się przejąć drugą specjalną do mojego powrotu.

— Nie rozumiem, jak ja pana znoszę, James. Naprawdę tego nie pojmuję.

— Znosi mnie pan, ponieważ stara się żyć zgodnie ze swym nazwiskiem. Życzliwy z nazwiska, życzliwy w życiu.

Kiedy Jim wychodził po południu ze szkoły, ujrzał na parkingu grupę cicho rozmawiających ze sobą uczniów. Od śmierci Suzie byli przygnębieni, dało się jednak dostrzec, że się wspierają i obdarzają taką serdecznością, jakby byli członkami rodziny. Stała tam Laura Killmeyer z lusterkiem i owinięta w czarny szal z frędzlami Dottie Osias, Christophe l'Ouverture i Tarquin Tree.

Pozdrowił ich wyciągniętą w górę dłonią i podszedł do jęł samochodu. Usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. W tym momencie z drzewa, pod którym stał, oderwała się pomarań-; cza i spadła na siedzenie pasażera. Wziął ją do ręki, by wyrzucić, i stwierdził, że owoc jest lodowaty i

twardy jak piłka baseballowa, a jego powierzchnię pokrywa szron. Spojrzał w górę. Drzewo, pod którym stał, migotało na biało. Było zamrożone tak samo jak owoc. Jim wysiadł z samochodu i rozejrzał się. Na asfalcie widać było odchodzące od tyłu auta niewiele widoczne migoczące placki — roztapiające się w słońcu ślady stóp. Przecinał) parking i biegły w kierunku zarośniętego trawą nasypu, dochodzącego do budynku nauk ścisłych. Pod drzewami szybko, jakby ukradkowo drgnęło powietrze, kiedy jednak Jim osłonił oczy przed słońcem i przyjrzał się dokładnie,

stwierdził, że to jedynie migotanie przebijającego się przez gałęzie słońca.

— Lauro! — krzyknął. — Lauro, przynieś mi lusterko!

— Co?

— Przynieś mi szybko lusterko!

Laura podeszła z lusterkiem w dłoni.

— Co się stało, panie Rook? Wygląda pan tak, jakby zobaczył ducha.

— Problem w tym, że go nie zobaczyłem, ale mógł tu być. Sądzisz, że da się go zobaczyć w lusterku?

— Nie wiem. Musi pan odprawić rytuał.

— Zjeść pół jabłka, stojąc twarzą na wschód, a pół stojąc twarzą na zachód? Nie mam jabłka.

Ty masz?

— To dotyczy jedynie ludzi, których się kocha. Jeśli chce się zobaczyć ducha, którego pan nienawidzi, trzeba jedynie splunąć we wszystkie strony świata. Potem trzeba splunąć na lusterko i powiedzieć: „Lustro, lustro, pluję ci, a ty pokaż złego ducha mi”.

— I wtedy go zobaczę?

Popatrzyła na niego z powagą w oczach.

— Jeśli naprawdę będzie pan w to wierzył, powinien pan

— Gdzie jest północ?

— Tam, chyba tam.

Odwrócił się i spróbował splunąć, ale miał za sucho w ustach.

— Daj mi — zwrócił się do Christophe'a l'Ouverture — łyk 7-Up.

— Że co?

— Powiedziałem, żebyś dał mi swojego 7-Upa, i to żwawo. Nie mam śliny, a próbuję zobaczyć złego ducha.

— Już piłem z butelki, panie Rook, a sam pan ostrzegał wiele razy, no wie pan... ze względu na HIV i takie różne...

A niech to jasna cholera!

Jim wyrwał Christophe'owi butelkę i pociągnął wielki łyk. Nie była to jednak sama lemoniada, napój zmieszano przynajmniej pół na pół z rumem. Mieszanka zapłonęła w gardle, bąbelki poleciały do nosa i Jim zaczął krztusić się jak oszalały. By odzyskać oddech, musiał się oprzeć o samochód.

— Jezu... mogłeś mnie ostrzec.

— Tak? I wylecieć ze szkoły za łamanie regulaminu?

— Zapomnij o regulaminie.

Jim pochylił się i splunął na północ. Potem splunął w pozostałe strony świata. Laura Killmeyer podniosła lusterko tak, że widział swą twarz. Malowało się na niej napięcie i zmęczenie, głowa mu drżała, co nadawało mu wygląd postaci z filmu z gatunku *cinema-verite* z lat sześćdziesiątych.

— Niech pan pluje — ponagliła Laura. — Potem zetrę.

Jim splunął na lusterko i ślina zaczęła spływać po powierzchni. Laura dotknęła się dłonią w czoło i szepnęła:

— Niech pan powtarza za mną: „Lustro, lustro, pluję ci, a ty pokaż złego ducha mi”.

Jim słowo w słowo powtórzył zaklęcie.

— Zdziała? Zobaczę go?

— To zależy od pańskiej wiary w moc zaklęcia.

— Uwierz mi, wierzę w nie.

— Więc niech pan weźmie lusterko i sprawdzi.

Laura dała Jimowi lusterko. Było zaskakująco lekkie, jakby zrobione z krążka odbijającego światło powietrza.

— Należało do mojej prababci. Wisiało w korytarzu jej mieszkania w Nowym Orleanie, ale zawsze odwrócone do ściany. Twierdziła, że gdyby powiesiła je normalnie, łapałoby dusze każdego, kto przekroczył jej próg, a nie chciała być za to odpowiedzialna.

— Dlaczego więc w ogóle wieszala je na ścianie?

— Nie wiem. Zawsze powtarzała, że nie potrzebuje lusterka pełnego dusz. Miała jedenaścioro dzieci. Co miałyby robić z lusterkiem pełnym dusz?

Kiedy rozmawiali, Jim powoli przesuwiał lusterko tak, by oglądać parking od brzegu do brzegu, wypatrywał śladu obecności zakapturzonego Demona Zimna. Nie widział niczego, z czym dałoby się coś zrobić — jedynie nic nie znaczące pojedyncze obrazy. Ujrzał doktora Ehrlichmana, jak ścisnął rękę George'owi Hepplewhite'owi ze szkolnego komitetu zajmującego się zdobywaniem sponsorów, zobaczył dach budynku wydziału sztuki, schody do głównego wejścia do szkoły, żującą gumę Linde Starewsky w bardzo krótkiej spódniczce i obcisłym białym T-shircie, idącą na stadion. Trzy przepiórki.

Potem udało mu się przekręcić lusterko tak, by dostrzec drzewa, w liściach których tańczyło słońce. Z początku nie widział wyraźnie, było bowiem zbyt wiele mieszających się ze sobą plam światła i cienia. Po chwili jednak — głęboko w cieniu, nieco na prawo od głównej kępy drzew — dostrzegł coś opartego o srebrny pień brzozy. Srebrzysta kora dobrze to kamuflowała, długi płaszcz był bowiem blady i srebrzysty, a plama twarzy mogła być jedynie zagłębieniem w pniu.



Jim wpatrywał się w ciszy. Nie wiedział, co robić. Postać stała w bezruchu, sprawiała wrażenie, że go obserwuje, ale ponieważ wiedział, że jest niewidoma, było to jeszcze bardziej przerażające. Tym

bardziej denerwował fakt, że mógł ją widzieć jedynie za plecami i ogarnęła go fala lęku, że postać zaraz na niego skoczy. Gdy się odwróci, stwór zniknie, a on zostanie bezradny.

Demon Zimna był znacznie wyższy, niż Jim sobie wyobrażał, a jego barki wyglądały jak oparcie bujanego fotela, na które zarzucono koc. Jeśli rzeczywiście nosił zagubionych podróżników dziesiątki kilometrów po zamarznętej ark-tycznej tundrze, musiał mieć silne bary. Z drugiej strony było w tej postaci coś przerażająco nieproporcjonalnego — miała niezwykle długie ręce, kształt kaptura zaś sugerował wielką i kościstą głowę. W jednym ręku trzymała wysoką laskę, którą bez przerwy dźgała ziemię wokół siebie. Wiatr niespokojnie szarpał jej szatą i postać była zamazana, jakby nieostra. Drżała i tańczyła niczym kiepski obraz telewizyjny.

Nawet z daleka Demon Zimna promieniował lodowatą skoncentrowaną wrogością. Zimno wręcz z niego dymiło.

Był ślepy, niewidoczny i straszliwie głodny duszy, którą obiecał mu Henry Hubbard.

— Widzi go pan, panie Rook? — spytała Laura. Jim skinął głową.

— Bardzo dobrze. Jest... nie wiem, jak to powiedzieć... bardzo dziwny. Przerażający.

— Proszę dać mi spojrzeć.

Jim odchylił lusterko na bok.

— Lauro, uwierz mi, to nie jest coś, co byś chciała zobaczyć.

— Niech pan da spokój. Jestem wiedźmą. Nie boję się duchów.

— Lauro, to nie jest oglądanie zmarłej babci czy chłopaka, za którego chcesz wyjść za mąż.

To stwór, który zabił Suzie i zamroził ręce Rayowi. Istnieje naprawdę i stoi góra sto metrów stąd.

— Proszę dać mi popatrzeć...

Jim pokręcił głową.

— Przykro mi. Nie mogę pozwolić, byś została w to wmieszana. Ani ty, ani ktokolwiek inny z uczniów.

Skierował lusterko z powrotem w kierunku drzew, ale postać zniknęła. Nerwowo poruszył nim na lewo i na prawo, lecz po Demonie Zimna nie było śladu.

— A niech to cholera! — Z lusterkiem w ręku Jim poszedł w kierunku drzew i po chwili stał przy brzozie, gdzie jeszcze niedawno czekał stwór. Ponownie poruszył lusterkiem na boki i przez ułamek sekundy zdawało mu się, że dostrzegł mignięcie bieli — jakby Demon Zimna zniknął za rogami budynku — tak samo dobrze mógł to być jednak kawałek dmuchniętego wiatrem papieru. Podbiegła Laura.

— Mogłam pomóc! Naprawdę znam się na magii, a to przecież magia, prawda? Coś w tym rodzaju... przynajmniej...

Jim oddał lusterko i ukląkł na ziemi. Trawa pod brzoza była zamarznęta w ostre jak żyłotka szpilki.

— Popatrz na to — powiedział. — Ta istota zamraza wszystko, czego dotknie.

Wstał, rozejrzał się jeszcze raz i ruszył do samochodu Laura szła tuż za nim.

— Istnieje wiele zaklęć do odstraszenia zimna — stwierdziła. — Jest taki niesamowity rytuał, którego używały w Rosji stare babcie do ożywiania ludzi, którzy zamarli na śmierć. Gotuje się w samowarze trzy żywe szczury, ki l o masła i trzy ostre papryki...

— Nie mamy tu do czynienia jedynie z zimnem. Idąc, ta istota zamraza chodnik, i to nawet przy trzydziestu stopniach ciepła. Może zamrozić kocią karmę w puszcze, tak zmrozić papier, że zamienia się w pył. Wziąłem pomarańczę, która spadła do mojego samochodu i rzuciłem nią o ziemię. Rozprysnęła się na kawałeczki jak zrobiona z pomarańczowego szkła. Tak samo może zamrozić człowieka. Chcesz, by ci się to przytrafiło?

— Jest zaklęcie, którego używają Szerpowie w Nepalu. by zniszczyć demony lodowe, które

zabijają im kozy.

— Dziewczyno, ty chyba naprawdę znasz się na magii.

— Używają ognia — nie popuszczają Laura. — Demona lodu można zniszczyć, podpalając go.

— Łatwo to zrobić?

— Nie. Zapalić ogień to nie problem, ale nie da się zmusić ducha, by do niego wszedł. Musi spalić się dobrowolnie. Trzeba znaleźć sposób na to, by wejście w ogień wydało mu się jedyną możliwością.

— Wspaniale! Kto o zdrowych zmysłach, nawet jeśli jest duchem, mógłby uznać, że jedyne, co mu pozostaje, to wejście w ogień? Może jakiś dający się łatwo sprowokować mnich buddyjski, ale kto poza tym?

— Powinno być w panu więcej wiary, panie Rook. Nie powinien pan być tak cyniczny, zwłaszcza przy pańskim darze.

— Darze? Może dla ciebie to dar, dla mnie to głównie ciężar.

— Panie Rook, magia uczy jednej wielkiej prawdy: zawsze istnieje jakieś wyjście, naturalne albo nadprzyrodzone. Nie ważne, co się wydarzy, wyjście jest zawsze.

Jim popatrzył na obwieszoną magicznymi koralikami i bransoletami Laurę i zamarzył o tym, by przypomnieć sobie, jak to jest być tak niewinnym i pełnym entuzjazmu, że wierzy się bez powątpiewania w siły nadprzyrodzone. Była taka ładna i tak bardzo wierzyła w zaklęcia babci...

Owszem, zawsze istnieje wyjście, Jim wiedział jednak z doświadczenia, że droga przez świat po tamtej stronie jest ciemna, śliska i kręta jak dół pełen węży i pajaków, a duchy i demony nigdy nie spełniają złożonych przez siebie obietnic — jak ludzie.

Położył rękę na ramieniu Laury.

— Jesteś jedną z najlepszych, Lauro. Pewnego dnia prawdopodobnie zostaniesz najlepszą

wiedźmą w Los Angeles.

— Zamierza pan szukać tego ducha?

— Tak zamierzam.

— W takim razie lepiej będzie, jeśli weźmie pan ze sobą to lustro. Da panu szansę.

— Nie mogę. To pamiątka rodzinna.

— Musi pan. Nie jestem wiedźmą praktykującą od dawna, panie Rook, ale jeśli cokolwiek wiem na pewno, to fakt, że nie można walczyć z tym, czego się nie widzi.

— Ona ma rację — wtrąciła Dottie, ubrana w wielki truskawkowy T-shirt z podobizną George'a Clooneya z przodu i szerokie białe spodnie. — Byłam kiedyś na takiej prywatce i kiedy zgaszono światła, ten chłopak dosłownie się na mnie rzucił. Nie widziałam go, więc z nim nie walczyłam. To była moja najlepsza noc w całym życiu!

— To była jak na razie twoja jedyna „noc” w życiu — skomentowała niezbyt grzecznie Laura.

Dottie zaczerwieniła się, ale Jim wziął ją za rękę i uścisnął.

— Gdybym był piętnaście lat młodszy...

— Jasne — odparła Dottie. — Gdyby był pan piętnaście lat młodszy, niczym by się pan nie różnił od chłopaków, którzy są od pana piętnaście lat młodszy. Spokojnie, panie Rook, jest pan wspaniałym nauczycielem, ale w tej kwestii nie mam złudzeń.

Jim wziął od Laury lustro.

— Ale ja mam złudzenia i zamierzam podążyć za tymi złudzeniami, by już nigdy nie zagrażały nikomu z was.

Wieczorem Tibbles Dwa zachowywała się całkiem nietypowo. Obwąchiwała jedzenie, jakby było zatrute, potem poszła na swoje krzesło na balkonie i zapatrzyła się w niebo na północy.

Zachodzące słońce odbijało się pomarańczowo w jej ślepiach, a wiatr mierzwił jej futerko. Jim

wyszedł z mieszkania z puszką piwa w ręku i oparł się o poręcz obok.

— Co się dzieje, TD? Nie masz apetytu?

Kotka zignorowała go, bez ruchu wpatrywała się w północne niebo.

— Coś cię dręczy, prawda? Nie masz ochoty powiedzieć?

Tibbles Dwa podniosła nieco nosek, ale poza tym nie zasugerowała, o czym rozmyśla.

— Będę musiał wyjechać na kilka dni. Nie będziesz miała nic przeciwko temu, by wziął cię do siebie wujek Mervyn? To nie potrwa długo, ale sprawa, którą muszę się zająć, jest dość ważna.

Po raz pierwszy tego wieczoru TD odwróciła łebek i wbiła wzrok w Jima. Jeszcze nigdy nie widział u żadnego kota takiej miny. Koty zawsze sprawiają nieco protekcyjnalne wrażenie — w końcu czemu nie? Spędzają życie, śpiąc, śniąc i bawiąc się, a ludzie spełniają każdą ich zachciankę, jakby pochodziły z królewskiego rodu. Mina Tibbles Dwa była jednak całkiem odmienna — wyrachowana i opanowana, jak gdyby kotka właśnie podjęła decyzję w bardzo ważnej sprawie.

— Daj mi jakiś znak, TD. Tańczącą kartę do tarota, cokolwiek.

TD przez jakiś czas wpatrywała się w Jima, potem zeskoczyła z krzesła i wróciła do mieszkania. Jim chwilę się wahał, podążył jednak za nią. Kotka poszła prosto do sypialni i wskoczyła na komodę, gdzie przewróciła butelkę z płynem po goleniu Hugo Bossa, po czym jednym susem znalazła się na szafie, gdzie leżała torba podróżna. Usiadła na niej i władczo spoglądała z góry.

— Jesteś kotem. Skąd wiesz, że planuję wyjazd?

TD ziewnęła i oblizała pyszczek.

— Nie możesz ze mną jechać. Nie ma takiej możliwości. Nikt nie zabiera kotów na Arktykę. Psy może tak. Jeśli to psy pracujące, ale widziałaś kiedyś sanie z kocim zaprzęgiem?

TD siedziała na torbie nieruchoma jak skała. Po jakimś czasie Jim nie mógł zrobić nic innego, jak wzruszyć ramionami i wyjść z pokoju. Kiedy skończył pizzę i wszedł do sypialni, okazało

się, że kotka ciągle tkwi w tym samym miejscu i obserwuje go uważnie jak Demon Zimna.

Późnym popołudniem pojechał do Hubbardów. Henry wyciągnął z szafy cały ekwipunek polarnika i leżały w stercie na kanapie w salonie: grube swetry, podbite futrem kurtki z kapturem, ocieplane buty, do tego plecaki, uprząże i najrozmaitsze parciane pasy oraz wyciągi, których przeznaczenia Jim nie umiał określić.

Jack był w domu — siedział rozwalony w fotelu i rozmawiał przez telefon z jednym z nowych kolegów ze szkoły.

— Tak, tak... tak, jak powiedziałem. Nie wkurzaj się.

Jim zasalutował mu i Jack odpowiedział takim samym gestem. Potem Jim zwrócił się do Henry'ego.

— Chyba powinien pan wiedzieć, że Demon Zimna zaił się dziś po południu na terenie campusu. Widziałem go.

— Widział go pan?! Jest ponoć niewidoczny w tempera turach powyżej minus czterdziestu.

— Jedna z moich uczennic pokazała mi sztuczkę z lusterkiem. Widziałem go dokładnie i wyglądał tak, jak go pan opisał.

Henry Hubbard zerknął na sprzęt. Wziął do ręki gogle śniegowe z fioletowymi szklami, popatrzył na nie i odłożył je z powrotem na kupkę.

— Nie sądziłem, że kiedykolwiek jeszcze włożę cokolwiek z tych rzeczy. Omal ich nie wyrzuciłem.

— Nie zamierza pan chyba wystawić mnie do wiatru?

Henry Hubbard spojrział w kierunku Jacka, który właśnie się roześmiał do telefonu.

— Nie, panie Rook. Nie zamierzam się wycofać. Gra idzie o zbyt wielką stawkę, prawda?

Dał Jimowi znak, by poszedł za nim do jadalni, gdzie na stole leżały rozłożone mapy północnej Alaski.

— Pozwoliłem sobie zarezerwować dla nas obu bilety na lot do Fairbanks. Wylatujemy z LAX w piątek o siódmej rano. Przenocujemy w Fairbanks i następnego dnia polecimy czarterowym samolotem do Zatoki Utraconej Nadziei. Uważam, że tym razem powinniśmy spróbować podejść do Domu Martwego Człowieka z innej strony. Wylądujemy na południe od lodowca Sheenjek, tutaj, nie po północnej stronie. Teren jest trudniejszy, ale będziemy mieli do pokonania mniej niż jedną trzecią dystansu. Zaczynamy grę, którą przegramy, jeśli wpadniemy w strefę złej pogody, ale zdecydowałem się na ten wariant dlatego, że nie ma pan doświadczenia z wędrowaniem po Arktyce. Przy co prawda trudniejszym, ale tylko nieco ponadtrzydziestokilometrowym marszu niż przy mozoleniu się przez sto czterdzieści kilometrów pańskie szansę na przeżycie wzrosną.

— Powinienem być w dobrej formie. Przy każdej okazji chodzę po schodach. Wie pan... dla kondycji. Mięśnie łydek mnie dobijają.

— Jeśli cokolwiek pana tam dobije, to zimno. Nie kąsa tylko palców rąk i nóg, ale wgryza się w mózg. Zżera wolę życia.

— Co ze skuterem śnieżnym? Załatwił pan skuter?

— Załatwiłem traktor śnieżny. Sno-Cat przewiezie nas przez prawie cały lodowiec, kiedy jednak dotrzemy do gór po drugiej stronie, będziemy musieli zacząć iść na piechotę. Jakies jedenaście, trzynaście kilometrów.

Jim popatrzył na mapę.

— Gdzie, pańskim zdaniem, jest Dom Martwego Człowieka?

— Dokładnie nie wiem. Ostatnim razem korzystaliśmy z dwóch tak zwanych map okresowych i masy legend, ale na podstawie tego, co przeżyłem, podejrzewam, że mapy były mocno błędne. Tak naprawdę mogły być fałszerstwem i zostać sporządzone przez oszusta o bujnej wyobraźni, który chciał nakłonić Uniwersytet Alaski do wyłożenia sporej sumy na zakup „autentycznego dokumentu historycznego”.

— Co z legendami?

— Czytałem transkrypty wiele razy. Większość opowieści brzmi jak szaleństwo, pojawiające się przy zbyt długim przebywaniu w zamknięciu albo po nadużyciu jukońskiej whisky, są jednak dwie, które dość dokładnie opisują umiejscowienie Domu Martwego Człowieka. Oto jedna z nich. Została przetłumaczona z języka Eskimosów. „Wielki dom stoi na skale obok lodowca Przeklętego Łososia, wpływającego do lodowca Sheenjek. Za domem stoi krzywa skała, znana jako Kuszenie Śmierci”. Druga opowieść, przedstawiona przez trapera o nazwisku Jean-Pierre Troisrivieres, który zagubił się w burzy śnieżnej w tej samej okolicy, brzmi: „Przez śnieg widziałem dom na wysokiej skale. Nigdy przedtem nie widziałem w Arktyce podobnego domu. Wyglądał niemal jak zamek. Jest wielką tajemnicą, kto i w jaki sposób go zbudował. Z prawej strony biegnie lodowiec, który Eskimosi nazywają Strumieniem Łososiowych Duchów, ponieważ ponoć niesie do morza dusze wszystkich ryb, jakie łowią, tam jest bowiem ich miejsce. W jednej linii z wielkim kominem widać występ skalny, podobny do zgiętego ludzkiego palca”. — Henry Hubbard otworzył teczkę i wyjął plik zdjęć satelitarnych, zrobionych w trakcie prowadzonych przez Amoco poszukiwań ropy naftowej. — Nie ma stuprocentowej pewności, ale wierzę w istnienie Domu Martwego Człowieka i jeśli jeszcze stoi, powinien znajdować się tutaj. Widzi pan cień, jaki ta góra rzuca na śnieg? Zgięty jak palec. Widzi pan, w jaki sposób lodowiec okrąży skałę? Ukształtowanie terenu niemal idealnie pasuje do opisów z obu legend.

Jim pochylił się i przyjrzał zdjęciu z uwagą, którą — miał nadzieję — można by określić mianem profesjonalnej.

— Hmm... nie widzę żadnego domu. Przy tej dokładności zdjęć, jakie robią współczesne satelity, można się niemal spodziewać, że da się z dziesięciu kilometrów przeczytać leżącego na ziemi



„National Enquirer”, a Dom Martwego Człowieka jest chyba nieco większy od czasopisma...

— Jeśli jest do połowy zakopany w śniegu, a słońce świeci prosto na miejsce, gdzie stoi, nie dostrzeże go nawet satelita. Siły powietrzne miały ten sam problem przy szukaniu sowieckich baz raketowych na Syberii.

— Na ile jest pan pewien, że to miejsce, którego szukamy? Na siedemdziesiąt procent?

Sześćdziesiąt? Pięćdziesiąt pięć i pół?

— Nie wiem, panie Rook. Nie umiem tego określić matematycznie. Może się okazać, że Dom Martwego Człowieka jest tym samym co góry w Porcelanowej Krainie: mirażem.

— A wtedy?

— Wtedy będziemy musieli się tylko modlić. Więcej nie będziemy w stanie zdziałać.

Jim jeszcze chwilę przyjrzał się mapie, po czym wstał.

— A tak poza tym, to moja kotka chce z nami jechać.

## ROZDZIAŁ 12

Jima przerażało latanie małymi samolotami. Kiedy zbliżali się do Zatoki Utraconej Nadziei, podskakując i przechylając się na wietrze, tak mocno trzymał za poręcz, że o mało nie zerwał tapicerki z fotela. Równocześnie był zachwycom krajobrazem. Przez ostatnie sto kilometrów lecieli nad oślepiającą lodową rzeką — lodowcem Sheenjek, a niebo w górze było tak granatowe, że sprawiało

wrażenie czarnego. Po obu stronach wznosiły się ciemne, pokryte czapami śniegu wulkaniczne szczyty, a w oddali Jim widział jedynie kolejne góry — szczyt po szczycie, jakby na ich powitanie zebrały się wszystkie góry świata.

Henry Hubbard spędził większość czasu na rozmowie z pilotem, małymównym żylastym mężczyzną o twarzy koloru orzecha laskowego, z którego ust sterczała ciągle się poruszająca wykałaczką. Jack siedział skulony w fotelu i wyglądał przez okno. Między nim a ojcem w dalszym ciągu panowało napięcie i raz lub dwa, kiedy Henry Hubbard próbował zwracać mu uwagę za

garbienie się, dąsanie albo pyskowanie, chłopak odpowiadał:

— Przynajmniej nie sprzedałem twojej duszy!

Za każdym razem, kiedy coś takiego padało, Henry Hubbard kulił się, jakby syn uderzył go w twarz, opanowywał jednak gniew. W końcu Jack zgodził się polecieć i oddać im do dyspozycji swą młodość i siłę. Im dłużej cień samolotu skakał i drgał na poszarpanych szczytach i głęboko żłobionych szczelinach w dole, tym większego Jim nabierał przekonania, że będą go potrzebowali. Silnik cessny wydał z siebie niepokojące buczenie i zaczęli tracić wysokość, okazało się jednak, że łukiem skręcali na wschód, by wylądować przy Zatoce Utraconej Nadziei. Przelecieli nad złożonym z pięciu drewnianych domów osiedlem, nad którym łopotała amerykańska flaga, i zrobili kolejne koło. Jim widział, jak z domów wychodzą maleńkie postacie, które zaczęły im machać.

Ziemia uniosła się, gwałtownie wychodząc naprzeciw i wylądowali na płozach na krótkim kawałku szklistego lodu, biegnącym równoległe do lodowca. Z powietrza pas wyglądał na gładki, ale w rzeczywistości maszyna tak podskakiwała, że Jim był niemal pewien, iż zanim staną, drgania wytrząsną mu wszystkie zęby ze szczęki. Pilot przesunął wykałaczkę, z prawego kącika ust w lewy, gwałtownie zawrócił samolot o sto osiemdziesiąt stopni i zatrzymał się pięć metrów przed linią, za którą zaczynały się sterty brudnego, spękanego lodu.

— Utracona Nadzieja? — powiedział, kołując w kierunku domów. — W tej dziurze nie znają nawet znaczenia słowa „nadzieja”, nie wspominając o jej traceniu. — Było to najdłuższe zdanie, jakie

wypowiedział przez całe popołudnie.

Wysiedli z samolotu i Jim natychmiast poczuł uderzenie zimnego wiatru, dmącego od strony lodowca. W porównaniu do Los Angeles, było tak zimno, że już chwila stania obok maszyny i czekania, aż pilot wyląduje bagaże, wystarczyła, że poczuł się tak, jakby zaciśnięto mu wokół głowy ciasną obręcz.

Ostatnią sztuką bagażu było kartonowe pudło z powycinanymi dziurami. Pilot podał je Jimowi.

— Chciał pan, by obchodzić się z tym delikatnie. Jak psy ją zobaczą, zaraz ją zjedzą na śniadanie.

— Dziękuję za ostrzeżenie.

Gdy podeszli do skraju pasa, przywitało ich dwóch wysokich mężczyzn w czarnych kurtkach z futrzanymi kapturami. Jeden miał ciemne okulary, za którymi dało się dostrzec zmrużone oczy, drugi miał długi, tłusty warkocz i pokryte tatuażami dłonie. Spod kołnierzyka wystawał łeb żmii — tatuowany gad wysuwał język, by polizać ucho.

— Matty Krauss i Bili Wilderheim — dokonał prezentacji mężczyzna w ciemnych okularach. — Wasze zapasy są już na miejscu. Mieliśmy nieco problemów z uruchomieniem sno-cata, ale jutro rano powinien zawieźć was, dokąd trzeba.

Do grupy dołączył niski, drobny Eskimos w płaszczu z foczego futra. Przypominał Jimowi dalajlamę: okulary, uprzejmość, ciągły uśmiech — choć nie wiadomo, do czego się uśmiechał.

Każdemu z przybyłych uścisnął rękę, ale słabo, jakby cierpiał na niedowład dłoni.

— Witam panów. Nazywam się John Kudavak. Pracuję dla Federalnej Agencji Ochrony Środowiska.

— Pilnuje pan, by nikt nie zabrudził lodu, co? — spytał Jim.

— Nieco więcej, panie Hubbard. Mam nadzieję, że nie będzie miał pan nic przeciwko temu, jeśli przejdę od razu do sedna.

— On jest Hubbard. Ja jestem Rook.

John Kudavak odwrócił się do Henry'ego.

— Przepraszam. Jesteśmy bardzo zaniepokojeni waszą wyprawą.

— Jaką wyprawą? To żadna wyprawa. Chcemy jedynie we trójkę trochę się rozejrzeć i

nakręcić nieco materiału filmowego do mojego najnowszego dokumentu. A tak poza tym, to skąd pan się dowiedział o naszym przylocie?

— Byłem kilka tygodni na północy, sprawdzałem, czy da się założyć ośrodek turystyczny Sheenjek. Pan Krauss przekazał mi, co zamierzacie.

— Jakie istnieją przeciwwskazania?

— Cóż... zawsze jesteśmy chętni pomagać filmowcom, chcącym udostępnić szerszej publiczności naturalne piękno Alaski, ale pan Krauss poinformował mnie, że zamierzacie szukać Domu Martwego Człowieka, a nie jest to miejsce o znaczeniu przyrodniczym. Jeśli chodzi o moje biuro, traktujemy Dom Martwego Człowieka jako strefę zaka zaną. Pomijając fakt, że w ostatnich sześciu latach w trakcie jego poszukiwań zginęło ponad trzydzieści osób, co znacznie nadszarpnęło stanowy budżet przeznaczony na ratownictwo, dom jest ponoć zbudowany w miejscu świętym dla Eskimosów.

— Tylko niech pan nie mówi, że mamy do czynienia z kolejnym problemem indiańskich cmentarzy... — jęknął Jim.

John Kudavak wykrzywił zaciśnięte wargi w coś, co miało przypominać uśmiech.

— Miejsce jest święte, ponieważ właśnie tam Wielka Nieśmiertelna Istota za karę za zazdrość zabrała oczy swemu ulubionemu aniołowi i kazała mu zajmować się tymi, którzy zagubią się w śniegu.

Jim popatrzył na Henry'ego Hubbarda.

— Nie mówił pan tego.

— Nie mówiłem? Cóż, nie sędzę, by to było szczególnie istotne.

— Ale to przede wszystkim dlatego Edward Grace musiał właśnie tam zbudować dom.

Niech pan nie próbuje mi wmówić, że wybrał miejsce przypadkowo.

— Panie Hubbard — wtrącił John Kudavak — obawiam się, że muszę zastopować tę wyprawę.

Moim zdaniem jesteście nieodpowiednio przygotowani i niedostatecznie wyposażeni, poza tym nie uważam, by wasz zamiar służył dobrze tutejszemu środowisku naturalnemu.

— To szaleństwo! — odparł Henry Hubbard. — Jeśli znajdziemy Dom Martwego Człowieka, może się okazać największą atrakcją turystyczną Alaski!

— W obecnych czasach dla Agencji Ochrony Środowiska pracuje wielu Eskimosów — odparł Kudavak. — Tak jak ja wierzą w legendę o duchu, który ratuje zaginionych w śniegu ludzi. Niektórzy mają przyjaciół i kuzynów, którzy twierdzą, że zostali uratowani przez Demona Zimna. Obecnie w agencji panuje nastawienie, by Dom Martwego Człowieka pozostał nie odkryty. Gdyby ujawniono miejsce, gdzie się znajduje, mogłoby to stanowić zagrożenie dla spójności ich wiary.

— Mówimy o sugestii, czy zakazie z mocą prawną?

— Jestem upoważniony do powstrzymania was od podjęcia wyprawy do Domu Martwego Człowieka, gdyż stanowiłaby zagrożenie dla środowiska naturalnego.

— Pojedziemy jednym traktorem śnieżnym przez lodowiec, resztę drogi odbędziemy pieszo. Jak trzy pary stóp mogą stanowić zagrożenie dla jednej z najsurowszych okolic na półkuli północnej?

— Jeśli odnajdziecie Dom Martwego Człowieka, za waszym traktorem i trzema parami nóg podążą setki pojazdów i tysiące par nóg. Sam pan powiedział, że mógłby się stać największą atrakcją turystyczną Alaski.

— Ale nie tylko o to chodzi, prawda? — spytał Henry Hubbard. — Martwi się pan nie tylko o krajobraz.

— Martwimy się także o reperkusje duchowe, zgadza się

— Reperkusje duchowe? Może powie pan to w zrozumiały sposób? Martwi się pan o to, że ktoś może znaleźć Demona Zimna i powstrzymać go przed dalszym robieniem tego, co robi, kiedy kogoś ratuje!

— Demon Zimna jest legendą, panie Hubbard. Jak anioł w pańskiej religii. Nikt nie ma jednak prawa narażać na szwank ich uświęconego miejsca. Co by pan powiedział, gdyby Eskimosi wpadli hurmem do pańskiego kościoła, by potępić archanioła Gabriela?

— Prawdę mówiąc, byłbym ogłupiony.

— Obawiam się, że nie zmienia to sedna sprawy. Będziecie musieli spakować manatki i wracać do Los Angeles.

— Niech pan się nie wygłupia — wtrącił się Jim. — Wsadziłem w tę nieodpowiednio przygotowaną i niedostatecznie wyposażoną wyprawę wszystkie oszczędności...

— Zatem bardzo panu współczuję.

— Jeszcze nie dostaliśmy pieniędzy za sno-cata — dodał swoje trzy grosze Matty Krauss.

— Nie musisz gardłować, dostaniesz pieniądze — burknął na niego Henry Hubbard, po czym zwrócił się do Johna Kudavaka. — Proszę pana, a jeśli podpiszemy zobowiązanie, że na wypadek, gdyby udało nam się odkryć Dom Martwego Człowieka, nie ujawnimy współrzędnych, byłby pan zadowolony?

— Skąd mam mieć pewność, że dotrzymacie obietnicy? Zwłaszcza jeśli można by zarobić na takim odkryciu masę forsy?

— Ponieważ nie szukam go dla pieniędzy. Nawet nie dla sławy. Robię to dlatego, by uratować komuś życie. Jest pan Eskimosem i wie, o czym mówię.

John Kudavak zdjął okulary.

— Wasza Biblia mówi: „oko za oko, ząb za ząb”, prawda? Nie oznacza to zachęty do mściwości, panie Hubbard, choć jest to w dzisiejszych czasach tak postrzegane. W czasach biblijnych, kiedy ktoś doznał niesprawiedliwości, wyrzynał rodzinę tego, kto mu zrobił krzywdę. Do ostatniego pokolenia. Ścierał z powierzchni ziemi jego nazwisko. Jedyne, czego żąda wasza Biblia, to sprawiedliwość. Oko za oko. Ząb za ząb. My wierzymy w to samo.

— Dusza za duszę — stwierdził ponuro Henry Hubbard.

John Kudavak włożył okulary.

— Musicie zostać tu na noc, to oczywiste, ale zorganizujcie sobie jutro, o mniej więcej tej samej porze co teraz, lot powrotny do Fairbanks.

Zamieszkali w domu lekko zwariowanego starego trapera i jego przysadzistej i milczącej eskimoskiej żony. Na środku salonu stał wielki, brzuchaty piec, teraz jednak znajdowały się w nim suszone kwiaty, a ciepło płynęło z butanowych piecyków. Na żółtych tapetach powieszono najróżniejsze, całkiem nieoczekiwane zdjęcia z gazet, poprawiane we własnej roboty ramki. Obok mostu nad cieśniną Verrazano wisiał Elvis Presley, przy krzywej wieży w Pizie była ręcznie kolorowana fotografia Rin-Tin-Tina. Traper nazywał się William Crown i przybył na Alaskę, mając dwanaście lat. Tylko raz w życiu się potem stąd ruszał — do Anchorage, na operację wyrostka — i świat nie robił na nim najmniejszego wrażenia.

— Tutaj nikt niczego dla nikogo nie robi. Do czego nadaje się mężczyzna, jeśli nie umie wiązać węzłów, strugać drewna i oprawić łososia? Miałem siedem żon, piłem co dzień pół butelki whisky i mogę zbudować psią budę z za wiązaną na plecach jedną ręką.

Przysadzista i milcząca Eskimoska przygotowała posiłek, składający się z pieczonego chleba z mięsem oraz smażonych ziemniaków, siedzieli zatem w przegrzanej kuchni i jedli. Tak wygląda regionalna kuchnia Eskimosów — pomyśl! Jim. — Przynajmniej nie zaserwowali potrawki z mewy.

Po wielkich talerzach lodów usiedli w salonie, przysadzis ta i milcząca Eskimoska zaczęła walić w zlewie talerzami, jakby grała finał uwertury „Rok 1812”, a William Crown zapalił papierosa.

— Doktor mówi mi, że mam nie palić, ale lubię sobie zakurzyć przed snem. Pozwala to spokojnie spać, co jest dobrodziejstwem, kiedy wiatr szarpie dachem sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, a twoja kobieta chrapie, kaszle i sapie jak stado wielorybów.

— Spotkał pan kiedyś kogoś, kto widział Dom Martwego Człowieka? — spytał Henry

Hubbard.

— Niektórzy twierdzą, że go widzieli, ale większości trudno wierzyć. Nie można by im nawet zawierzyć przeczytania jadłospisu, gdyby człowiek przysiadł na swoich okularach.

— Pan nigdy go nie widział?

— Nie i wcale bym nie chciał. Moim zdaniem nie da się go zobaczyć, widzą go jedynie ci, którym śmierć właśnie zagląda w oczy, a nie mam zamiaru pozwalać na to, by śmierć zaglądała mi w oczy, póki nie nadeszła moja kolej i czas, bym dobrze się jej przypatrzył.

— Jak to: nie da się go zobaczyć?

— Dokładnie tak, jak mówię. Jeśli pójdzie szukać normalny człowiek, nie znajdzie go, nawet gdyby podszedł do samych drzwi. Weźmy jednak człowieka, który prawie umarł. Zobaczy go wyraźnie jak każdy inny dom.

— Dlaczego pan tak uważa?

— Weźmy faceta, który go zbudował. Edward Grace patrzył śmierci w twarz, kiedy o mało nie poszedł na dno z „Titanikiem”. Legenda mówi, że do budowy zatrudniał wyłącznie ludzi, którzy byli przedtem poszukiwaczami złota, górnikami albo pracowali w innym niebezpiecznym zawodzie. Ludzi, którzy oszukiwali śmierć. Kiedy zbudowano dom, wszyscy wrócili, skąd przyszli, i zaczęli rozpowiadać, jaki jest wspaniały. Jakie wszystko jest *super-de-luxe*. przynajmniej na warunki Alaski, na przykład toalety z bieżącą wodą itp. Mieli nie rozpowiadać, gdzie dom stoi, ale jeden z robotników tak był zachwycony ciesielką, którą wykonał, aż szepnął słówko przyjacielowi, że stoi niedaleko lodowca Łososiowych Duchów. Przyjacielowi zachciało się obejrzyć posiadłość, ale szukał cały dzień i niczego nie znalazł. Wybrali się następni, oni też niczego nie znaleźli. Dom zobaczył dopiero jakiś dzieciak, który umierał na suchoty, ale był mały i głupi, więc nikt mu nie uwierzył. Zwykle oko widziało jedynie skały i lód. Wkrótce ci, co zbudowali dom, zostali



wypędzeni śmiechem z miasteczka, wszyscy bowiem byli przekonani, że są walnięci, bo twierdzą, że zbudowali dom, a żadnego domu nie było.

— Dlatego nie mogą go znaleźć ludzie od ochrony środowiska — stwierdził Henry Hubbard.

— Ani nie mogą go sfotografować satelity. Nie istnieje w tym, istnieje w innym świecie.

— Ale zarówno pan jak i ja będziemy go mogli zobaczyć — stwierdził Jim. — Obaj byliśmy bliscy śmierci.

— Będziemy mogli go zobaczyć, jeśli pan Kudavak na to pozwoli.

— Jak może nas powstrzymać? Jest sam, a nas jest trzech.

— Zamierza go pan znokautować? Agencja Ochrony Środowiska ma tu wielką siłę przebicia.

— Inaczej chyba być nie może. W końcu nie ma tu nic poza środowiskiem naturalnym, prawda? Więcej tu środowiska niż da się objąć okiem.

— Moglibyśmy zaryzykować — stwierdził Henry Hubbard. — Przygotować się na piątą rano i wyskoczyć, zanim nas dogoni.

Jim zastanowił się chwilę.

— Czy ten Kudavak jest uzbrojony?

— Ma karabin do obrony przed niedźwiedziami.

— Dobrze, zrobmy tak. W końcu nie bardzo ma my wybór, prawda? Albo znajdziemy sposób na załatwienie Demona Zimna, albo on złapie któregoś dnia Jacka i wtedy żaden z nas nie bardzo będzie mógł z tym żyć.

— Jack? — spytał Henry Hubbard.

Jack spał już jednak w fotelu, z opuszczoną do tyłu głową i otwartymi ustami. Z zaskakującą czułością Henry Hubbard wstał i przykrył syna płaszczem.

— Ruszmy się — stwierdził Jim. — Lepiej też idźmy spać. Miejmy nadzieję, że da się

uruchomić sno-cata o piątej rano.

Jim nawet na chwilę nie zasnął. Niebo nie zrobiło się do końca ciemne, a o trzeciej rano słońce już świeciło przez cienkie, własnej roboty zasłonki w oknach jego pokoju. Tibbles Dwa najwyraźniej nie miała najmniejszych kłopotów ze spaniem. Leżała zwinięta w nogach łóżka, nieruchoma jak trup — nawet kiedy gwałtownie poruszył stopami koc, na którym leżała.

Nie był do końca pewien, po co przywiózł ją ze sobą na Alaskę, w dziwny sposób czuł się jednak w jej obecności bezpieczniej. Kotka zdawała się znacznie lepiej od niego wiedzieć nie tylko to, dlaczego się tu znalazła, ale także, co Jim ma robić dalej. Nie miał wątpliwości, że TD zdawała sobie

sprawę z istnienia Demona Zimna, jego obecności oraz tego, co mógł im wszystkim zrobić.

Pięć po czwartej wstał i czując sztywność w całym ciele, ubrał się. Miał na sobie ocieplane kalesony, w których czuł się jak dziadek, grube džinsy, czerwoną wełnianą koszulę i gruby wełniany sweter. Poszedł do kuchni, włączył ekspres do kawy, po czym wyszedł przed dom, by obejrzeć arktyczny świt.

Niebo było bladożółte, pocięte postrzępionymi wysoko wypiętrzonymi szarymi chmurami, które wyglądały jak podarta kurtyna. Słońce wyszło zza czap śnieżnych na górach po wschodniej stronie. Wiatr nasilał się, powodując w uszach łopot, temperatura wyraźnie spadała.

Henry Hubbard też już wstał — krążył wokół poobijanego sno-cata. Traktor miał dużą kanciastą kabinę z pomalowanego na biało aluminium, uszczelnioną od wewnątrz metalizowanym pikowanym materiałem. Zamiast kół na każdym rogu kadłuba zamontowano gąsienicę. Henry sprawdzał połączenia ogniów i przewody hydrauliczne. Podeszedł do Jima, klaszcząc dla rozgrzewki w ręce.

— Piękny poranek — powiedział Jim.

— Mhmmm... Długo tak nie będzie. Czuje pan wiatr? Z północnego zachodu zbliża się coś paskudnego.

— Sądziłem, że tutejsze lato jest dość łagodne.

— To zależy. Jeśli chodzi o pogodę, ten rok był przedziwny. Może to wina El Nino, może czegoś innego. W jednej minucie słońce, w następnej burza śnieżna. W każdym razie, ponieważ już pan wstał, może coś przekąsimy i rusza my? Im dalej przetniemy lodowiec przed zmianą pogody, tym będę szczęśliwszy.

Poszli do kuchni, usiedli i zaczęli pić gorzką kawę. Zjawiała się przysadzista i milcząca żona Williama Crowna, zrobiła im kilka grubych naleśników, połała je syropem klonowym, po czym wyszła, znacząco trzaskając drzwiami. Po chwili przyszedł Jack — wyglądał dość niechlujnie z rozczochranymi włosami i wystającą ze spodni połą koszuli. Usiadł przy stole i nalał sobie duży kubek kawy.

— Chcesz naleśnika? — spytał Jim.

— Nie wiem. Jakie są?

— Trudno opisać. Jadłeś kiedyś beret?

Nim skończono śniadanie, przyszli Matty Krauss i Bili Wilderheim z zestawem kluczy.

— Gotowi do działania? Uruchamiajcie silnik i wynoście się stąd gazem, zanim ten Kudavak się połapie, co się dzieje, i ruszy za wami. Nadęty facecik, nie? Ma gdzieś ludzi, którzy muszą zarobić

na życie, martwi się tylko zwierzątkami, drzewkami i eskimoskimi czarami.

Od zachodu niebo ciemniało w zastraszającym tempie: niczym dym z potężnego

wybuchającego wulkanu, wspinał się na nie front żółtoszarych śniegowych chmur. Wiatr nasilił się do

nieustannego, piskliwego jazgotu, w powietrzu zaczynały latać kawałki lodu i zmrożonego śniegu.

Jim oraz Jack i Henry Hubbardowie byli ubrani w jaskrawopomarańczowe wiatroodporne kurtki z

kapturami, gogle i ocieplane rękawice. Matty Krauss i Bili Wilderheim zaprowadzili ich do sno-cata i

otworzyli drzwi do kabiny. Okna z pleksi były mętnawe i podrapane, a w kabinie unosił się odór

oleju

napędowego.

— Jest dość stary — powiedział Matty Krauss. — Kupiliśmy go od pewnego gościa w Jukonie w siedemdziesiątym szóstym. Używał kabiny jako szopy na narzędzia. Odkupił skuter w sześćdziesiątym ósmym od kolesia w Albercie i Bóg wie, skąd tamten go wzięł. Jeździ jednak jak należy, pod warunkiem, że traktuje się go jak staruszka, którym jest. — Skinął głową w kierunku kartonu w dłoniach Jima. — Naprawdę zamierzasz zabrać ze sobą tego kocura?

Jim przyłożył palec do ust.

— Nie denerwuj jej. Uważa, że to ona nas zabiera. Weszli do sno-cata. W kabinie były cztery pseudosiedzenia z aluminiowych rurek, obciążone czerwonym skajem i dwie dźwignie do sterowania przednimi gaśienicami. Henry Hub-bard przekręcił kluczyk i silnik wydał z siebie basowy, ospały dźwięk, który mógłby pochodzić z paszczy przewracającego się przez sen hipopotama. Henry znów przekręcił kluczyk i tym razem uzyskał ospały dźwięk oraz kilka niechętnych kaszlnięć. Jim pochylił się do niego.

— Niech pan spróbuje jeszcze raz. Mój ojciec miał pikapa diesla i w zimie trzeba było go uruchamiać pięć razy.

Henry Hubbard spróbował ponownie. Rozległo się kilka kaszlnięć, gaźnik strzelił z hukiem, a z rury wydechowej wyleciały dwa kłęby czarnego dymu.

— Papież jeszcze nie został wybrany — stwierdził lakonicznie Bili Wilderheim, kiedy wiatr rozwiął spaliny.

— Niech pan się postara, panie Hubbard — powiedział Matty Krauss. — Ten Kudavak śpi tylko dwa domy stąd. Zaraz coś usłyszysz, a sam pan wie, że ma władzę, by was zatrzymać.

Henry Hubbard jeszcze raz przekręcił kluczyk, potem jeszcze raz. Za każdym razem silnik kaszlał, strzelał, ale nie zaskakiwał. W końcu Bili Wilderheim wszedł po drabince, wsunął tułów do

kabiny, przekreślił kluczyk i silnik zaterkotał pulsującym, szarpiącym rytmem.

— Wspaniale! — stwierdził Henry Hubbard. — Jak pan to zrobił?

Bili Wilderheim radośnie się uśmiechnął, ukazując dziury między zębami.

— Modliłem się, to wszystko. Pomodliłem się i modlitwa została wysłuchana.

— Będę musiał zapamiętać to na następny raz, kiedy nie będzie chciał zapalić.

— Niech pan tak zrobi. Należy wierzyć w Boga.

Henry Hubbard zwolnił hamulce i sno-cat zaczął pełznąć zamarzniętą drogą, prowadzącą w kierunku lodowca Sheenjek. Nie poruszał się szybko, w idealnych warunkach i przy płaskim lodzie może mógł osiągnąć pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Teraz igła prędkościomierza oscylowała między trzynaście a dwadzieścia cztery.

Huk silnika i brzęk gaśnienic był w kabinie tak głośny, że Jim musiał się wydzierać.

— Nie możemy jechać szybciej!

— To maksimum! Pojechalibyśmy szybciej, to rozleciałby się na kawałki!

Jim wyrzwał przez tylne okno. Na razie nikt ich nie ścigał. Pełzli ślimaczym tempem w dół stromego zbocza wąwozu, który prowadził do lodowca. Centymetr po centymetrze pięć domów, z których składała się maleńka społeczność Zatoki Utraconej Nadziei, zaczęło znikać za horyzontem. Widać było już tylko łopoczącą na maszcie amerykańską flagę. W lecie nigdy jej nie spuszczano, ponieważ nigdy nie robiło się całkiem ciemno.

— Wygląda na to, że się udało, panie Rook — odezwał się Jack.

— Daj spokój, Jack. Możesz mi mówić Jim. Zostaw sobie „pana Rooka” na lekcje.

Pozostało im jeszcze jakieś sto metrów do skraju lodowca Sheenjek, ale Jim ciągle spoglądał do tyłu. Uruchamiając sno-cata, narobili mnóstwo hałasu, na dodatek nie ufał Matty'emu Kraussowi. Jeśli zaalarmował Johna Kudavaka, że odjechali, dostanie pojazd z powrotem i będzie mógł zatrzymać pieniądze.

— Trzymajcie się! — krzyknął Henry i przygazował.

W tym momencie Jim dostrzegł przez mlecznobiałą, zniszczoną szybę z pleksi migające reflektory. Na dwie, może trzy sekundy zniknęły, zaraz jednak pojawiły się znowu — znacznie bliżej. Ścigał ich zielony ford explorer, a jedyną osobą, posiadającą w Zatoce Utraconej Nadziei taki samochód, był John Kudavak.

— To Kudavak! — wrzasnął. — Daj gazu, Henry, dogania nas!

— Nic z tego. To nie corvetta. na Boga!

Jim znów popatrzył do tyłu. Zielony explorer był nie dalej niż piętnaście metrów od nich. światła reflektorów tańczyły z każdym metrem, jaki pokonywało auto.

— Dawaj. Henry! Zaraz nas złapie!

Ford był tak blisko, że jego przedni zderzak niemal dotykał gąsienic traktora. Kudavak spróbował skrócić w lewo. by zajechać ich z przodu, ale Henry'emu Hubbardowi udało się podjechać tak blisko ściany wąwozu, że Kudavak musiał wcisnąć hamulec i stanąć, inaczej ryzykowałby zaklinowanie między sno-catem a skałą.

Kudavak spróbował wyprzedzić ich z prawej. Tym razem udało mu się z nimi zrównać i opuścił szybę w oknie. Byli blisko lodowca, brakowało im niecałe siedemdziesiąt metrów, a podłoże zrobiło się tak nierówne, że explorer podskakiwał jak dziecięcy wózek na wybojach.

— Stójcie! — wrzeszczał Kudavak. — Dom Martwego Człowieka to teren zamknięty! Jeśli się nie zatrzymacie, jestem upoważniony do wezwania policji stanowej!

Jim odsunął okienko i odkrzyknął:

— Chcemy tylko rzucić okiem, to wszystko! Nie może nam pan zabronić oglądać!

— Co to znaczy: oglądać?! Po jaką cholere?!

Jim popatrzył na Jacka, ten jednak tylko się skrzywił. Jim ponownie odwrócił się do Kudavaka i krzyknął:

— *No estoy en casa a Senor Fisgando!*

Dotarli do skraju lodowca. Choć niebo gwałtownie ciemniało, w dalszym ciągu w porannym słońcu jaskrawo świeciła szeroka na półtora kilometra rzeka lodu, powoli pełzająca przez Góry Smutnego Konia ku odległemu morzu. Sno-cat wspinał się na kawały lodu, leżące przy brzegu pasma ruchomego jezora lodowego. Silnik wył, gąsienice wychylały się na boki, kabina bujała się na wszelkie

możliwe strony. Ford Johna Kudavaka wjechał na zbocze pokryte pokruszonymi lodowymi blokami i niemal przeokoziłkował, na szczęście stanął. John Kudavak wysiadł i zaczął się wściekle wydierać

— Wydaje się wam, że wszystko wam wolno! Myślicie, że możecie zanieczyszczać nasze morza, wyrzynać nasze zwierzęta i robić z naszych ludzi pijaków i wykolejeńców! Wydaje się wam, że możecie kwestionować naszą wiarę! Nie możecie! To nasz kraj! Nasz!

Więcej Jim nie usłyszał, bo strażnika przyrody zagłuszył silnik traktora. Sno-cat dotarł do nieco równiejszego terenu i zaczął przyspieszać. Gąsienice wyrzucały do tyłu chmurę lodowych igieł. Henry Hubbard opadł na oparcie.

— Jeśli utrzymamy tempo, dotrzemy do Domu Martwego Człowieka jutro w okolicy południa.

— Jeśli istnieje.

— Istnieje, Jim, istnieje. Wiem, że istnieje. Im bliżej jestem, tym bardziej jestem o tym przekonany.

Zapadła cisza. Pojazd wytrwale pokonywał lodowiec. Waliło nimi i rzucało o ściany, byli jednak tak grubo ubrani, że ledwie to zauważali. TD zaczęła miauczeć, więc Jim wypuścił ją z pudła. Kotka usiadła mu na kolanach tak, by móc wyglądać przez okno. Nie prosiła o nic do jedzenia ani do picia — siedziała wyprostowana i wpatrywała się w niebo na północy. Stuliła uszy, a Jim miał dziwne

wrażenie, że zwierzę wraca do domu.

Po dłuższym czasie Jack, pokręciwszy się na swoim miejscu, dotknął ramienia ojca.

— Tato... chciałem powiedzieć, że to, co robisz... no wiesz... doceniam to.

— Robię, co należy, to wszystko.

— Nieprawda. Wiem, że nie sprzedałeś mojej duszy złośliwie. Wierzę, że myślałeś, iż Demon Zimna był halucynacją. Też bym tak myślał.

— Mimo to nie powinienem był tego zrobić.

— To teraz nieważne. Wiem, że nie chciałeś tu za żadne skarby wracać, i wiem, co tamta przygoda z tobą zrobiła. Odebrała ci dumę, odwagę i wszystko. Wrócić tam. Gdzie człowiek się boi, wymaga znacznie większej odwagi niż w bezpieczne miejsce, prawda? A kto potrzebuje być dumnym, jeśli inni są z niego dumni?

Henry Hubbard szybko spojrział na Jima i Jim dostrzegł w jego oku łzę.

— Próbuję uzmysłować ci, że wybaczam to, co zrobiłeś. Bez względu na to, co się stanie tutaj, nawet jeśli... nie znajdziemy Domu Martwego Człowieka. Wiem, że nigdy nie zamierzałeś mnie skrzywdzić.

Henry Hubbard ujął syna za rękę.

— Dziękuję, Jack — powiedział cichym, ochryłym głosem.

Potem przez jakiś czas jechali w ciszy. Ciemne chmury zaczęły zasłaniać niebo od zachodu, a wiatr zwiewał przez lodowiec drobny śnieg. Słońce jeszcze świeciło, Jim był jednak pewien, że zaraz

zniknie. Miał nadzieję, że zdążą pokonać przed burzą odsłoniętą część lodowca.

— A tak poza tym — spytał Jack — co powiedział pan do Kudavaka? To było po hiszpańsku?

— *No estoy en casa a Senor Fisgando*. To znaczy mniej więcej: Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy. Dokładnie tłumacząc: „Nie ma mnie w domu dla pana Fistaszka”.

W ciągu godziny chmury całkowicie zasłoniły niebo i zrobiło się tak ciemno, iż Henry musiał



zapalić umieszczone na dachu sno-cata reflektory. Wiatr wiał coraz silniej, a w końcu osiągnął taką siłę,

że bujał kabiną i wył w gąsienicach jak upiór. Padający śnieg był niezbyt gęsty, ale wirował w strumieniach światła i plaskał głucho o szyby.

Henry odwrócił się i krzyknął:

— Przejechaliśmy prawie połowę! Jeśli nie zaczniesz mocniej sypać, powinno być dobrze!

Jim wysilał wzrok, wbijał go w zamazany krajobraz. Wydało mu się, że jakieś dziesięć metrów przed nimi widzi poszarpany cień. przecinający lód pod ostrym skosem.

— Henry! Co jest przed nami?!

Henry spojrzał i natychmiast zatrzymał sno-cata. Poszarpany kontur okazał się pęknięciem w lodzie — wystarczająco szerokim, by połknąć traktor. Wyszli i podeszli do skraju szczeliny. Była nie

tylko szeroka, ale i głęboka — tak bardzo, że nie widać było dna.

— Co teraz? — spytał Jim.

— Nie przejedziemy, musimy jechać wzdłuż. Sprowadzi nas z kursu na bok.

— No to lepiej ruszajmy. Miejmy nadzieję, że nie przecina całego cholernego lodowca.

Wrócili do traktora i Henry ruszył. Pojechał wzdłuż lewego brzegu szczeliny, starannie pilnując, by trzymać się w odpowiedniej odległości od krawędzi.

— Widziałem kiedyś, jak brzeg pęknięcia się zapada... z dwoma ludźmi, saniami i zaprzęgiem. Spadli tak głęboko, że połamali sobie każdą kość. Ludzie i psy zmarzli, zanim zdążyliśmy ich wyciągnąć.

Henry mówił dalej, nie mógł sobie jednak pozwolić na chwilę dekoncentracji, brzeg szczeliny biegł bowiem zygzakiem w nieprzewidywalny sposób. Musieli zjechać z obranego kursu na zachód i było jasne, że dotrą na przeciwległy brzeg lodowca przynajmniej półtora kilometra od miejsca, w które planowali się dostać.

Pokonali prawie dwie trzecie lodowego jęzora, gdy Jack odchylił czapkę nad uchem.

— Co to było? Słyszeliście?

Jim wsłuchał się, ale słyszał jedynie dudnienie silnika.

— Jest znowu — powiedział Jack. — Zbliża się, choć nie wiem, co to.

Jim nadstawił uszu i tym razem usłyszał. Był to cichy terkot, jaki pamiętał z dzieciństwa, wydawany przez kartonik, przyczepiony do koła roweru tak, by uderzał o szprychy.

— Henry, chyba nie psuje się silnik?! — wrzasnął. — Brzmi to jak rozsypujące się łożysko.

— Nie sędzę — odparł Henry. — Ciśnienie oleju się trzyma, temperatura jest stabilna.

TAK-TAK-TAK-TAK robiło się coraz głośniejsze. Zdawało się dolatywać z południowego zachodu, skąd nadjechali. Jim wyjrzał przez okno, widział jednak tylko wirujący śnieg i chmury koloru

zgniłego kalafiora.

— Jim, to brzmi jak... — zaczął Jack.

W tym momencie pojawił się przed nimi helikopter. Nurkował i tańczył w śniegu. Zapalił oślepiający reflektor, którego promień skierował prosto do kabiny sno-cata. a z potężnego głośnika rozległo się:

— Stać! Tu policja stanu Alaska! Zbliżacie się do terenu zamkniętego. Natychmiast zawracać!

Helikopter krążył, dokładnie więc mogli dostrzec zarówno emblemat policji stanowej jak i siedzącego w otwartych drzwiach snajpera z potężną strzelbą na kolanach.

— Natychmiast zawracać! Odeskortujemy was do Zatoki Utraconej Nadziei!

— Co teraz? — spytał Jim. — Nie możemy zawrócić... kiedy dotarliśmy tak daleko.

— No to jedziemy dalej — odparł Henry. Podgazował i sno-cat sunął przez lodowiec, a policyjny helikopter wykręcał nad nim piruety.

— Natychmiast zawracać! Natychmiast zawracać!

Odpowiedzią Henry'ego było mocniejsze wciśnięcie gazu — traktor przyspieszył do dwudziestu dziewięciu kilometrów na godzinę.

— Natychmiast zawracajcie albo otworzymy ogień i zniszczymy wasz pojazd!

— Słyszałeś? — mruknął Henry. — Zaraz zaczną strzelać. Typowa policyjna reakcja na wszystko, czego nie rozumieją.

Jechał bez wahania dalej, choć reflektor helikoptera tak oślepił, że niczego nie widzieli.

— Jedź — nalegał Jim. — Może nie będą mieli nerwów, by otworzyć ogień. W końcu to Alaska, nie Los Angeles.

Jeszcze przyspieszyli, zaczęli zjeżdżać bowiem po dość ostrym, skośnym zboczu. Lód chrzęścił i zgrzytał pod gaśnienicami. Helikopter leciał tuż za nimi i odskakiwał raz za razem w bok jak narowisty koń.

— A nie mówiłem? — spytał po chwili Jim. — Wsioki w futrzanych czapach. Nic nam nie zrobią.

W tym momencie huknęło, a silnik sno-cata jęknął z bólu. Rozległ się kolejny huk, zaraz po nim następny i przez dach traktora przeleciała kula, przebijając na wylot pudełko TD. TD, która siedziała przy oknie, nawet nie drgnęła. Cała uwaga kotki była skierowana na północ, stuliła uszy, oczy zwęziła w szparki i cały czas cicho mruczała — tak cicho, że słyszało się to jedynie z bardzo bliska.

Helikopter w dalszym ciągu krążył wokół traktora. Załomotały kolejne strzały, kule rykoszetowały z wizgiem. Policjanci celowali w gaśnienice — albo chcieli, by pękły ogniwa, albo chcieli

przestrzelić przewody. Kolejny pocisk odbił się od dachu, następny przebił szybę.

— Zabijają nas! — zawołał Jim. — Zapomnij, co powiedziałem o wsiokach w futrzanych czapach. Chłopcy biorą się ostro do roboty!

— No więc co? — spytał Henry. — Zatrzymujemy się? Poddajemy? Oddajemy Jacka

Demonowi Zimna?

— Możemy dotrzeć do Domu Martwego Człowieka na piechotę?

— Stąd? To będzie ze dwadzieścia osiem, może trzydzieści kilometrów.

— Możemy tam dojść?

— Mówiłem, że to bardzo trudny teren. Wiele zależy od pogody. Od tego jak mocno zaciśniemy zęby.

— Możemy tam dojść?

— Moim zdaniem mamy siedemdziesiąt procent szansy. Jeśli nieco nam pomoże Wielka Nieśmiertelna Istota.

— W takim razie do roboty! Wskoczę z Jackiem, kiedy reflektor helikoptera będzie świecił w inną stronę, i schowamy się w śniegu. Ty skieruj sno-cata na szczelinę i przyciśnij pedał gazu gaśnicą.

Wtedy wyskakuj i chowaj się.

— Oszalałeś!

— Masz lepsze propozycje? Albo się zatrzymamy, aresztują nas i zawiozą z powrotem do Fairbanks, albo się nie zatrzymamy i zastrzelą nas, albo spróbujemy uciec!

Henry przez chwilę się wahał, po chwili jednak helikopter zbliżył się i trzy pociski o wzmocnionej sile przebicia załomotały we wnętrzu komory silnikowej. Spod maski zaczęła wypływać para, a ciśnienie oleju gwałtownie spadło.

— Henry, nie mamy wyboru! Nie, jeśli chcemy uratować Jacka!

— Niech ci będzie — odparł Henry. — Robimy jak mówisz. Jack, ty bierzesz plecak z zapasami, Jim, ty namiot. Co z kotem?

— TD może podróżować u mnie za pazuchą. Wątpię, by jakikolwiek inny kot się na to zgodził, ale TD najwyraźniej jest jeszcze bardziej niż my zdecydowana dostać się do Domu Martwego Człowieka.

Znów oślepiło ich halogenowe światło. Snajper oddał kolejne trzy strzały, przy czym jeden załomotał w kabinie traktora, jakby ktoś tańczył na blaszanym dachu.

— Ja mam dość — stwierdził Jim. — Wynośmy się stąd.

Kiedy helikopter odleciał, by zrobić nawrót, Jim otworzył drzwiczki i wyszedł na drabinę.

Wiatr był naprawdę głośno — tak głośno, że niemal zagłuszał hałas wirujących łopat helikoptera.

Jack złapał nie stawiając żadnego oporu TD i podał ją Jimowi. Wiatr mierzwił futro kotki, odwróciła łebek, ale nie zamierzała walczyć. Jim kilka sekund się wahał, w końcu jednak skoczył na lód. Potknął się i omal nie przewrócił, udało mu się jednak odzyskać równowagę i odbiegł na bok w ciemność, ściskając TD pod pachą. Szybko znalazł lodowy występ — schował się za nim i przysypał się śniegiem, by zakryć pomarańczową kurtkę. Jack wyskoczył następny, kilka razy przekoziółkował z plecakiem na plecach, wstał i zaczął się rozglądać za Jimem. Jim gwizdnął jak na taksówkę i chłopak podbiegł.

Sno-cat toczył się ku szczelinie. Helikopter znów nad nim krążył, snajper znów trzykrotnie strzelił, ale traktor nie zwalniał. Henry musiał położyć gaśnicę na pedale i szykował się do skoku.

Szczelina była w tym miejscu szeroka na grubo ponad dziesięć metrów, więc traktor nie mógł w nią nie wpaść. Nie dało się określić, jak jest głęboka, ale pęknięcie tej szerokości mogło sięgać do samego spodu lodowca, gdzie niewyobrażalny ciężar lodu rozpuszczał go w wodę tworzącą rzekę Sheenjek.

— Czas opuszczać statek, Henry... — mruknął pod nosem Jim.

Pojazd jechał jednak z rykiem dalej, wypluwał gęsty czarny dym i parę pod wysokim ciśnieniem, a Henry nie wyskakiwał.

— Pospiesz się, tato...

— Nie przejmuj się — uspokoił go Jim. — Twój tata chce to załatwić efektownie.

Traktor jechał dalej. Silnik palił się. Widać było jaskrawopomarańczowe płomienie,

wypełzające jak jężory z zaworów. Był góra trzy metry od przepaści, lecz choć otwarte drzwi bujały się na zawiasach, nie było śladu Henry'ego Hubbarda.

— Tato... —jęknął Jack. Zabrzmiało to jak modlitwa.

Silnik sno-cata nagle buchnął płomieniem, helikopter zatoczył półkole i przyszpilił pojazd światłem reflektora. Wtedy Jim dostrzegł Henry'ego, leżącego w dziwnej pozycji na instrumentach oraz rozprysniętą o pleksiglasową szybę czerwoną krew i żółty mózg. Jeden z ostatnich strzałów musiał przebić kabinę i trafić go w głowę.

Lód zaczął się zapadać pod ciężarem sno-cata, jeszcze zanim pojazd dotarł do krawędzi.

Traktor gwałtownie się przechylił, gąsienice miały powietrze, silnik buchał płomieniami. Zobaczyli jeszcze marionetkowy taniec rzucanego na boki ciała Henry'ego Hubbarda, którego ręka podrygiwała, jakby machała na pożegnanie. Potem, z rozrywającym uszy trzaskiem łamanego lodu i jękiem torturowanego metalu i mechanizmów, sno-cat wpadł w przepaść i zniknął.

Zadudniło i załomotało — sno-cat uderzył w jeden bok szczeliny, potem w drugi. Helikopter zanurkował, by pasażerowie mogli się przyjrzeć, zaświecono w głąb reflektorem.

— Dranie! — zawył Jack. — Wy dranie! Zamordowaliście mi ojca!

Spróbował wstać, ale Jim złapał za pasek plecaka i ściągnął chłopaka na ziemię.

— Zabili go i zapłacą za to. Ale jak się im teraz pokażesz, wyprawa się skończy.

— Zastrzelili go! Zastrzelili go! Był moim tatą, a oni go zastrzelili!

— Zapłacą za to, obiecuję ci! Byliśmy świadkami! Za płacą!

W tym momencie rozległa się ogłuszająca eksplozja i ze szczeliny wyleciała w powietrze kula pomarańczowego ognia. Helikopter pochylił się, by nie dotknęły go płomienie, słup gorącego powietrza musiał jednak nim zachwiać, bo maszyna nagle przewróciła się na bok. a końcówki rotora uderzyły w lód.

Stało się to tak szybko, że Jim ledwie się zorientował, co się dzieje. Śmigło rozprysnęło się na

tysiące kawałeczków, które pomknęły chmurą na wszystkie strony jak bumerangi Kadłub — położony na bok — uderzył w lód, odbił się i poturlał w szczelinę, idąc śladem sno-cata. Nastąpiła seria przeraźliwych trzasków i łoskotów, zakończona tępym WWWUMMMP! W powietrze wzniosła się kolejna kula ognia, za nią buchnął słup gryzącego dymu.

Jim i Jack, chroniąc twarze dłońmi, podeszli do skraju przepaści i zajrzeli do środka. Mniej więcej dwadzieścia metrów niżej płonął ogień niczym w średniowiecznej wizji piekła. Temperatura była tak wysoka, że lód obu ścian topił się, tworząc bulgoczące kaskady, a woda zaczynała się gotować. Splecione w ostatnim uścisku helikopter i traktor paliły się gwałtownie, szczelinę zaściełały resztki wraków. Pilot helikoptera siedział w swym fotelu niczym na wysokim, płonącym tronie, głowę miał odrzuconą do tyłu, mundur spalony, a z ust buchał mu płomień.

Jim ujął Jacka za ramię i odciągnął go od krawędzi. Chłopakowi leciały z oczu łzy, Jim zauważył jednak, że i jego twarz jest nimi zalana — ogień i dym robiły swoje.

Usiedli na chwilę — wyczerpani, zszokowani. Nie odzywali się, patrzyli tylko, jak z dołu wylatują fontanny iskier i tańczą między płatkami śniegu. W końcu Jim wstał.

— Czas ruszać, Jack. Zaraz wyślą następne helikoptery. Popłaczemy sobie później.

## ROZDZIAŁ 13

Z każdą godziną burza śnieżna się nasilała. Było tak ciemno, że równie dobrze można by powiedzieć, że to druga w nocy, a nie druga po południu. Wiatr dął z północnego wschodu, pokonywał Cieśninę Beringa aż z Syberii. Jim rozpiął kurtkę i wsadził Tibbles Dwa za sweter. Choć zaciągnął suwak po czubek łebka kotki, TD nie broniła się.

Ramię w ramię, trzymając się tak blisko, by ciągle potrącać się barkami, Jim i Jack parli wzdłuż krawędzi szczeliny w lodowcu Sheenjek. Jim widział na kasecie wideo burzę śnieżną, z którą walczył

Henry Hubbard w trakcie swej poprzedniej wyprawy, nie spodziewał się jednak, jak silny może być

wiatr, jak kłujący śnieg i jak bardzo może spaść temperatura. Choć było arktyczne lato, termometr wskazywał prawdopodobnie poniżej minus czterdziestu stopni Celsjusza, z powodu wiatru należało dodać do tego ze dwadzieścia. Mimo kaptura, rękawic i wielu warstw ubrań Jim miał wrażenie, że zimno wysysa mu z kości ostatnią kalorię i już nigdy nie zazna ciepła.

Śnieg szalał. Trzymali się blisko — gdyby jeden odszedł pięć kroków, zniknąłby w wirującej szaleńczo bieli i drugi nigdy by go nie odnalazł. Burza nie słabła nawet na sekundę: śnieg walił i walił,

aż Jimowi zdało się, że wpatruje się od wielu godzin w pusty ekran telewizyjny. Poczucie kierunku dawały jedynie: krawędź szczeliny — choć wiedział, że prowadzi ich coraz bardziej i bardziej na zachód od miejsca, dokąd zmierzali — kompas, który za każdym razem, kiedy go wyjmował, natychmiast zamarzał, oraz Tibbles Dwa. Za każdym razem, kiedy rozpinął kurtkę, by się upewnić, że kotka nie zamarzała, okazywało się, że TD wpatruje się nieruchomo w kierunek północny.

Dotarli do skraju lodowca tuż przed zachodem słońca, choć dokładnie nie dało się tego określić, gdyż od wielu godzin słońca nie widzieli. Wiatr był tak silny, że musieli iść zgięci wpół.

Byli wycieńczeni i Jim zaczynał się zastanawiać, czy nie lepiej wracać do Zatoki Utraconej Nadziei.

Musiał być jakiś inny sposób na pokonanie Demona Zimna niż człapanie kilometrami w takich temperaturach i szukanie domu, który najprawdopodobniej okaże się jedynie mirażem.

Poklepał Jacka w ramię i wpęzli za wygięty półkolisty występ skalny.

— Odpocznijmy. Mamy przed sobą jeszcze przynajmniej piętnaście kilometrów.

Jack zdjął gogle.

— Sądysz, że cierpiał?

— Twój tata? Na pewno nie. Nawet nie poczuł, kiedy go trafiono.

— Nie wiem, czy był tchórzem, bohaterem, czy po prostu głupcem.

Jim nie odpowiedział. Było zbyt zimno na wymyślanie czegokolwiek dowcipnego czy

wzniosłego, poza tym Jack będzie musiał z biegiem czasu wyrobić sobie własne zdanie o ostatniej



wyprawie ojca i jego tragicznej śmierci. Wyjął z kieszeni snickersa, złamał go i podał połówkę Jackowi.

— Uważaj na zęby. W tej temperaturze to jak gryzienie łożu.

— Daj spokój. Nie mam ochoty na jedzenie.

— Wiem, jak się czujesz, ale zmusz się. Jeśli mamy dotrzeć do Domu Martwego Człowieka, będziesz potrzebował cukru.

— Sądzisz, że warto?

— Co? Ciągnąć to? Nie będzie łatwo, ale co nam innego pozostaje?

— Możemy zawrócić. Poddać się. Tata nie żyje, dlaczego więc Demon Zimna miałby mnie chcieć?

— Uwierz mi, na pewno chce cię dostać.

— A co z tobą? Dlaczego masz ryzykować życie? Straciliśmy cały sprzęt nawigacyjny, nie mamy dość jedzenia, prawda?

— Nie bądź takim pesymistą. Mam dwadzieścia trzy twarde jak skała snickersy.

— I co jeszcze? Kota i lustro od Laury Killmeyer? Mamy dzięki temu przeżyć?

Wicher walił o krawędź skały, co powodowało wycie, jakby siedział tam potężny potwór, śnieg smagał twarz z wrogą gwałtownością i oślebiał. Siedzieli mniej więcej pół metra od siebie, mimo to ledwie się widzieli.

— Możesz iść dalej, możesz się poddać, twoja sprawa — powiedział Jim. — Osobiście przyznam, że mój instynkt samozachowawczy radzi mi wracać, przypominam sobie jednak Raya i Suzie, myślę też o tobie... co się stanie, jeśli nie znajdziemy sposobu na pozbycie się Demona Zimna. Myślę też o twoim ojcu. Popęłnił błąd, ale oddał wszystko, by go naprawić. Jack starł śnieg z twarzy.

— Nie wiem... całe moje życie robiłem różne rzeczy ze względu na niego... Mieszkałem na

Alasce, bo miał obsesję na punkcie Arktyki i Eskimosów. Jestem pół-Eskimosem, ale to nie znaczy, że mam ochotę mieszkać w wiosce pełnej psich zaprzęgów i do końca życia żreć rybę i mrożone karibu. Kiedy przyjechaliśmy do Kalifornii... do West Grove College... po raz pierwszy poczułem się niezależny, po raz pierwszy w życiu byłem wolny. I co się okazało? Że nie mogę być wolny, bo ojciec sprzedał moją duszę.

— Brzmi to dla mnie jak głos za tym, by iść dalej.

— Nie mam innego wyboru. Wiesz o tym.

Wstali, Jim przywiązał sobie do paska pomarańczową linkę, drugi koniec umocował do plecaka Jacka. W ten sposób nie groziło im, że się zgubią, nawet jeśli przestaną się widzieć. Zaczęli iść powoli na wschód, ku miejscu, gdzie chcieli dotrzeć sno-catem.

Jim uniósł kciuk, po czym pochylił głowę i kontynuowali męczący marsz.

Idąc, rozmyślał nad różnymi rzeczami. Dumał o Pearym, Amundsenie i Scotcie oraz innych badaczach, którzy ryzykowali życie, by zdobyć najzimniejsze miejsca na Ziemi. Zastanawiał się, co dawało im siłę, by się nie poddać. Zimno powodowało coś w rodzaju szaleństwa — człowiek czuł się

jak mocno pijany. Mózg wiedział, co robić, ale ciało brakowało koordynacji. Lecący z wielką prędkością śnieg był nie do wytrzymania, na dodatek powodował utratę wszelkiego poczucia kierunku i odległości. To wiał z prawa, to z lewa. potem nagle wirował w koło.

Szli trzy lub cztery godziny, zanim Jim ogłosił kolejny krótki odpoczynek na snickersa i kontrolę pozycji. Wyjął kompas, ale miał tak zgrabiałe ręce, że upuścił go w śnieg. Pochylił się i zaczął

gorączkowo kopać, nic jednak nie było. Zdjął rękawicę i grzebał dalej gołą dłonią. Jack zaprotestował.

— Daj sobie spokój, Jim. Zgubiliśmy go. Wkładaj rękawicę. Nie chcę, byś stracił palce.

— Nawet nie wiem, w jakim kierunku iść.

— Dom Martwego Człowieka jest na północy, prawda?

— Jasne. Na północy, ale na jakiej długości geograficznej? Przy tej pogodzie możemy go minąć o kilkaset metrów nawet się nie domyślić, że przeszliśmy obok.

— A co z Tibbles? Może ona jest w stanie pomóc?

Jim odsunął suwak. Tibbles Dwa była na miejscu, ale spała. Nawet mocno szarpana nie reagowała.

— Błefuje — stwierdził Jim.

Zdjął rękawicę i podniósł kotce powiekę, ukazując zieloną jeżówkę. Tibbles Dwa natychmiast zamknęła oko i dalej pomrukiwała jak przez sen.

Niebo nad nimi było czarne, choć niewiele było go wiać przez nieprzerwany tabun śniegu.

Jim wydedukował, że muszą być niedaleko miejsca, gdzie Strumień Łososiowych Duchów łączy się z lodowcem Sheenjek, a czarne ca skał, smaganych przez stulecia wichrem i erodowane kawałek po kawałku przez lód, wyrastają po wschodniej stronie lodowcowej doliny. Tuż przed dotarciem do lodowca Sheenjek Lodowiec Łososiowych Duchów zakręcał jednak, więc nie wiadomo było, czy stoją twarzą na wschód, a zachód, czy na północ, gdzie stał Dom Martwego Człowieka.

Nagle kotka zaczęła miauczeć. Walczyła i drapała w kurt-: tak intensywnie, że przepchnęła łapy przez oczka swetra ma i wbiła mu pazury prosto w pierś.

— Jezu! — wrzasnął, odsunął suwak i pozwolił TD wyskoczyć na śnieg. Kotka spadła na cztery łapy, energicznie się otrząsnęła i zaczęła obwąchiwać śnieg. Potem przebiegła kawałek, po czym

stanęła na występie skalnym, oddalonym jakieś dziesięć, dwanaście metrów. Niemal zniknęła w śnieżnym wirze. Znow się ukazała, w następnej sekundzie zniknęła, jakby nigdy nie istniała. W końcu Jim dostrzegł ją na szczycie skały — choć najprawdopodobniej nie widziała wiele więcej niż oni, wpatrywała się przed siebie nieruchoma i niewzruszona.

— Chodź! — rzucił Jim. — Ona wie, gdzie jest, i jest podniecona. Nie może być już zbyt daleko.

— Zgubiliśmy namiernik satelitarny, teraz będziemy ufać kotu?

— Masz lepszy pomysł?

— Może i mam. — Jack wskazał na stromy płat lodu po lewej stronie występu, na którym siedziała Tibbles Dwa.

Jim przyjrzał się, nic nie rozumiejąc.

— Nie rozumiem, o czym mówisz.

Zanim skończył zdanie, wydało mu się, że ujrzał w ciemności drgnięcie długiego, białego płaszcza, wysoki i bezkształtny kaptur oraz kościstą dłoń z laską. Zjawa zaraz jednak zniknęła, niemal tak szybko jak się pojawiła. Jim był wściekły ze zmęczenia i rozpacz. Nie miał energii na zagadki, tajemnice i złudzenia optyczne. Złapał plecak.

— Idziemy! Mamy przewodnika. Pojawił się czwarty człowiek.

Jack rozglądał się dziko na wszystkie strony.

— Jest tutaj? Nie widzę go, Jim złapał chłopaka za ramię.

— Uwierz mi, Jack. To przeznaczenie. Mamy jedną z tych chwil, kiedy dzieje się dokładnie to, co przewidziały karty tarota, bez względu na to, jak bardzo staramy się z tym walczyć.

— Ale on chce dostać moją duszę, Jim! Nie tylko moje ciało, co już byłoby okropne. Chce mojej duszy, człowieku! Mnie! Wszystko, co sprawia, że jestem tym, czym jestem. Nie chcę umierać!

Patrząc na Jacka przez zasłonę śniegu. Jim nagle zaczął rozumieć, kim jest ten chłopak — zrozumiał jego „ja”, które tak bardzo bał się stracić. Kiedy zjawił się po raz pierwszy w drugiej specjalnej, Jack Hubbard robił wrażenie chłodnego opanowanego, wręcz aroganckiego, tak naprawdę była w nim jednak ta sama sprzeczna mieszanka awanturnictwa powątpiewania we własną wartość, która charakteryzowała jego ojca. Miał w sobie jeszcze coś. Coś szczególnego: głęboką wiarę w mistyczny świat, którą musiał odziedziczyć po natce Eskimosce.

— Pamiętaj o jednym — powiedział. — Demon Zimna ma obowiązek nas prowadzić i uratować nam życie. Tak została zdefiniowana jego robota. Handel to sprawa wtórna.

Wysoka postać stała w kłębiącym się śniegu, nie więcej jak piętnaście metrów od nich.

Wyglądała na jeszcze wyższą i silniejszą, niż Jim widział w lusterku między drzewami West Grove Community College. Może śnieg zniekształcał obraz, może brało się to stąd, że Jim widział twora po raz pierwszy twarzą w twarz — nie jako odbicie, nie pomniejszanego. Istota przerażała go.

Widział swą nemezis bez twarzy. Jeszcze bardziej przerażający był fakt, że aby uratować życie, musiał polegać na tej istocie.

Chwycił Jacka za ramię.

— Chodź, Jack. Uda nam się. Ty jesteś młody, ja szalony, jakie jeszcze kwalifikacje są nam potrzebne?

Wysoka postać ruszyła w burzę. Jim i Jack poszli za nią, zaczęli wspinać się na zbocze i wkrótce dotarli do miejsca, gdzie stała Tibbles Dwa z futrem grubo obklejonym śniegiem. Jim ukląkł, a kotka skoczyła ku niemu. Podniósł ją, wsadził sobie za poję kurtki, gdzie wierzciła się, kręciła, aż ożyła się wygodnie.

Wspinali się po kolana w śniegu w górę stromego zbocza, padało tak intensywnie, że widoczność wynosiła mniej niż pięć metrów, teren przypominał jednak to, co Jim widział i mapach, które pokazał mu w Los Angeles Henry Hubbard. Podejrzewał, że wspinają się na lewy bok Lodowca Łososiowych Duchów. Po ośmiu, może dziesięciu kilometrach powinni dotrzeć do Domu Martwego Człowieka — oczywiście zakładając, że istniał, a nie był ułudą.

Kilka razy burza oślepiła ich do tego stopnia, że żaden z nich nie miał pojęcia, dokąd idą.

Podczas każdego przystanku, który robili, by przetrzeć gogle i się rozejrzeć, wysoka zakapturzona postać stała po lewej stronie — czekała, by prowadzić ich dalej.

Dla Jima większość wspinaczki na lodowiec pozostała szeregiem zamazanych obrazów —

jakby przepuszczano przez kinowy projektor poszarpany film. Było mu tak zimno w nogi, że prawie ich nie czuł. Odmrożone opuszki palców płonęły. Każdy oddech wpadał w płuca jak wiadro chłodnego cementu. Niczego nie widział, niczego nie słyszał, nawet nie mógł myśleć.

Kilka razy się poślizgnął i przewrócił na kolana. Za każdym upadkiem wysoka postać w białym płaszczu zatrzymywała się i czekała — choć była ledwie widoczna, wiedział, że prowadzi ich w bezpieczne miejsce.

— Idę już, niech cię cholera! — chrypiał, wstawał i szedł dalej.

Dwa metry za nim, przywiązany pomarańczową linką, szedł Jack, który choć zataczał się przy każdym kroku i trzymał głowę odrzuconą do tyłu z totalnego zmęczenia i delirium, jednak szedł dalej. Jakimś cudem udawało mu się stawiać nogę przed nogą.

Jim stracił poczucie czasu. Tarczę zegarka zarosła gruba warstwa lodu. Teren robił się coraz bardziej stromy, w końcu musieli drapać się na czworakach. Wysoka postać szła daleko z przodu — ciągle po lewej stronie — od czasu do czasu odwracała się, by sprawdzić, czy idą, ale przez więk-

szość czasu parła przed siebie z lekko pochyloną głową, raz za razem wbijając łaskę w śnieg, obojętna na ich cierpienie.

Wspinali się coraz wyżej. Jim podejrzewał, że zbocze musi mieć ponad sto pięćdziesiąt metrów. Już dawno temu przestał być w stanie dyszeć, każdy mięsień w jego ciele bolał, jakby wyjęto go na wierzch, obito tłuczkiem do kotletów i wsadzono z powrotem. Jack pojękiwał z bólu, ale jakoś parł dalej.

Teren zaczął się wypłaszczać. Wir śniegu odpływał, tańczył w coraz mniejszych kłębach, a chmury zaczęły się przerzedzać, niby rozrywane wielką ręką.

Kiedy wyprostowali nogi i byli w stanie się rozejrzeć, okazało się, że są na wysokiej skalistej półce powyżej śnieżnych chmur, księżyc blado acz wyraźnie świeci, a burza kłębi się w dole, pod

nimi. Niebo pokrywały gwiazdy — absurdalny dywan z gwiazd — a po osiemdziesiąt, może sto kilometrów w każdą stronę rozciągały się migoczące szczyty gór.

Postać w kapturze dała znak, by weszli jeszcze wyżej — gdy dotarli na szczyt, dostrzegli to, co ich tu przyciągnęło. Dom zbudowano w stylu neogotyckim, preferowanym przed I wojną światową przez zamożnych ludzi, którzy dorobili się majątku pracą własnych rąk. Stał tak, że z okien widać było panoramę doliny, która — choć teraz wypełniona chmurami — musiała oferować zapierający dech w piersiach widok na Lodowiec Łososiowych Duchów i łańcuchy górskie, przez które lodowiec się przebijał, transportując w sobie tysiące dusz złowionych przez Eskimosów ryb. Na froncie domu umieszczono balkon, wokół biegła weranda, z dachu wystawały dwa kominy. Z wyjątkiem kominów, zrobionych z granitu, dom zbudowano z masywnego, długo leżakowanego drewna, które musiało pochodzić z lasów w dolinie i zostać przyciągnięte przez psie zaprzęgi, w tym terenie i przy tutejszej pogodzie nie można było bowiem korzystać z pracy koni. Dom ozdobiono kilkoma mniejszymi, dekorowanymi balkonikami, rzeźbionymi okiennicami i okrągłymi okienkami umieszczonymi wysoko w dachu. W świetle księżyca srebrnoszara budowla wyglądała upiornie i od pierwszego rzutu okiem widać było, że jest pusta — nawiedzony dom u kresu

wszystkich nawiedzonych domów — mimo to cechowała ją szczególna, stylowa wspaniałość zrujnowanego przepychu, taka sama, jaką promieniował leżący na dnie morskim „Titanic”.

— Dom Martwego Człowieka... — jęknął z rewerencją Jack.

— I nie jest iluzją ani ułudą. Istnieje naprawdę.

— Dla nas. Może inni ludzie nie będą w stanie go nigdy zobaczyć.

— Jest prawdziwy, na Boga! — Jim przeszedł ostatni kawałek zlodowaciałej ziemi i

wszedł po schodkach na werandę. — Jest prawdziwy. Dom Martwego Człowieka. Naprawdę istnieje.

Wysoka postać obserwowała ich z oddali, wpółskryta w ciemności.

— Zobacz, stwór czeka — powiedział Jim do Jacka. — Nie odchodzi. Będzie czegoś chciał za przyprowadzenie nas tutaj. Będzie także pewnie chciał dostać w końcu twoją duszę.

Poszli werandą do drzwi wejściowych. Tuż przed nimi Tibbles Dwa zaczęła się szarpać w kurtce. Walczyła tak gwałtownie, że Jim musiał rozwiązać paski wokół bioder i dać jej wypaść dołem na deski. Kotka natychmiast pomknęła do lekko uchylonych frontowych drzwi i pchnęła je.

Jim podszedł do wejścia z mniejszym entuzjazmem. Drzwi były wielkie, ciężkie i spękane wskutek ataków pogody. Na środku wisiała wielka brązowa kołatka, przedstawiająca szczerzący zęby

wilczy pysk. Jack podszedł, po czym delikatnie dotknął wilka prosto w nos.

— Wilczy Duch. Zły duch, który ściga eskimoskich myśliwych i zabija ich, kiedy psy okuleją albo sanie zakleszczą się w lodzie.

— Co robi na tych drzwiach?

— Powstrzymuje przed wejściem do środka pomniejszych duchy. Pokazuje, że mieszkająca tu osoba ma wielką siłę i nie należy z nią igrzać.

Jim wahał się jeszcze, czy pchnąć te drzwi. Wysoki stwór stał i obserwował ich zza skały, która wyglądała jak wielka, przywołująca kogoś ludzka postać. Nie próbował się ani zbliżyć, ani dawać jakichkolwiek znaków. Może jeszcze nie spełnił swego zadania polegającego na ocaleniu im życia — byli wiele kilometrów od najbliższego bezpiecznego miejsca, otaczała ich wroga przyroda i nie było jak

wezwać pomocy. Jeśli legenda mówiła prawdę, istota najpierw musiała ich uratować, dopiero potem mogła żądać zapłaty.

— No cóż, wejdźmy do środka, rzućmy okiem, czy wszystkie te opowieści są prawdziwe — stwierdził Jim i pchnął drzwi.

Weszli do wnętrza i znaleźli się w dużym hallu o ścianach ozdobionych boazerią i podłodze wyłożonej białymi i czarnymi kafelkami. Przy samych drzwiach stał wiktoriański stojak na kapelusze



— były na nim melonik i na pół spleśniała futrzana czapa. Naprzeciwko wejścia wisiało wielkie lustro

w złożonych ramach. Szkło zmętniało ze starości i zimna, warstewka srebra popękała, tworząc sieć czarnych żyłek, ale Jim i Jack wyraźnie widzieli swe odbicia — twarze mieli przestraszone, jakby

wkraczali bez pozwolenia do czyjś dawno zaginionego życia.

Jim pchnął drzwi po prawej. Otworzyły się upiornie łatwo, ukazując gabinet zapchany ciężkimi, zamarzniętymi meblami. Z sufitu zwieszał się kryształowy kandelabr, oryginalne szklane wisiory zarosły lodowymi stalaktytami. Wszystko pokrywała biel, jaką może spowodować jedynie bardzo niska

temperatura — tak samo biała była skóra George'a Mallory'ego, gdy znaleziono go na Mount Evereście. Wszystkie przedmioty wyglądały tak, jakby zionęły na nie zimno, śmierć oraz mijające lata.

Wyszli z gabinetu i poszli na drugą stronę hallu, do jadalni. Jej drzwi były też uchylone, a Jim podejrzewał, że właśnie tu wbiegła Tibbles Dwa. Otworzył je szerzej i w świetle księżyca, które powodowało, iż w pokoju było niemal jasno jak w dzień, dostrzegł, że się nie pomylił. Tibbles Dwa siedziała na krześle przed wielkim dębowym stołem jadalnym, dumnie unosiła łebek, mrużyła ślepia z zadowolenia. Niezwykłym sposobem Tibbles Dwa wróciła do domu.

Więcej — odnalazła swego pana. W rzeźbionym fotelu u szczytu stołu siedział niemal doskonale zachowany przez zimno bladolicy mężczyzna w długim czarnym płaszczu. Siwe włosy były rzadkie, ale w zasadzie zachowane, oczodoły ciemne i pomarszczone jak suszone śliwki, nozdrza

nienaturalnie rozwarte, a wargi odsunięte tak, że odsłaniały nierówne, zaskakująco żółte zęby. Pod płaszczem miał trzyczęściowy garnitur, krochmalony kołnierzyk i muchę. Prawa dłoń mężczyzny leżała na stole i ścisnęła pióro, wiatr rozrzucił wokół trzy kartki papieru, karty do tarota i inne karty do przepowiadania losu. Jim dostrzegł dziewiątkę pik z *Sybilie des Salons Grimauda: Śmierć z*

pustymi oczodołami i kosą w dłoniach.

— Oto i on — stwierdził. — Edward Grace we własnej osobie.

Obszedł stół. Z każdym krokiem oddech zamieniał się w lodowatą parę. Panowała temperatura przynajmniej minus pięćdziesiąt stopni — nawet w najgorętsze dni lata musiało tu być dobrze poniżej zera. Edward Grace był zachowany nie gorzej jak ciało w ośrodku kriogenicznym, gdzie bogacze czekają, aż nauka rozwinie się na tyle, by ich odmrozić.

Jim zdjął plecak, po czym położył go ostrożnie na podłodze, gdyż w środku ciągle miał lusterko od Laury. Szedł do ciała Edwarda Grace'a, Jack pozostawał kilka kroków z tyłu — oglądał zamrożone aksamitne zasłony i ornamenty, półki pełne zlodowaciałych książek.

Pod lewą dłonią Edwarda Grace'a leżał oprawiony w skórę notes. Jim spróbował go wyciągnąć, lecz zimno spoiło palce i skórę okładki w ten sam sposób, w jaki przykleiło dłonie Raya Kruegera do poręczy. Spróbował pociągnąć mocniej, ale notes nie puszczał. Zauważył, że Jack nie patrzy, więc walnął kantem dłoni w dłoń Edwarda Grace'a, odłamując zamrożone palce. Notes dał się wyjąć — choć z przyczepionymi czubkami trzech palców.

Jim spróbował otworzyć książeczkę, lecz kartki też sklejał lód i były twarde jak zamrożona na kość wołowina.

— Rozpal ogień, dobrze? — poprosił Jacka. — Jeśli mamy przeżyć noc, będziemy potrzebowali trochę ciepła.

— Czym?

— Masz zapalarkę, prawda? Połam parę mebli i podpal je.

— Ale one muszą być bezcenne, przynajmniej niektóre.

— Nie są. To paskudny, ciężki, dziewiętnastowieczny mahoń. Sears i Roebuck sprzedawali takie rzeczy w Nebrasce wieśniakom, którzy mieli wielkopańskie ambicje.

— Jeśli tak...

Połamali kilka krzeseł, kopiając i tłukąc nimi o podłogę. W tak wielkim oddaleniu od cywilizacji hałas zdawał się dwadzieścia razy głośniejszy, niż był naprawdę, więc od czasu do czasu przerywali, by posłuchać ciszy. Jack wrzucił do paleniska stos nóg od krzeseł — wkrótce skwierczały i syczały. Jim położył notes na kominku, w nadziei, że wkrótce się rozmrozi. Po kilku minutach palce odpadły od okładki i spadły w palenisko. Jim popchnął je szufelką w ogień.

— Ten gość znalazł sposób na zniszczenie Demona Zim na, tak? — spytał Jack. — Dlatego tu jesteśmy, prawda? Sprawdźmy, na czym polega tajemnica.

Jadalnię wypełniało tańczące, falujące światło z korninka. Cienie na ścianach wyglądały jak podskakujący eskimoscy czarownicy w rytualnych strojach. Powietrze wyraźnie się ociepliło i wraz ze

wzrostem temperatury zaczęły się pojawiać różne zapachy, zamknięte w mroźnym mauzoleum przez trzy ćwierci stulecia. Zapachniało berlińskimi dywanami, rżniętymi pniami dębu, końskim włosiem, którym tapicerowano meble. Zapachami, które współcześnie istnieją jedynie w pamięci bardzo starych ludzi.

Pojawił się jeszcze jeden zapach — słodki, charakterystyczny i wywracający żołądek. Zapach tającego mrożonego mięsa, który narastał wraz z rozpuszczaniem się kolejnych kryształów lodu, które długo zachowały w nienaruszonym stanie ciało Edwarda Grace'a.

— Niesamowite... — mówił Jack, który chodził i rozglądał się po salonie. — Dlaczego zbudował taki dom? Do tego tutaj, gdzie nikt nie może go znaleźć?

Jim wziął do ręki notes. Stronice odmarzały i dawały się powoli rozdzielać. Podważył okładkę scyzorykiem. Miejscami atrament był rozmazany, ale Edward Grace pisał wyraźnie — choć drobno —

toteż niemal wszystko było do odczytania.

Jack obszedł stół. stanął przy krześle, na którym siedziała Tibbles Dwa — tuż obok Edwarda

Grace'a. Spróbował ją pogłaskać, ale kotka odsunęła łebek. Nie zmieniła miejsca wpatrywała się w stopniowo rozpadającą się ruinę. Która kiedyś była człowiekiem.

Jim podszedł do kominka i przeczytał pierwszą stronę.

— „Ósmego lutego tysiąc osiemset dwudziestego pierwszego roku. Wydaje mi się, że wreszcie odkryłem sposób na ostateczne uspokojenie złego ducha, zwanego Demonem Zimna. Zajęło mi to wiele lat" ... nieczytelne... „i wróżb w wykonaniu mediów psychicznych, czuję się jednak teraz przygotowany do spotkania z nim i odesłania go do Innego Świata, skąd ponoć przybył. Jestem teraz w stanie złożyć pełną i prawdziwą spowiedź z mej słabości i" ... nieczytelne. „Od momentu zarezerwowania biletu na rejs »Titanikiem« jestem znany jako Edward Grace z Bakewell w Derbyshire. ale w rzeczywistości nazywam się kapitan Titus Edward Grace Oates — ten sam kapitan Oates, który towarzyszył kapitanowi Robertowi Falconowi Scottowi w nieszczęsnej wyprawie do bieguna południowego.

Z niewyobrażalnym wstydem czytałem niejedną historię o moim bohaterstwie... o tym, jak opuściłem ekspedycję w trakcie burzy śnieżnej, by nie hamować marszu mych towarzyszy. W żadnej z opowieści nie wspomniano jednak o tym, że kilka dni przed tym incydentem wszyscy odnosiliśmy wrażenie, że towarzyszy nam ktoś nie należący do grupy, idący nieustannie z lewej strony, kto próbował przeprowadzić nas przez największe trudności. Oczywiście nikt nie wiedział, że kiedy leżałem sam, postać ta przyszła do mnie i zaproponowała, że uratuje mi życie w zamian za dusze najdroższej mi osoby.

W bólu i delirium, na jakie cierpiałem, wyraziłem zgodę. Kiedy wyszedłem w nocy z namiotu, w szalejącej burzy śnieżnej, nie poszedłem w śmierć ani nie zamierzałem tak robić. Zamiast tego poszedłem w ramiona Demona Zimnu, który zaniósł mnie na swych barkach do najbliższej stacji wielorybniczej. Dzień później popłynąłem do Londynu jako John Trethewen.

Kiedy dotarłem do Londynu, dowiedziałem się o losie towarzyszy. Muszę przyznać, że był

taki czas, kiedy rozważałem popełnienie samobójstwa, zwłaszcza czytając o tym tak zwanym bohaterstwie. Miałem jednak ważniejsze sprawy na głowie. Skontaktowałem się dyskretnie z moją najukochańszą Antheą Vane, która z największą radością przyjęła, że żyję. Opowiedziała mi jednak o szeregu przerażających zdarzeń, polegających na tym, że jej mieszkanie zamarzało, a jednego z gości unieruchomiło w łazience, gdzie gorąca woda zamieniła się w jednej chwili w lód.

Domyśliliście się z pewnością, że w delirium, jakie przechodziłem pod biegunem, oferowałem Demonowi Zimna duszę Anthei. Nigdy bym sobie nie wyobraził, że on naprawdę przyjdzie po zapłatę.

Wykupiłem dla nas obojga kabinę na »Titanicu« w nadziei, że ucieknę Demonowi Zimna, wyjeżdżając na inny kontynent. Kim jestem, by podejrzewać, że to Demon Zimna był odpowiedzialny za tragedię, w której utonęło tyle osób? Faktem jest jednak, że dryfująca na południe góra lodowa, z którą zderzył się »Titanic«, nie powinna się tam znaleźć, o czym świadczy analiza wiatrów, pływów i raportów meteorologicznych.

Straciłem Antheę na »Titanicu«. Utonęła na moich oczach i Demon Zimna dostał duszę, którą mu zaoferowałem.

Dlatego przyjechałem na Alaskę i zbudowałem ten dom. Przyjechałem tu, by badać Demona Zimna i znaleźć sposób na zniszczenie go raz na zawsze. Będę mieszkał w tym domu, w straszliwym zimnie, gdzie on jest stale widoczny, poznam jego ścieżki i słabości i w końcu sprawię, że już nigdy nie

będzie niszczył tych, którzy walczą o przeżycie. Powiniennem w 1912 roku wyjść z namiotu i pozwolić

burzy się pokonać, jak mówi legenda. Powiniennem zginąć z godnością. Zamiast tego siedzę tu i noszę w sobie winę większą, niż człowiek może znieść. Mam na sumieniu kapitana Scotta i drogich towarzyszy z bieguna południowego. Mam na sumieniu setki niewinnych dusz, które utonęły z »Titanikiem«. Przeklinam Demona Zimna i doprowadzę do jego upadku, nawet jeśli nie dożyję

chwili, by to ujrzeć".

Jim opuścił notes. Jack popatrzył na niego w tańczącym świetle i powiedział jedno słowo:

— Jezu...

W tym momencie o deski werandy załomotały ciężkie kroki. Towarzyszył im stukot laski.

— Przyszedł — powiedział Jim. — Przyszedł po zapłatę.

## ROZDZIAŁ 14

- Nie napisał, jak go zniszczyć? — spytał nerwowo Jack. — Co to za gadka o odesłaniu go do Innego Świata, z którego przybył?

— Zamknij drzwi. Trzymajmy go na dystans.

— Jest zamek, nie ma klucza.

— Rygle?

— Rygle... tak, są rygle. — Zasuwał dwa duże rygle, jeden był u góry, drugi u dołu drzwi.

— Powinny wytrzymać.

— Nie licz na to. Daj mi rzucić okiem na notes.

Jim znów otworzył kajet. Na końcu pokrętej spowiedzi o tym, co naprawdę wydarzyło się na

biegunie południowym i opowieści o „Titanicu”, kapitan Oates napisał bardzo pewną ręką:

„Demon Zimna ma obowiązek ratować wędrującego przez zimne okolice podróżnika, który

popadnie w niebezpieczeństwo. Może więc zostać zniszczony przez tego, kto będzie miał dość

odwagi, by znaleźć się w takim niebezpieczeństwie, że wskutek ratowania go Demon Zimna

zginie. Gdyby, na przykład, człowiek zanurkował w dziurze w arktycznym łodzie. Demon Zimna

musiałby za nim podążyć, a gdyby człowiek ten nie dał się uratować. Demon

Zimna utonąłby razem z nim".

Stukanie na werandzie robiło się głośniejsze, zdobiona kwasorytem szyba w oknie jadalni

nagle pokryła się szronem. Tibbles Dwa wyprężyła się na krześle i nastroszyła futro.

— Rozumiesz, co to znaczy? — spytał Jack. — Jedyńm sposobem na pozbycie się stwora to dać się zabić i mieć nadzieję, że też da się zabić, próbując cię ratować.

— Chyba mógłbym się rzucić z krawędzi skarpy na Lodowiec Łososiowych Duchów.

— Ale tam jest zimno! Ten stwór rozkoszuje się zimnem! Możesz się rzucić na lodowiec i zginąć, on byłby prawdopodobnie zachwycony. Ten stwór to uosobienie zimna. Co Laura mówiła o ogniu?

J i m klepnął Jacka w ramię.

— Jasne, masz rację! Jesteś geniuszem. Ten stwór ma obowiązek mnie ratować, bez względu na sytuację. Jeśli podpalimy dom, będzie musiał wejść do środka i mnie ratować. Musi się dobrowolnie spalić, inaczej magia nie będzie działać.

— Ale chyba nie zamierzasz siedzieć w środku, kiedy tu się będzie palić?

— Oczywiście, że nie. Myślisz, że oszalałem? Potrzebuję jedynie odpowiedniej dramaturgii, by zwabić drania do środka i go uwięzić.

Tibbles Dwa miauknęła i stanęła przednimi łapkami na stole. Jej zmarły pan zaczynał śmierdzieć jak przejrzały ser pleśniowy, a język wypadł mu spomiędzy zębów, opuchnięty i czarny, niczym olbrzymia pijawka.

— Ty też masz rację, TD — powiedział Jim. — Im szybciej to załatwimy, tym lepiej.

Frontowe drzwi Domu Martwego Człowieka otworzyły się z mieszaniną skrzypienia i odgłosu przeciągania czegoś ciężkiego po śliskiej powierzchni. Stukanie nie ustawało — ślepy duch szedł po nich. Postukując, przeszedł przez korytarz, aż dotarł do salonu, przez kilka sekund słychać było, jak obmacuje fotele i mahoniową komodę. Wyszedł z salonu, poczłapał do jadalni. Nacisnął klamkę, poszarpał nią, ale drzwi były zaryglowane i nie umiał ich otworzyć. Stukał i pukał, coraz gwałtowniej szarpał za klamkę.

— Jack, wyskakuj przez okno — rzucił Jim. — Podpalam tę chałupę.

— Nie mogę pozwolić, byś robił to sam.

— Chcę, by cię tu nie było. Ciebie chce dostać znacznie bardziej niż mnie. Mnie ma uratować, pamiętasz? Od ciebie chce duszy.

— Nie mogę cię zostawić. Jesteś tylko moim nauczycielem, na Boga!

— Tylko nauczycielem? Tylko? Chcesz powiedzieć, że od tylu lat pocę się krwią w drugiej specjalnej, byś uważał, że jestem tylko twoim nauczycielem? Nauczyciel jest tym, kto cię naucza, Jack. Twój nauczyciel uczy cię faktów, opinii, dojrzałości, moralności, poczucia humoru, tragiczności... wszystkiego. Kto się pojawia, kiedy twoi rodzice nie żyją, a straszliwy duch chce cię zabić, jeśli nie twój nauczyciel?

Jack wpatrywał się w Jima z zachwytem.

— Właśnie to mam na myśli — zripostował. — Straszliwy duch wali właśnie do drzwi, a ty podpalasz dom i zaczynasz mi robić wykład!

Rozległ się potężny chrzęst i drzwi do jadalni zamarły. Jim zdążył zobaczyć, jak pokrywają się szronem i na całej ich powierzchni pojawia się siatka pęknięć. Przez sekundę nic się nie działo, potem

jednak wystarczyło jedno uderzenie laski Demona Zimna, by drzwi rozpadły się na kawałki. Wszedł ponad kupką dymiących z zimna resztek — wyższy niż kiedykolwiek i choć kaptur całkowicie przesłaniał mu twarz, jego martwe oczy żarzyły się jasnym blaskiem. Zatrzymał się w wejściu i uniósł

wysoko laskę.

— Przyszedłem po to, co mi się należy.

— Żadna ludzka istota do nikogo nie należy, tym bardziej do takiego śniegoludka jak ty!

— Jego ojciec złożył obietnicę. Jego dusza należy do mnie.

— Jego ojciec nie był w czasie zawierania umowy *campos mentis*. Poza tym jego ojciec zginął na lodowcu. Nie mów, że mając taką szansę, nie zabrałeś jego duszy.



— Dusza ojca nie była przedmiotem umowy. Podarowałem jego ojcu życie i w zamian za to z wolnej woli ofiarowałem mi jego duszę.

Jim odsunął się na bok, w stronę ognia.

— Słuchaj, nie chcę cię rozczarowywać, ale nic z tego nie będzie. Kiedy mężczyzna umiera, jego długi się anulują. To samo dotyczy dusz.

Duch wydał z siebie odrażający odgłos, jakby wciągał lejącą z ust ślinę.

— Obiecano mi jego duszę w dobrowolnej umowie! Nie przekazano pieniędzy z rąk do rąk, nie podano w wątpliwość niczyjego honoru. Mam prawo brać jego duszę i tak się stanie!

— W tym akurat się mylisz — odparł Jim, uśmiechając się złośliwie.

Pochylił się do kominka i wyjął palącą się jasnym płomieniem nogę od krzesła. Podszedł spokojnie do zasłon w oknach i podpalił jedną z nich u dołu, kiedyś suto zdobionego, teraz poszarpanego i suchego. Zasłona natychmiast się zapaliła. Jim cofnął się, zapalił następną, potem kolejną.

— Zapłacisz za to! — zawyła postać głosem, jakim mogłoby wykrzyknąć tysiąc torturowanych naraz więźniów. — Zapłacisz za to razem z każdą osobą, którą kochasz!

Jim rzucił Jackowi drugą palącą się nogę od krzesła i chłopak podpalił kanapę oraz oszkloną szafkę, w której wystawione były wypchane arktyczne mewy i wielkie zielone jaja. Po kilku sekundach jadalnia buchała ogniem — płonęły krzesła, stoliki, lampy, nawet obrazy na ścianach. Na tej wysokości było tak sucho, że wszystko zapalało się jak zanurzone w benzynie.

— Nie! — ryknęła postać, machając na oślep laską. — Dostanę, co jesteś mi winien!

Dostanę także ciebie, bez względu na to, co mój pan każe!

Jim i Jack odsuwali się od macającej laską postaci. Wyglądało na to, że im jaśniej się robiło, ślepa coraz bardziej — dlatego niczego nie widziała w Kalifornii. Równocześnie jednak, wraz z podnoszeniem się temperatury z minus pięćdziesięciu stopni do plus czterech, pięciu, zaczęła znikać.

Gołym okiem można ją było dostrzec jedynie w silnym zimnie. Gdy temperatura jeszcze się podniosła, zniknęła całkiem.

— Uważaj na siebie! — ostrzegł Jacka Jim. — Kiedy widziałem go po raz ostatni, okrążał stół, by iść na ciebie. Bądź ostrożny, ciebie zechce na początek!

Przy trzasku i strzelaniu płomieni było niemożliwością usłyszeć stukanie laski Demona Zimna.

Jim złapał Jacka za ramię i prowadził go przez pokój ku drzwiom, by mogli uciec. Gorąco robiło się nie do wytrzymania i nagle — po dwa i trzy — zaczęły eksplodować stojące na kominku szklane wazony. Wielki olejny obraz — portret kobiety w stylu włoskim — nagle przekręcił się w bok, na ramie pojawiły się drobne płomyczki.

Okrążali stół, by dojść do drzwi, Jim macał przed sobą ręką na wypadek, gdyby mieli wpaść na niewidzialnego demona. Byli prawie przy drzwiach i dotąd nie poczuli ani ukłucia zimna, ani nawet chłodnego powiewu.

— Jeszcze dwa kroki, panie Rook, i jesteśmy wolni.

Jadalnia wypełniała się gęstym czarnym dymem, szybki w witrynie pękały.

Tibbles Dwa zeskoczyła z krzesła i ruszyła ich tropem. Może była mistycznym kotem, ale najwyraźniej jej karty nie przewidywały śmierci, więc nie zamierzała w nieodpowiedzialny sposób ryzykować żadnego ze swych dziewięciu żywotów.

Ściany jadalni były płaszczyznami płomieni. Olbrzymi mahoniowy kredens płonął, książki płonęły, stół płonął. Płonął także biedny, stary kapitan Oates — pochylał się ku stołowi, temperatura wykręcała jego zmumifikowane ciało.

— Uciekajmy stąd — powiedział Jim. — Żaden duch tego nie przeżyje.

Kiedy znaleźli się w hallu i biegli do frontowych drzwi, Jack nagle głośno zawył i padł na kolana. Następne, co zauważył Jim, to, że Jack sunie na boku po podłodze, jakby coś go ciągnęło. Oczywiście, że go ciągnęło, ale przy panującej temperaturze Demon Zimna nie był widoczny.

— Jack! — wrzasnął Jim, lecz chłopak był ledwie przytomny. Sunął ku schodom i po chwili — w dalszym ciągu leżąc na boku — zaczął pokonywać jeden stopień po drugim — do góry.

Jego ciało podskakiwało przy tym, ręce i nogi bujały się bezwładnie. Wyglądało to jak absurdalny pokaz łewitacji, Jim doskonale jednak wiedział, że to sprawka Demona Zimna.

Chyba że...

Zdjął plecak, rozpiął go i ostrożnie wyjął lusterko Laury. Szybko przetarł je łokciem, splunął na północ, na południe, na wschód i na zachód. Na koniec plunął na lusterko i powiedział własne zaklęcie: „Lustro, lustro — pluję ci, a ty pokażesz... tego gnoja mi!”.

Odwrócił się, podniósł lusterko i... lak — choć jedynie na chwilę — zobaczył Demona Zimna na schodach, ciągnącego Jacka w kierunku któregoś z pokoi na piętrze. Na dole musiało być zbyt gorąco, by mógł próbować go zamrozić.

Jim złapał płonącą nogę od krzesła i pognął w górę schodów. Jack leżał na korytarzu, był półprzytomny, odruchowo mrugał oczami. Demon musiał go puścić na widok nadbiegającego Jima i próbował się ukryć. Jim podniósł lusterko, szybko przepatrzył schody. Stwór stał w oddalonym kącie, podobne do suszonych śliwek, niewidzące oczy kierował na Jima i choć go nie widział, wyczuwai każdy jego ruch.

— Nie ujdiesz mi teraz! — wrzasnął Jim. — Wiem, kim jesteś, i wiem, co musisz zrobić, bez względu na to, czy ci się to podoba, czy nie!

— Najpierw wezmę duszę tego chłopca — ostrzegł stwór. — Należy do mnie od bardzo dawna.

Zamiast odpowiedzieć, Jim wszedł do znajdującej się tuż przed nim sypialni. Stało tu wielkie łóże z postrzępionym i zamarzniętym starym baldachimem. W oknach wisiały grube zasłony i koronkowe firanki. Pod ścianą znajdowała się wielka szafa pełna starych ubrań. Jim zakręcił wokół głowy swoją pochodnią, aż zapłonęła jasnym płomieniem. Potem zaczął dotykać materiałów,

baldachim, firanek i wszystkiego, co mogło się zapalić. Stał na środku buchającego płomieniami pokoju, plecami do Demona Zimna, ale z tak podniesionym lusterkiem, by widzieć, gdy nadejdzie. Ogień rozprzestrzeniał się jeszcze szybciej niż w jadalni na parterze. Sekundy i łóżko buchało ogniem niczym stos całopalny z drewna, końskiego włosia i strzelających sprężyn, a zasłony pożerał najgwałtowniejszy ogień, jaki Jim widział w życiu. Temperatura robiła się nie do wytrzymania, dym tak zgęstniał, że Jim nie oddychał, lecz kaszłał i pojękiwał.

Choć pokój palił się coraz gwałtowniej, Jim nie wychodził. W lusterku widział stojącego na schodach Demona Zimna, rozrywanego między żądzą nakarmienia się nieśmiertelną duszą Jacka a obowiązkiem uratowania Jima z niebezpieczeństwa. Jim był wędrowca po Alasce i nie liczyło się, jakie

groziło mu niebezpieczeństwo — warunki nałożonej na demona kary wyraźnie nakazywały mu ratować jego życie.

Stwór ciągle się wahał. Zrobiło się tak gorąco, że zewnętrzna powłoka wiatroszczelnej kurtki Jima zaczynała mięknąć i topić się, do tego zaczynały dymić sznurowadła. Po twarzy spływał mu pot. Czuł zapach nadpalonych włosów.

Jego policzki zdawały się płonąć, ale nie cofał się. Gdyby teraz się poddał, stwór dostałby ich obu.

Demon Zimna zbliżył się do sypialni. Stał, zasłaniając dłońmi twarz, jakby czynił tajemny znak — a może po prostu osłaniał się przed żarem? Jim widział to w lusterku, jednak i ono robiło się powoli zbyt gorące, by je utrzymać. Dywan pod jego nogami migotał drobnymi iskrami, wełna zwęglała się jak stare, spalone mięso.

Jack oprzytomniał. Uniósł się na łokciu i z przerażeniem wbił wzrok w Jima.

— Jim! Wychodź stamtąd! Palą ci się włosy!

Jim poczuł płomień na głowie i przyklepał włosy dłonią. Kiedy odjął dłoń, miał w niej pełno spalonych kosmyków.

Jezu, tym razem przesadziłem — pomyślał. — Zaraz się upiekę żywcem.

Wysoka postać w dalszym ciągu czekała. Odwróciła się, by popatrzeć na Jacka i podniosła rękę, jakby chciała go złapać i wyrwać mu serce. Wahala się jednak. Wahala się. Złożyła jednak obietnicę Wielkiej Nieśmiertelnej Istocie i nie mogła się jej sprzeniewierzyć.

Jimowi zaczęły się palić podeszwy butów.

Wysoka biała postać wskoczyła długim susem do płonącego pokoju, by ratować Jima.

Widział ją w lusterku Laury — zgarbione ramiona, wyciągnięte do przodu ręce i przez ułamek sekundy zdawało mu się, że widzi twarz. Kiedy postać miała złapać Jima, odsunął się na bok, padł na podłogę i zaczął się toczyć po płonącym dywanie. Wystarczyły dwa szybkie przewroty i był za drzwiami.

Demon Zimna gwałtownie zawirował na środku pokoju.

— Ty głupcze! — zawył. — Będiesz za to płacił przez wieczność!

Jim zatrzasnął drzwi sypialni i przekręcił tkwiący w gałce klucz.

Za drzwiami rozległ się szaleńczy łomot. Uderzenia szybko zaczęły słabnąć i do uszu Jima i Jacka doleciał głęboki, rozdzierający jęk. Jęk narastał i nabrzmiwał, aż przeszedł w świdrujący, pseudooperowy pisk. Trwał i ciągnął się tak długo, aż Jim zaczął się bać, że nigdy się nie skończy i powariują.

Nagle w pokoju eksplodowało. Może stwór był zbyt zimny, by wytrzymać tak wysoką temperaturę, może w sypialni leżała amunicja albo kilka lasek dynamitu — w każdym razie domem wstrząsnęło po fundamenty, a kawałki ram okiennych pofrunęły w wiszące daleko w dole śniegowe chmury.

Jim i Jack, zataczając się, dotarli do frontowych drzwi i wyszli przed dom. Dom Martwego

Człowieka palił się od piwnicy po strych, z każdego okna waliły potężne płomienie. Runął dach, co posłało w niebo chmurę iskier, które dołączyły do migoczących gwiazd. Potem zapadło się piętro,

następnie schody. Stali w odległości pięćdziesięciu, może siedemdziesięciu metrów — wystarczająco

blisko, by czuć temperaturę płomieni — i przyglądali się, jak ginie najwspanialszy prywatny dom na północnej Alasce.

Jeszcze długo po tym, jak główny ogień się wypalił i pozostały jedynie dymiące ruiny, Jim krążył wokół domu, gwizdząc i wołając.

— TD? TD? Gdzie jesteś, TD?

Kotka nie odpowiadała. Jim w końcu doszedł do jedyne logicznego wniosku, że została w jadalni z kapitanem Oate-sem i wybrała lojalność śmierci ponad nielojalność życia.

Objął ramieniem Jacka.

— Chodźmy. Czeka nas długa droga, a wszystkie snickersy się roztopiły.

Jack nie odpowiedział, jedynie odwrócił się ku czarnemu, spalonemu szkieletowi Domu Martwego Człowieka. Potem poprawił paski plecaka i ruszyli.

Kiedy w poniedziałek pojawili się w szkole, podeszła do nich Karen.

— Jim! Spójrz na siebie! Co się stało? Co z twoimi włosami?

— Miałem mały wypadek z grillem.

— Jak wyprawa na Alaskę?

— Cóż, jak to najkrócej powiedzieć? Zakończyła się częściowym sukcesem.

— Tylko częściowym?

— Chyba czegoś się nauczyłem. Nie należy wtrącać się w cudze sprawy. Nie należy mieszać się w czyjeś życie.

— Chyba żartujesz. Sądziłam, że uwielbiałeś mieszać się w czyjeś życie.

Jim przeszedł przez parking i wszedł do budynku szkoły. Kiedy skręcił w główny korytarz, zobaczył doktora Friend-ly'ego, który coś klarował woźnemu Clarence'owi. Podeszedł i zaczekał, aż doktor Friendly skończy.

— Hej, panie Rook! — krzyknął na jego widok Clarence. — Wygląda pan, jakby się pan opalał... pięć centymetrów od Słońca!

— Mały wypadek z grillem.

— A więc pan wrócił — stwierdził doktor Friendly. — Podróż się udała?

— Tak jakby. Załatwiłem to. po co pojechałem. Chyba też coś odkryłem.

— Naprawdę?

— Czas coś zmienić. Nie mogę spędzić całego życia z drugą specjalną. Pan jej nie popiera, doktor Ehrlichman jest niezdecydowany i co tak naprawdę dobrego robię? Ma pan rację: daję tylko dzieciakom fałszywe nadzieje, które nie mają szansy nigdy się spełnić. — Przerwał na chwilę, po czym dodał: — Dzwoniłem w trakcie weekendu do Madeleine Ouster i pod koniec tygodnia lecę do Waszyngtonu.

Doktor Friendly objął go przyjaźnie ramieniem.

— Wie pan co, James? Chyba po raz pierwszy w życiu robi pan to, co należy.

Siedział po południu w klasie i słuchał, jak jego uczniowie analizują „Wiersz o piłce”. Kiedy skończyli, wstał i poszedł na tył klasy.

— Co by było, gdyby chłopiec nigdy nie dostał piłki? Gdyby nie istniało nic, co mógłby utracić?

— Nie rozumiem — mruknął Tarquin Tree.

— Weźmy na przykład ciebie. Kiedy przyszedłeś do tej klasy, nie miałeś przeczytanej ani jednej książki i nie znałeś ani jednego wiersza. Sądziłeś, że Walt Whitman to piosenkarz country. Założę się, że kiedy skończysz tu chodzić, nigdy więcej nie przeczytasz książki ani wiersza. Jaki więc sens, byś tu chodził, i jaki sens, bym dawał ci piłkę, jeśli obaj wiemy, że ucieknie ci, skacząc wesoło, potoczy się ulicą i wpadnie do zatoki?

— Jaki to ma sens? — spytał zdezorientowany Tarquin. — Jaki ma sens?

— Właśnie o to pytam.

— Nie musi być sensu. To jak ze wszystkim. Jaki sens ma muzyka? Jaki sens mają czerwone corvetty? Jaki sens ma seks, jeśli nie chce się mieć dzieci? Nie musi być sensu.

— Nie wiem. Czasami może musi. Czasami człowiek czuje, że jego życie musi nabrać sensu i musi zrobić coś dla siebie, odsuwając innych na drugi plan. Jak wszyscy wiecie, mam dar... wielki dar.

Widzę duchy i zjawiska nadprzyrodzone, jakich nie widzą normalni ludzie. To w pewnym znaczeniu jak bycie uzdrowicielem. Wszyscy przychodzą prosić o pomoc... Czasem nawet nie proszą, a się im pomaga, ponieważ ma się dar i nie ma się prawa odmówić komukolwiek możliwości skorzystania z niego. Teraz jednak chcę odejść i zacząć prowadzić życie, w którym nikt nie wie, co jestem w stanie widzieć ani co umiem robić. Chcę zostać zwykłym człowiekiem.

— Opuszcza nas pan? — spytała z niedowierzaniem Linda Starewsky.

Washington Freeman III zaczął kręcić głową.

— Nie może nas pan zostawić, człowieku. Co zrobimy bez pana?

— To samo, co robiliście przed spotkaniem mnie. Będziecie się starać robić wszystko najlepiej, jak umiecie.

— Tak, ale kto będzie nas uczył tych wszystkich wierszy i innych wynalazków? — spytała Billyjo Muntz. — No wie pan, kto sprawi, że będziemy... no, tego... rozumieć?

— Macie własny rozum. Uczcie się polegać na sobie zamiast na mnie. Szukajcie własnych wierszy. Dopóki będziecie pamiętać, czego was uczyłem... dopóki będzie się wam chciało czytać, myśleć i nigdy nie wierzyć w to, że coś jest takie, na jakie wygląda na pierwszy rzut oka, nic złego wam się nie stanie.

— Nie wierzy pan już w magię? — spytała Laura Killmeyer.

— Oczywiście, że wierzę w magię, ale magia nie rozwiązuje wszystkiego. Czasami musimy załatwiać sprawy prosto, zwyczajnie, bez magii.



Stanął z tyłu klasy. Nestor Fawkes pochylał się nad ławką i pisał coś swym pająkowatym, dziwnym pismem. Jim przyglądał mu się przez chwilę, po czym spytał:

— Co robisz, Nestor? Mogę zobaczyć?

Nestor podniósł głowę. Miał brudny kołnierzyk, a na policzku nowy siniak w miejscu, gdzie uderzył go ojciec. Podał Jimowi złożoną kartkę papieru i Jim podszedł z nią do swego biurka.

— No dobra, kochani! Zaczynajcie czytać „Pieśń o starym żeglarzu” Samuela Taylora

Coleridge'a. Możecie mieć różne pierwsze wrażenia, to wiersz o bardzo nietypowej konstrukcji i mnóstwo w nim niesamowitych i wyrazistych obrazów.

Zaszeleściły otwierane książki, zaszurały nogi, rozległy się szepty. Jim usiadł i rozłożył kartkę, którą dostał od Nestora. Był na nim krótki tekst: NIE ODCHODŹ. PROSZĘ. Z USZANOWANIEM, NESTOR.

Jim długo siedział, zakrywając dłonią usta. Przypomniawszy sobie, gdzie jest, dopiero kiedy zadzwonił dzwonek na przerwę. Patrzył, jak uczniowie drugiej specjalnej opuszczają klasę. Nestor był ostatni.

Po pewnym czasie Jim wziął teczkę i wyszedł, nie odwracając się za siebie. Na końcu korytarza czekała Karen.

— Coś się stało? — spytała.

Jim wzruszył ramionami. Było to absurdalne, ale w oczach kłuły go łzy.

— Nie, nic takiego. Ktoś wbił mi nóż w serce, to wszystko...